

DAVID MITCHELL

SLADE HOUSE



UCZTA WYOBRAŹNI

**David Mitchell**

# **SLADE HOUSE**

**Przełożyła Justyna Gardzińska**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2017**

Tytuł oryginału:

*Slade House*

Copyright © 2015 by David Mitchell

Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii oraz opracowanie graficzne okładki:

Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:

Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-803-3

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 22 813 47 43

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

# Odpowiedni rodzaj

1979

Cokolwiek mama teraz mówi, zdążyło już utonąć w spalinowym ryku silnika odjeżdżającego autobusu, zza którego wyłonił się pub The Fox and Hounds. Na szyldzie są trzy beagle okrążające lisa. Za chwilę rzucą się na niego i rozerwą na strzępy. Na tablicy drogowej pod szyldem jest napisane: WESTWOOD ROAD. Mama mówi, że lordowie i ladies są bogaci, więc spodziewałem się basenów i lamborghini, ale Westwood Road na moje oko wygląda całkiem normalnie. Zwykle domy z cegieł, szeregowce i bliźniaki, z ogródkami od frontu i normalnymi samochodami. Mokre niebo ma kolor poszarzałej chusteczki do nosa. Przelatuje po nim siedem srok. Siedem to dobra liczba. Twarz mamy jest kilka cali od mojej, chociaż nie jestem pewien, czy mama ma minę złą, czy zmartwioną.

– Nathan? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Mama się dziś umalowała. Ten odcień szminki nazywa się „Bzy o poranku”, ale pachnie bardziej jak klej w sztyfcie niż jak bzy. Twarz mamy nie znika, więc pytam:

– Co?

– Mówi się „przepraszam” albo „słucham?”. A nie „co?”.

– Dobrze – odpowiadam, co często załatwia sprawę.

Ale nie dzisiaj.

– Słyszałeś, co ci powiedziałam?

– „Mówi się »przepraszam« albo »słucham?«. A nie »co?«”.

– Wcześniej co mówiłam! Powiedziałam, że jeśli ktoś u lady

Grayer zapyta, jak tu przyjechaliśmy, masz mówić, że taksówką.

– Myślałem, że nie wolno kłamać.

– Zgadza się, nie wolno – odpowiada mama, szukając w torebce koperty, na której zapisała wskazówki, jak iść dalej – ale co innego kłamać, a co innego tworzyć odpowiednie wrażenie. O to zawsze trzeba dbać. Jeśli twój ojciec płaciłby, ile powinien, naprawdę przyjechalibyśmy taksówką. Dobrze... – Mama mruży oczy, wczytując się w kartkę. – Slade Alley odchodzi od Westwood Road, gdzieś w połowie... – Patrzy na zegarek. – Za dziesięć trzecia, a my mamy być o trzeciej. Szybciutko, nie guzdraj się tylko. – I mama rusza w drogę.

\* \* \*

Idę za nią, uważając, żeby nie nastąpić na żadną linię chodnika. Muszę zgadywać, gdzie są krawędzie płyt, bo chodnik jest cały pokryty zgniłymi liśćmi. W pewnym momencie muszę zejść z drogi przed mężczyzną z wielkimi łapami, który truchta w czarno-pomarańczowym dresie. Wolverhampton Wanderers grają w czarno-pomarańczowych strojach. Na jarzębinie wiszą błyszczące korale. Chciałbym je policzyć, ale stukot obcasów mamy każe iść dalej. Kupiła te buty na wyprzedaży u Johna Lewisa za resztkę wypłaty z Royal College of Music, mimo że British Telecom przysłał ostateczne wezwanie do zapłaty rachunku za telefon. Dzisiaj włożyła swój ciemnoniebieski kostium koncertowy, a włosy spięła srebrną spinką-szpiculem z lisim pyskiem. Jej tata przywiózł tę spinkę z Hongkongu po drugiej wojnie światowej. Kiedy mama akurat ma lekcję z jakimś uczniem, a ja muszę udawać, że prawie mnie nie ma, czasem siadam sobie przed toaletką mamy i wyjmuję tego lisa z szuflady. Ma ślepią z nefrytu i w niektóre dni się uśmiecha, a w inne nie. Dzisiaj nie czuję się najlepiej, ale valium niedługo powinno zacząć

działać. Valium jest super. Wziąłem dwie tabletki. W przyszłym tygodniu muszę trochę przystopować, żeby mama nie zauważyła, że kurczą jej się zapasy. Tweedowa marynarka mnie drapie. Mama kupiła ją w Oxfamie specjalnie na ten dzień i muszka też jest z Oxfamu. Mama pracuje tam w poniedziałki jako wolontariuszka, żeby móc wybrać najlepsze ciuchy z rzeczy, które ludzie przynoszą w soboty. Jeśli Gaz Ingram albo ktokolwiek z jego bandy zobaczy mnie w tym krawacie, w swojej szkolnej szafce znajdę kupę, na bank. Mama mówi, że muszę umieć bardziej „dopasowywać się do grupy”, ale nie ma żadnych kursów Dopasowywania, nawet na tablicy w miejskiej bibliotece nie ma takich ogłoszeń. Ogłasza się za to klub Dungeons & Dragons i zawsze chcę tam pójść, ale mama mówi, że nie mogę, bo Dungeons & Dragons igrają z ciemnymi mocami. Przez jedno frontowe okno widzę wyścigi konne. To w BBC1 leci „Grandstand”. W następnych trzech oknach wiszą firanki, ale w kolejnym widzę telewizor, a w nim wrestling. To ITV, włochaty zbir Giant Haystacks walczy z tysolem Big Daddym. Osiem domów dalej widzę *Godzillę* na BBC2. Godzilla miażdży pylon mostu, po prostu go rozdeptując, a jakiś japoński strażak z twarzą zlaną potem krzyczy coś do krótkofalówki. Teraz Godzilla poderwała w górę pociąg, co jest totalnie nielogiczne, bo płazy nie mają kciuków. Może kciuk u Godzilli jest jak tak zwany kciuk u pand, który tak naprawdę jest przerośniętym pazurem. Może...

– Nathan! – Mama chwyta mnie za rękę. – Co ci mówiłam, żebyś się nie guzdrał?

Wracam pamięcią.

– „Szybciutko, nie guzdraj się tylko”.

– A co teraz robisz?

– Myślę o kciukach Godzilli.

Mama zamyka oczy.

– Lady Grayer zaprosiła mnie – nas – na wieczorek muzyczny. Będą tam miłośnicy muzyki, melomani. Ludzie z Rady Sztuki, którzy dają pracę, przyznają stypendia. – Oczy mamy mają malutkie czerwone żyłki, jak rzeki na zdjęciach robionych z bardzo wysoka. – Ja też bym wolała, żebyś został w domu i układał sobie swoją bitwę burską, ale lady Grayer bardzo chciała, żebyś ze mną przyjechał, więc... *musisz się zachowywać normalnie*. Zrobisz to dla mnie? Proszę. Pomyśl o najzwyczajszym chłopcu z twojej klasy i zachowuj się tak, jak on by się zachowywał.

Z Zachowywaniem Się Normalnie jest jak z Dopasowywaniem Się.

– Spróbuję. Ale to nie jest bitwa burska, tylko wojna burska. Twój pierścionek wpija mi się w rękę.

Mama puszcza moją dłoń. Dużo lepiej.

Nie wiem, co wyraża jej twarz.

\* \* \*

Slade Alley to najwęższa uliczka, jaką w życiu widziałem. Wciska się między dwa domy, a potem niknie z lewej po jakichś trzydziestu krokach. Mogę sobie wyobrazić, że mieszka tu jakiś żul w kartonowym pudle, ale nie żaden lord ani lady.

– Na pewno główne wejście będzie z drugiej strony – przypuszcza mama. – Slade House to tylko miejska rezydencja Grayerów. Wielką posiadłość mają w hrabstwie Cambridge.

Gdybym dostawał od mamy pięćdziesiąt pensów za każdym razem, kiedy mi to opowiada, miałbym już trzy i pół funta. W zaułku jest zimno i pachnie czymś zbutwiałym, jak w jaskini White Scar w Yorkshire Dales. Tata zabrał mnie tam, kiedy miałem dziesięć lat. Za pierwszym rogiem znajduję na ziemi zdechłego kota. Jest szary jak księżycowy pył. Wiem, że jest zdechły, bo leży nieruchomo jak kłoda, a jego oczy obsiadły



wielkie muchy. Jak zginął? Nie widać żadnej rany po kuli ani śladów kłów, chociaż jego łeb jest przekrzywiony, więc może tego kota udusił jakiś dusiciel kotów. Zdechły kot ląduje prosto w Pierwszej Piątce Najpiękniejszych Rzeczy, Jakiej w Życiu Widziałem. Może w Papui Nowej Gwinei żyje jakieś plemię, które uważa, że bzyczenie much to muzyka? Może do nich bym pasował?

– Idziesz, Nathan? – Mama ciągnie mnie za rękaw.

– Czy ten kot nie powinien mieć pogrzebu? Jak babcia miała? – pytam.

– Nie. Koty to nie ludzie. Chodź już.

– Nie powinniśmy uprzedzić właściciela, że jego kot już nie wróci do domu?

– Jak? Zabrać go stąd, chodzić od drzwi do drzwi po Westwood Road i pytać: „Przepraszam, czy to pański kot?”.

Mama czasami miewa dobre pomysły.

– Zajęłoby to trochę czasu, ale...

– Już przestań, Nathan. Jesteśmy prawie spóźnieni do lady Grayer.

– Ale jeżeli go nie pochowamy, wrony wydziobią mu oczy.

– Nie mamy tu ani ogródka, ani łopaty.

– Lady Grayer powinna mieć ogródek i łopatę.

Mama znowu zamyka oczy. Może boli ją głowa.

– Koniec rozmowy.

Odciąga mnie za sobą i idziemy środkowym odcinkiem Slade Alley. Sądząc po długości, stoi tu pewnie jakieś pięć domów, ale ogrodzonych ceglany murem tak wysoko, że nic nie widzę. Tylko niebo.

– Szukamy teraz małych czarnych żelaznych drzwi – mówi mama. – Mają być gdzieś w murze po prawej.

Ale dochodzimy do kolejnego rogu i żadnych drzwi nie ma. Skręcamy w prawo, idziemy kolejne dwadzieścia kroków, aż

wychodzimy na ulicę równoległą do Westwood Road. Na tablicy jest napisane: CRANBURY AVENUE. Naprzeciwko zaparkowała karetka ze szpitala św. Jana. Ktoś w błocie nad tylnym kołem napisał BRUDAS. Kierowca ma złamany nos i coś mówi przez radio. Na skuterze przejeżdża jakiś mods, jakby prosto z *Quadrophenii*. Jedzie bez kasku.

- Nie wolno jeździć bez kasku, to niezgodne z prawem – mówię.
- Coś tu jest nie tak – niecierpliwi się mama, patrząc w kopertę.
- Chyba że ktoś jest Sikhem w turbanie. Wtedy policja...
- „Małe czarne żelazne drzwi”. Naprawdę ich nigdzie wcześniej nie było?

Wiem. Na mnie valium działa jak magiczny eliksir Asteriksa, ale mamę valium przymula. Wczoraj powiedziała do mnie „Frank” – jak do taty – i nawet nie skojarzyła. Wykupuje dwie recepty na valium, od dwóch lekarzy, bo jedna nie wystarcza, ale...

...jakiś pies szczeka kilka cali ode mnie i właśnie wrzasnąłem, odskoczyłem w panice i trochę popuściłem w majtki, ale już dobrze, już dobrze, tam jest płot, a to tylko mały jazgoczący szczekacz, a nie bulmastif, nie *ten* bulmastif, a popuściłem tylko trochę. Ale i tak serce wali mi i czuję, że się zaraz porzygam. Mama wyszła na Cranbury Avenue, żeby znaleźć dużą bramę do dużego domu, i nawet nie zauważyła tego jazgoczącego psa. Jakiś łysy człowiek w roboczym kombinezonie idzie w moją stronę, na ramieniu niesie pochłapaną farbą drabinę. Gwiżdże „I'd Like to Teach the World to Sing (in Perfect Harmony)”.

Zaczepia go mama.

- Przepraszam, wie pan może, gdzie jest Slade House?

Mężczyzna przestaje gwizdać i zatrzymuje się.

- Czy wiem może, gdzie jest co?

- Slade House. Rezydencja lady Nory Grayer.

- Nie mam pojęcia, ale jeśli ją pani znajdzie, niech jej pani

powie, że chętnie wziąłbym jej bułkę przez bibułkę. – A do mnie rzuca: – Fajna muszka, młody. – Po czym skręca w Slade Alley, wracając do gwizdania melodii tam, gdzie ją przerwał.

– Wielkie dzięki, durniu – burczy mama pod nosem.

– Myślałem, że nie można mówić do nikogo „durniu”...

– Nie zaczynaj, Nathan. Po prostu... nic już nie mów.

To chyba mina, którą ma mama, kiedy jest zła.

– Dobrze.

Pies przestał jazgotać, żeby się polizać po siusiaku.

– Wrócimy tą samą drogą, którą tu przyszliśmy – postanawia mama. – Może lady Grayer miała na myśli następną uliczkę. – Mama wraca na Slade Alley, a ja idę za nią. Docieramy do środkowego odcinka akurat, żeby zobaczyć, jak człowiek z drabiną znika za rogiem na drugim końcu alejki, gdzie nadal leży zdechły księżycowoszarzy kot.

– Jeśli ktoś by nas tutaj zabił – stwierdzam – nikt by nawet tego nie zauważył.

Mama mnie ignoruje. Może to nie było bardzo Normalne. Przeszliśmy już połowę środkowego odcinka, kiedy mama się zatrzymuje.

– A niech to!

W ceglany murze są małe czarne żelazne drzwi. Całkiem małe. Ja mam cztery stopy i jedenaście cali wzrostu, a drzwi sięgają mi tylko do oczu. Jakiś grubas musiałby się niezłe przez nie przeciskać. W drzwiach nie ma klamki, dziurki od klucza, a wokół ich krawędzi nie ma żadnej szczeliny. Są czarne, czarne jak nicość, jak miejsca między gwiazdami.

– Jakim cudem je przegapiliśmy? – dziwi się mama. – Niezły z ciebie skaut.

– Już nie jestem w skautach – przypominam jej.

Pan Moody, nasz drużynowy, kazał mi się zawijać, więc się

zawinałem i ratownikom ze służb ratunkowych Snowdonii zajęło dwa dni, żeby znaleźć mnie w moim kokonie w jamie. Mówili nawet o mnie w lokalnej telewizji. Wszyscy byli na mnie bardzo zli, ale ja tylko wykonywałem polecenia.

Mama pcha drzwi, one jednak pozostają zamknięte.

– Jak się to cholerstwo otwiera? Może trzeba zapukać.

Drzwi przyciągają do siebie moją dłoń. Są ciepłe.

I kiedy otwierają się do środka, zawiasy piszczą jak hamulce...

...i spoglądamy na ogród. Na rozbrzęczany ogród, w którym nadal panuje lato. Rosną tu róże, zębate słoneczniki, wyspy maków, kępy naparstnic i całe mnóstwo kwiatów, których nazw nawet nie znam. Widać też skalny ogródek, staw, a wszędzie wokół na kwiatkach przysiadają pszczoły i motyle. Jest niezmiernie.

– Czy ty widzisz to wszystko? – nie dowierza mama.

Slade House stoi na lekkim wzniesieniu, stary, przysadzisty, surowy, szary, niemal cały zduszony ognistoczerwonym bluszczem i zupełnie nie przypomina innych domów na Westwood Road i Cranbury Avenue. Gdyby należał do National Trust, za wstęp braliby dwa funty, a za bilet dla dzieci i młodzieży do lat szesnastu siedemdziesiąt pięć pensów. Oboje z mamą weszliśmy już przez małe czarne żelazne drzwi, które wiatr zamknął jak niewidzialny lokaj, a prądy ciągną nas dalej w ogród wzdłuż muru.

– Grayerowie muszą zatrudniać ogrodnika na pełny etat – stwierdza mama – albo może nawet niejednego.

Wreszcie czuję, że valium zaczyna działać. Od czerwieni bije blask, błękity błyszczą, zielenie parują, a biele są prześwitujące jak pojedyncza warstwa chusteczek do nosa. Już mam zapytać mamę, jak taki wielki dom z ogrodem mógł się zmieścić między Slade Alley i Cranbury Avenue, ale moje pytanie spada do głębokiej studni bez dna i już nie pamiętam, o czym właśnie zapomniałem.

\* \* \*

– Pani Bishop z synem, jak sędzę – odzywa się jakiś niewidzialny chłopiec.

Mama podskakuje, trochę jak ja przy tym jazgotliwym szczekaczu, ale teraz moje valium działa już jak tłumik wszelkich wstrząsów.

– Tędy proszę – mówi głos.

Mama patrzy w górę. Na murze mniej więcej trzy razy wyższym ode mnie siedzi chłopak, chyba w moim wieku. Ma kręcone włosy, wydatne usta, mlecznobiałą cerę, ubrany jest w niebieskie džinsy i biały T-shirt, a na nogach ma tenisówki, do których nie włożył skarpetek. Nie ma na sobie nawet pół cala tweedu i nie nosi muszki. Mama nic nie mówiła o żadnych chłopcach na wieczorku muzycznym u lady Grayer. Chłopcy oznaczają konieczność ustalania odpowiedzi na liczne pytania. Kto jest najfajniejszy? Kto jest najsilniejszy? Kto jest najbystrzejszy? Normalnych chłopców obchodzą takie rzeczy i chłopaki takie jak Gaz Ingram biją się o nie. Mama odpowiada:

– Tak. Dzień dobry. Nazywam się Bishop, a to mój syn, Nathan. Ale ten mur jest strasznie wysoki, wiesz? Może jednak powinieneś zejść?

– Miło mi, Nathan – mówi chłopak.

– Dlaczego? – pytam podeszwy jego tenisówek.

Mama syczy coś o dobrym wychowaniu, a chłopak odpowiada:

– Tak po prostu. A w ogóle mam na imię Jonah. Jestem w komitecie powitalnym.

Nie znam żadnego innego Jonah. Imię koloru kasztanowego.

– A czy lady Nora to twoja mama, Jonah? – pyta moja mama.

Jonah zastanawia się nad odpowiedzią.

– Powiedzmy, że tak.

– Dobrze – mówi mama. – Czyli... Aha... Rozumiem. A czy...

– Och, Rita, wspaniale, że nas znaleźliście! – Jakaś kobieta wychodzi z obramowanego ażurową kratownicą czegoś w rodzaju tunelu. Z tunelu zwieszają się kiście białych i fioletowych kwiatów. Kobieta jest mniej więcej w wieku mamy, ale jest szczupła, wygląda na mniej umęczoną i jest ubrana tak, jak wygląda jej ogród. – Kiedy się rozłączyłyśmy wczoraj, miałam dziwne uczucie, że raczej strasznie wszystko zagmatwałam, kierując cię do drzwi na Slade Alley – naprawdę powinnam ci wskazać drogę naokoło do drzwi wejściowych. Ale tak bardzo chciałam, żeby pierwszym wrażeniem ze Slade House był ogród w tej całej wspaniałości.

– Lady Grayer! – Mama brzmi, jakby naśladowała kogoś z wyższych sfer. – Dzień dobry! Nie, nie, nie, pani wskazówki były...

– Rito, naprawdę mów mi po imieniu. Nora. Ta cała „lady” bardzo mnie uwiera w sytuacjach prywatnych. Poznałaś już Jonah, jak widzę, naszego Spidermena. – Lady Grayer ma takie same czarne włosy jak Jonah, a jej oczy świdrują jak rentgen i wolę w nie nie patrzeć. – A ten młody człowiek to pewnie Nathan. – Ściska mi rękę. Jej dłoń jest kluchowata, ale ma silny uścisk. – Twoja mama wiele mi o tobie mówiła.

– Miło mi cię poznać, Nora – odpowiadam jak dorosły z filmu.

– Nathan! – reaguje mama. Zbyt głośno. – Lady Grayer nie miała na myśli ciebie...

– Nic się nie stało – odpowiada Nora Grayer. – Naprawdę, może mi mówić po imieniu.

Jasne popołudnie lekko się kołysze.

– Twoja sukienka pasuje do ogrodu – mówię.

– Cóż za wdzięczny komplement – odpowiada lady Grayer. – Dziękuję. Ty też wyglądasz bardzo elegancko. Muszki są takie wyszukane.

Wysuwam rękę z jej dłoni.

– Miałaś księżycowoszarego kota?

– Czy miałam? Masz na myśli w dzieciństwie?

– Dzisiaj. Jest w uliczce. – Pokazuję ręką w tamtą stronę. – Na pierwszym rogu. Leży zdechły.

– Nathan potrafi być czasem bardzo bezpośredni. – Głos mamy brzmi dziwnie i nerwowo. – Noro, jeśli to naprawdę twój, kot, najmocniej cię...

– Spokojnie, w Slade House od ładnych paru lat nie było kotów. Zadzwońię do naszego pana złotej rączki i poproszę go, żeby szybko urządził biedakowi przyzwoity pogrzeb. To bardzo pięknie z twojej strony, Nathan. Jak również ze strony twojej mamy. Czy odziedziczyłeś po niej również talent muzyczny?

– Nathan nie ćwiczy wystarczająco dużo – przyznaje mama.

– Ćwiczę godzinę dziennie – odpowiadam.

– Powinieneś dwie – ucina cierpko mama.

– Muszę odrabiać lekcje – tłumaczę.

– Na opinię geniusza w dziewięćdziesięciu procentach składa się ciężka praca – odzywa się Jonah, wyrastając tuż za nami na ziemi. – Mama chwyta powietrze zaskoczona, ale ja jestem pod wrażeniem.

– W jaki sposób tak szybko zszedłeś? – pytam.

Jonah stuka się w skroń.

– Wszczepiony w czaszkę obwód teleportacyjny.

Tak naprawdę wiem, że zeskoczył, ale podoba mi się jego odpowiedź. Jonah jest wyższy ode mnie, ale większość kolegów jest ode mnie wyższa. W zeszłym tygodniu Gaz Ingram zmienił moje oficjalne przezwisko z Gejlorda Parowy na Kurdupła Śmierdziela.

– Nieuleczalna chęć popisywania się – wzdycha Nora Grayer. – Dobrze, Rito, mam nadzieję, że nie będziesz miała nic naprzeciw, ale wpadł do nas Yehudi Menuhin i opowiedziałam mu o twoim recitalu Debussy'ego. Nie może się doczekać, żeby cię poznać.

Mama robi minę zdumionego dzieciaka z *Fistaszków*:

– Ten Yehudi Menuhin? Jest tutaj? Teraz?

Lady Grayer kiwa głową, jakby to nie było nic wielkiego.

– Tak, grał jakiś koncertik wczoraj wieczorem w Royal Festival Hall, a Slade House stał się dla niego czymś w rodzaju przyjaznego azylu w Londynie. Powiedz, że nie masz nic naprzeciw.

– Naprzeciw? – pyta mama. – Mam mieć coś przeciwko poznaniu sir Yehudiego? Oczywiście, że nie mam, po prostu... nie mogę uwierzyć, że to mnie naprawdę spotyka.

– *Bravissima*. – Lady Grayer bierze mamę za ramię i prowadzi ją w stronę wielkiego domu. – Nie obawiaj się, Yehudi jest kochany. A wy, koleżki – zwraca się do Jonah i do mnie – wymyślcie sobie jakąś fajną zabawę w tym pięknym słońcu. Pani Polanski przygotowuje eklerki kawowe, więc zróbcie tak, żebyście zgłodnieli.

– Masz, zjedz śliwkę, Nathan – proponuje Jonah, zrywając dla mnie owoc prosto z drzewa. Potem siada oparty o pień jednej ze śliw, więc ja siadam pod rosnącą obok.

– Dzięki. – Ciepły, wilgotny, mięsisty owoc ma smak sierpniowych poranków. – Yehudi Menuhin naprawdę was odwiedza?

Jonah patrzy na mnie w sposób, którego nie rozumiem.

– Dlaczego niby Nora miałyby kłamać?

Jeszcze nigdy nie spotkałem chłopaka, który by mówił o swojej mamie po imieniu. Tata powiedziałby, że to „bardzo nowoczesne”.

– Nie powiedziałem, że kłamię. Tylko że on jest niesamowicie sławnym wirtuozem skrzypiec.

Jonah wypłuwa pestkę śliwki w kępę wysokich różowych stokrotek.

– Nawet niesamowicie sławny wirtuoz potrzebuje przyjaciół. Ile



masz lat, Nathan? Trzynaście?

– Bingo. – Wypływam swoją pestkę dalej. – A ty?

– Też – odpowiada. – Urodziny mam w październiku.

– Ja w lutym. – Czyli jestem starszy, nawet jeśli niższy. – Do której chodzisz szkoły?

– Ze szkołą nigdy się nie widzieliśmy na oczy – stwierdza Jonah. – Że tak powiem.

Nie rozumiem.

– Ale w twoim wieku musisz chodzić. Takie jest prawo.

– Z prawem też się nigdy nie lubiliśmy. Jeszcze jedną śliwkę?

– Jasne, dzięki. No a szkolny kurator?

Mina Jonah może oznaczać, że jest zaskoczony. Z panią Marconi przerabialiśmy zaskoczoną minę.

– Jaki kurator?

Nie rozumiem. Przecież musi wiedzieć.

– Jaja sobie robisz? – pytam.

– Po co miałbym sobie robić jaja, skoro mam własne? Co bym zrobił z drugą parą? – Niezła odpowiedź, ale gdybym odparował tak Gazowi Ingramowi, powiesiłby mnie na bramce do rugby. – Poważnie. Mam lekcje w domu.

– Ale super! Kto cię uczy? Mama?

– Nasz mistrz – wyjaśnia Jonah, patrząc mi uważnie w oczy.

Jego spojrzenie boli, więc odwracam wzrok. Mistrz to takie napuszone słowo na nauczyciela.

– Jaki on jest?

Jonah odpowiada, starając się, żeby to nie brzmiało jak przechwałka:

– To prawdziwy geniusz.

– Ale ci zazdrościsz! – przyznaję. – Nienawidzę szkoły. Nienawidzę!

– Jeżeli nie pasujesz do systemu, system zmienia ci życie

w piekło. Czy twój ojciec też jest pianistą, jak mama?

Lubię rozmawiać o tacie, tak samo bardzo, jak nienawidzę rozmawiać o szkole.

– Nie. Tata mieszka w Salisbury, ale tym Salisbury w Rodezji, nie w Wiltshire. Tata stamtąd pochodzi, z Rodezji, i pracuje jako szkoleniowiec dla rodezyjskiej armii. Chłopaki zmyślają masę rzeczy o swoich ojcach, ale ja nie. Ojciec jest doborowym strzelcem. Potrafi strzelić komuś między oczy ze stu metrów. Raz pozwolił mi nawet patrzeć.

– Pozwolił ci patrzeć, jak strzela komuś między oczy?

– To był sklepowy manekin na strzelnicy pod Aldershot. Miał tęczową perukę i wąsik jak Adolf Hitler.

W gałęziach śliw gruchają siwe i białe gołębie. Nikt tak naprawdę nie wie, czy siwe i białe gołębie to ten sam gatunek.

– Musi być ciężko mieć tatę tak daleko.

Wzruszam ramionami. Mama kazała mi siedzieć cicho na temat rozvodu.

– Byłeś kiedyś a Afryce? – pyta Jonah.

– Nie, ale tata obiecał, że będę mógł go odwiedzić na Gwiazdkę. Miałem polecieć w zeszłym roku, ale tata nagle musiał wyszkolić mnóstwo żołnierzy. Kiedy u nas jest zima, tam jest lato. – Chcę opowiedzieć Jonah o safari, na które zabierze mnie tata, ale pani Marconi mówi, że rozmawianie jest jak ping-pong – mówi się na zmianę. – A co robi twój tata?

Spodziewam się, że Jonah powie mi, że jego ojciec jest admirałem albo sędzią, albo kimś wysoko postawionym, ale nie.

– Mój ojciec zginął. Od strzału. W wypadku na polowaniu na zające. To stało się już bardzo, bardzo dawno temu.

Nie mogło być aż tak dawno temu, myślę, ale mówię tylko:

– Jasne.

Fioletowe kwiaty kołyszają się, jakby coś w nich było...

...ale nie ma, a Jonah mówi:

– Opowiedz mi o koszmarze, który często ci się śni, Nathan.

Siedzimy nad oczkiem wodnym na rozgrzanych płytach chodnikowych. Staw to długi prostokąt z liliami wodnymi i stojącą pośrodku statuą Neptuna z brązu pokrytą turkusowymi zaciekami. Staw jest większy niż cały nasz ogródek, który właściwie jest bardziej błotnistym podwórkiem ze sznurem do suszenia prania i koszami na śmieci. Za domem ojca w Rodezji jest płaska skarpa schodząca do rzeki z hipopotamami. Myślę o pani Marconi, która każe mi Skupić Się Na Temacie.

– Skąd wiesz, że śnią mi się kosmary?

– Nie wiem – mówi Jonah – ale jest w tobie coś takiego wystraszonego.

Posyłam kamyk łukiem w górę, wysoko nad wodą. Czysta geometria.

– Czy ten koszmar ma coś wspólnego z twoimi bliźniami?

W tej samej chwili moja dłoń biegnie do szyi, żeby zasłonić włosami białoróżowy fragment skóry pod prawym uchem i zakryć miejsce, w którym szramy są najbardziej widoczne. Kamień spada z pluskiem, ale nie widać gdzie. Nie będę myślał o rzucającym się na mnie mastifie, o kłach, które zrywały mi skórę z policzka jak z pieczonego kurczaka, o jego ślepiach, kiedy trząśł mną jak lalką, o zębach zaciśniętych na moim podbródku. Ani o długich tygodniach w szpitalu, o zastrzykach, lekarstwach, operacji, o minach ludzi. Ani o tym, jak ten mastif nadal czatuje na mnie, kiedy kładę się spać.

Na sitowiu, cal przed moim nosem, przysiada ważka. Ma skrzydła jak z celofanu, a Jonah mówi:

– Ma skrzydła jak z celofanu.

A ja mówię:

– Właśnie to samo pomyślałem.

Ale Jonah pyta:

– Co pomyślałeś?

Może więc tylko myślałem, że tak powiedział. Valium wymazuje znaki mowy i przekłuwają baloniki myśli. Już to wcześniej zauważyłem.

W domu mama gra na rozgrzewkę różne arpeggio.

Ważka już odleciała.

– A tobie śnią się koszmary? – pytam.

– Śnią – odpowiada Jonah. – O tym, że brakuje jedzenia.

– Kładź się spać z paczką herbatników – radzę.

Jonah ma idealne zęby, jak ten uśmiechnięty dzieciak z reklamy Colgate, który ma zero plomb.

– Nie o takie jedzenie mi chodzi, Nathan.

– A są jakieś inne rodzaje jedzenia? Jakie? – pytam.

Skowronek nadaje coś morsem z bardzo, bardzo, bardzo, bardzo odległej gwiazdy.

Niemożliwe, żeby śpiewał na Ziemi. W październiku nie ma skowronków.

– Jedzenie, od którego stajesz się tym bardziej głodny, im więcej go jesz – odpowiada Jonah.

Krzaki drżą, lekko rozmazane, jakby ktoś je szkicował, kiedy my patrzymy.

– Nic dziwnego, że nie chodzisz do normalnej szkoły – stwierdzam.

Jonah okręca wokół kciuka źdźbło trawy...

...i przerywa je na pół. Staw zniknął, a my siedzimy pod drzewem, więc najwyraźniej to już jakieś inne, późniejsze źdźbło trawy. Valium pulsuje w czubkach moich palców, a słońce gra na harfie. Opadłe liście na przystrzyżonym trawniku mają kształt małych wachlarzyków.

– To tutaj to drzewo ginko – wyjaśnia Jonah. – Musiał je zasadzić

ktoś, kto mieszkał w Slade House pół wieku temu.

Zaczynam układać liście ginko w sporą Afrykę, długości jednej stopy od Kairu do Johannesburga. Jonah leży teraz na plecach, zasnął albo po prostu zamknął oczy. Nawet nie zapytał mnie ani razu o futbol, ani nie powiedział, że jestem pedałem, bo lubię muzykę klasyczną. Może tak właśnie jest mieć przyjaciela. Musiał upłynąć jakiś czas, bo moja Afryka jest już skończona. Nie wiem dokładnie, która godzina, bo w zeszłą niedzielę rozebrałem swój zegarek, żeby go udoskonalić, a kiedy go złożyłem z powrotem, brakowało niektórych elementów. Humpty Dumpty miał inaczej. Mama się popłakała, kiedy zobaczyła bebechy zegarka, i zamknęła się w swoim pokoju, więc znowu na podwieczorek musiałem jeść płatki kukurydziane. Ten zegarek był stary, bardzo stary, zrobiony na długo, zanim się urodziłem. Liście, które usuwam, żeby zrobić jezioro Wiktorii, wykorzystuję na Madagaskar.

– O rany! – ocenia z uznaniem Jonah, opierając głowę na łokciu.

Czy kiedy ktoś mówi „o rany”, trzeba odpowiedzieć „dziękuję?”. Nie wiem, więc wybieram bezpieczne wyjście i pytam:

– Zdarza ci się czasem myśleć, że jesteś innym rodzajem człowieka, złożonym w laboratorium z surówki DNA, jak w *Wyspie doktora Moreau*, a potem puszczonego wolno, żeby zobaczyć, czy będziesz uchodził za normalnego, czy nie?

Z pokoju na piętrze dobiega cichy aplauz.

– Moja siostra i ja jesteśmy innym rodzajem ludzi – odpowiada Jonah – ale wcale nie trzeba było eksperymentu. Uchodzimy za normalnych, i w ogóle za jakich chcemy. Chcesz się pobawić w lisa i psy gończe?

– Przechodziliśmy obok pubu, który tak się nazywał, The Fox and Hounds.

– Stoi tam od lat trzydziestych. I odpowiednio staro pachnie w środku. Pożyczylimy sobie z siostrą jego nazwę do gry. Chcesz

się pobawić? Tak właściwie to wyścig.

– Nie wiedziałem, że masz siostrę.

– Nie martw się, poznasz ją później. Lis i psy gończe to wyścig. Startujemy przy przeciwległych narożnikach domu. Oboje krzyczymy „Lis i psy, raz dwa trzy!” i na „trzy” zaczynamy biegać, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, aż jedno z nas złapie drugie. To, które złapie, jest psem gończym, a złapane lisem. Proste. To jak?

Jeśli odpowiem „nie”, Jonah może mnie nazwać cipą albo cieniasem.

– Zgoda. Ale czy to nie powinno się nazywać „lis i *pies* gończy”, jeżeli jest tylko jeden pies?

Na twarzy Jonah pojawiają się dwie czy trzy miny, których nie umiem odczytać.

– Od tej pory, Nathan, nasza gra będzie się nazywać „lis i pies gończy”.

\* \* \*

Slade House wyłania się w górze. Czerwony bluszcz jest bardziej czerwony, niż czerwony bluszcz zwykle bywa. Okna na parterze są za wysoko nad ziemią, żebym mógł zajrzeć do środka, a zresztą i tak szyby odbijają tylko niebo i chmury.

– Ty zostań tutaj – mówi mi Jonah przy frontowym prawym narożniku. – Ja pójdę na tył domu. Kiedy wystartujemy, biegnij w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara – w tę stronę.

Jonah odbiega wzdłuż bocznej ściany domu ogrodzonej żywopłotem ostrokrzewu. Kiedy czekam, zauważam, że ktoś porusza się w oknie najbliżej mnie. Podchodzę i zaglądam do środka. Jakaś kobieta. Pewnie też jest gościem na wieczorku u lady Nory Grayer. Albo może jej służącą. Ma wielki natapirowany kok,

jak panie na starych płytach taty. Zmarszczyła czoło, a jej usta powoli otwierają się i zamykają jak u złotej rybki. Jakby powtarzała w kółko to samo słowo. Nie potrafię dosłyszeć, co powtarza, bo okno jest zamknięte, więc mówię jej:

– Nie słyszę pani.

Podchodzę krok bliżej, ale ona znika i widzę już tylko odbite niebo. Znowu cofam się o krok, a ona znowu się pojawia. Tak jak na obrazkach, które można znaleźć w pudełkach płatków śniadaniowych, tych, co wydaje się, że obrazek się rusza, kiedy się go trochę przechyli. Kobieta z kokiem może mówić: „nie, nie, nie”. Albo: „się, się, się”. Albo może: „cię, cię, cię”. Nie mam czasu się dowiedzieć, bo słyszę głos Jonah z drugiego końca ścieżki biegnącej wzdłuż żywopłotu. Pyta:

– Gotowy, Nathan?

Odkrzykuję:

– Gotowy!

Kiedy patrzę z powrotem w okno, kobiety z kokiem już nie ma i nie potrafię jej przywrócić, gdziekolwiek bym stanął i przechylał głowę w różne strony. Zajmuję pozycję startową na rogu.

– Lis i pies gończy! – woła Jonah i ja też tak samo mu odpowiadam. Jonah liczy: – Raz, dwa...

– Trzy! – odkrzykuję i puszczam się biegiem ścieżką wzdłuż żywopłotu.

*Łup-łup-łup* – wałą o ścieżkę moje buty, a echo odpowiada: *bum-bum-bum*. Jonah jest wyższy ode mnie i niewykluczone, że byłby ode mnie szybszy na sto metrów, ale ja też mogę wygrać i zostać psem, nie lisem, bo na dłuższych dystansach liczy się wytrzymałość, a ja już dobiegam do końca ścieżki, gdzie spodziewałem się widoku na Cranbury Avenue, ale widzę tylko długi ceglany mur i jodły, i wąski skrawek trawnika, który przelatuje mi rozmazany przed oczami. Pędzę dalej, okręcam się

wokół rynny na zakręcie, biegnę w chłodnym powietrzu kolejną boczną ścieżką, poszatkowaną ostrzami światła wpadającymi przez wysoki płot, przez który wciskają się też do środka cierniste gałęzie, a za chwilę znowu wypadam od frontu, gdzie potrącam motyli krzew i wzbijam zamieć motyli skrzydeł, pomarańczowych, czarnych, czerwonych i białych, a jeden motyl wlatuje mi do ust, więc wypluwam go, przeskakuję nad ogródkiem skalnym i prawie się potykam przy lądowaniu, ale jakoś łapię równowagę. Biegnę dalej, mijam schody do drzwi wejściowych, mijam okno kobiety z kokiem, ale jej już nie ma, potem skręcam za róg i znowu pędzę rozdudnioną ścieżką wzdłuż żywopłotu, czuję kolkę w boku, ale nie będę się nią przejmował, ostrokrzew drapie mi dłoń, jakby chciał się dostać pod skórę, i zastanawiam się, czy Jonah zbliża się do mnie, czy ja do niego, ale nie myślę o tym zbyt długo, bo jestem już na tyłach Slade House, gdzie jodły są grubsze i większe, a ściana bardziej rozmazana, i biegnę, biegnę, biegnę, skręcam za róg, do ciernistych gałęzi, które teraz naprawdę usiłują zadusić ogrodzenie, drapią mnie w piszczele, w szyję, i teraz boję się, że to ja będę lisem, a nie psem gończym, a wokół frontu słońce zaszło, albo poszło, albo zgasło, i kwiaty zwiędły, i na motylim krzewie nie ma nawet jednego motyla, tylko te martwe, rozmazane na ścieżce, jak smugi farby proszkowej, jeden jeszcze żyje, słabo trzepie skrzydłami...

...zatrzymałem się, bo w drugim końcu ogrodu nagle zupełnie przestał być widoczny mur z małymi czarnymi żelaznymi drzwiami. Nie dlatego, że jest wieczór. Bo nie ma nawet jeszcze czwartej. I nie dlatego, że podnosi się mgła. Bo patrzę w górę – niebo jest nadal błękitne, jak wcześniej. To za sprawą samego ogrodu. To ogród chowa się przed wzrokiem.

Odwracam się, żeby poznać Jonah, że koniec zabawy, że dzieje się coś złego, że potrzebujemy jakiejś dorosłej osoby. Lada



sekunda Jonah wypadnie zza rogu. Ciernie kołyszają się jak podwodne macki. Patrząc w tył na ogród. Był tam zegar słoneczny, ale już go nie ma, śliw też nie ma. Czy to ja tracę wzrok? Chcę, żeby tata powiedział mi teraz, że wszystko w porządku, że wcale nie ślepnę, ale tata jest w Rodezji, więc chcę do mamy. Gdzie jest Jonah? A jeśli to zanikanie świata jego też dopadło? Teraz wymazuje się tunel z ażurową kratownicą. Co trzeba robić, kiedy jest się u kogoś w gościach, a ogród gospodarzy zaczyna znikać? Pustka zbliża się coraz bardziej, jak front burzowy. Wtedy na drugim końcu ciernistej ścieżki pojawia się Jonah i na sekundę ogarnia mnie ulga, bo Jonah będzie wiedział, co robić, ale kiedy na niego patrzę, sylwetka biegnącego chłopaka coraz bardziej się rozmywa i staje się warczącym mrokiem z jeszcze mroczniejszymi ślepiami – ślepiami, które mnie znają, i kłami, które dokończą, co zaczęły, i ten mrok pędzi na mnie w przerażająco zwolnionym tempie, wielki jak cwałujący koń, krzyknąłbym, gdybym mógł, ale nie mogę moje płuca zalała panika dusi mnie dusi to wilki to zima to kości to chrząstka skóra wątroba płuca to Wygłodniały, Wygłodniały, Wygłodniały uciekaj! biegnę w stronę schodów do Slade House stopy ślizgają się na żwirze jak we śnie ale jeśli się przewrócę dopadnie mnie zostało mi tylko kilka chwil a ja wbiegam niezdarnie na schody chwytam gałkę w drzwiach *blagam niech się przekręci* zacięła się nie nie nie jest złota i porysowana jest twarda jest w rowki czy się przekręci tak nie tak nie w drugą ciągnę pcham ciągnę kręcę w drugą przewracam się na szorstką wycieraczkę wpadam na czarne i białe płytki podłogi a mój wrzask słyhać jakbym wrzeszczał do plastikowego pacholka drogowego jest głuchy i wytłumiony...

\* \* \*

– Na miłość boską, co się dzieje, Nathan?

Kłęczę na poobijanych kolanach na wykładzinie w przedpokoju, serce wali mi *bum-bum-bum-bum-bum-bum*, ale zwalnia, zwalnia, jestem bezpieczny, a lady Grayer stoi przede mną, trzyma tacę z żeliwnym czajniczkiem, a z jego dzióbka wypęłzają smużki pary.

– Źle się czujesz? Mam zawołać twoją mamę?

Chwiejnie wstaję.

– Coś jest w ogrodzie, Nora.

– Nie bardzo rozumiem. Coś, czyli...?

– To znaczy... Coś jak... – coś, jak co? – Jakby pies.

– Och, to Izzy, sunia sąsiadów. Niemiłośiernie durna i uparła się, żeby załatwiać swoje sprawy w naszym ogrodzie. Już nie mam do niej siły, ale z drugiej strony jest taka kochana.

– Nie, ten pies był... większy... i ogród zniknął.

Lady Nora Grayer uśmiecha się, chociaż nie wiem dlaczego.

– Cudownie widzieć, jak chłopcy używają wyobraźni. Kuzyni Jonah siedzą tylko przed telewizorem ze swoimi Atari i tymi, jak tam one się nazywają, ze swoim Moon Patrolem, a ja im powtarzam: „Taki piękny dzień mamy! Wyjdźcie na dwór!”, a oni burczą tylko: „Tak, tak, ciociu, dobrze”.

Podłoga w przedpokoju jest ułożona w szachownicę z białych i czarnych kafelków. Czuję zapach kawy, politory, dymu cygar i lilii. Wyglądam na zewnątrz przez romb okienka w drzwiach i widzę ogród. Nie zniknął cały. Daleko, w drugim końcu, ciągle mogę dostrzec małe czarne żelazne drzwi wychodzące na Slade Alley. Chyba musiało mi się coś przywidzieć. Z piętra płynie w dół schodami „Pieśń skowronka” Czajkowskiego. To mama ją gra.

– Nathan, dobrze się czujesz? – pyta Nora Grayer.

Przeczytałem o valium w encyklopedii zdrowia w bibliotece i wiem, że w rzadkich przypadkach może dawać halucynacje, a wtedy trzeba natychmiast powiedzieć o tym lekarzowi. Chyba jestem takim rzadkim przypadkiem.

– Tak, dziękuję – odpowiadam. – Bawiliśmy się z Jonah w lisa i psa gończego i chyba mnie trochę poniosło.

– Wiedziałam, że się z Jonah polubicie, ale Yehudi i twoja mama... ci to się dopiero dobrali! Biegnij do nich na górę, tymi schodami na piętro. Ja znajdę Jonah i przyniesiemy eklerki. No, zmykaj. Nie wstydz się.

\* \* \*

Zdejmuję buty, odstawiam je równo z boku i zaczynam wchodzić po schodach na półpiętro. Ściany są wyłożone boazerią, a wykładzina na schodach jest gruba jak śnieg i jasna jak krem orzechowy. Na półpiętrze stoi stary zegar, który głośno tyka *tink... tank... tink... tink... tank...* ale najpierw mijam portret dziewczyny, młodszej ode mnie, strasznie piegowatej. Ubrana jest w fartuszek bez rękawów, taki z czasów wiktoriańskich. Wypisz wymaluj jak żywa. Czubki moich palców prześlizgują się bo balustradzie. Mama gra ostatnie takty „Pieśni skowronka” i słyszę brawa. Mama się zawsze cieszy, kiedy publiczność bije brawo. Kiedy jest smutna, na kolację są tylko krakersy i banany. Na następnym portrecie widzę mężczyznę z krzaczastymi brwiami, w mundurze pułku królewskich fizylierów. Wiem, bo tata dał mi książkę o pułkach Armii Brytyjskiej i znam ją na pamięć. *Tink... tank... tink... tank...* tyka zegar. Ostatni portret przed półpiętrzem przedstawia wychudłą panią w kapeluszu, która wygląda zupełnie jak pani Stone, nasza nauczycielka religii. Gdyby pani Marconi poprosiła, żebym zgadł, jaką ta pani ma minę, powiedziałbym, że ma minę, jakby chciała być wszędzie indziej, byle nie tutaj. Z małego podestu półpiętra kolejny rząd schodów prowadzi w prawo w górę do jasnych drzwi. Ten stojący zegar jest naprawdę wysoki. Przykładam ucho do jego drewnianej obudowy i słucham bicia serca zegara: *tink... tank... tink... tank...* Zegar nie ma wskazówek.

Zamiast nich są jakieś napisy. Na jego starym, białym jak kości cyferblacie widnieją słowa: „CZAS JEST”, a niżej: „CZAS BYŁ”, a jeszcze niżej: „CZASU NIE MA”. U stóp drugiego ciągu schodów wisi kolejny obraz, przedstawiający mężczyznę w wieku mniej więcej dwudziestu lat, który ma gładko zaczesane czarne włosy, zerka z ukosa i wygląda, jakby przed chwilą odpakował prezent, ale nie ma pojęcia, co to jest. Przedostatni obraz to portret jakiejś kobiety, którą już rozpoznaję. Dzięki włosom. To ta pani, którą widziałem w oknie. Ma te same wiszące kolczyki, ale nie ma już rozmazanego cienia do powiek, za to na jej twarzy maluje się rozmarzony uśmiech. To musi być jakaś przyjaciółka rodziny Grayerów. Ta fioletowa żyłka na jej szyi pulsuje, a jakiś głos w moim uchu szepcze: „Uciekaj, już, ile tylko sił w nogach, tą samą drogą, którą tu wszedłeś...”, a ja odpowiadam: „Co takiego?” i głos milknie. Czy w ogóle coś mówił? To valium. Może powinienem je na jakiś czas odstawić? Od jasnych drzwi dzieli mnie już tylko kilka kroków i słyszę zza nich mamę, która mówi:

– Och, nie, Yehudi, nie możesz pozwalać, żebym cały czas grała tylko ja, kiedy w pokoju siedzi ze mną taki geniusz.

Odpowiedź jest zbyt cicha, ale ludzie się śmieją. Mama też. Kiedy ostatni raz słyszałem, żeby mama tak się śmiała?

– Jesteś dla mnie zbyt łaskawy – słyszę jej odpowiedź. – Jakżebym mogła odmówić? – Potem zaczyna grać „Danseuse de Delphé”. Pokonuję kolejne dwa czy trzy stopnie i stoję przed ostatnim portretem.

Przedstawiającym mnie.

Mnie, Nathana Bishopa...

Ubrany jestem dokładnie w to, co mam na sobie w tej chwili. W tę samą tweedową marynarkę. Mam tę samą muszkę. Tylko że na portrecie nie mam oczu. Poznaję mój duży nos, widzę syfa na brodzie, którego mam od tygodnia, moje blizny pod uchem po

kłach mastifa, ale nie mam oczu. To żart? Czy śmieszny? Nigdy tego nie wiem. Mama musiała posłać do Nory Grayer szkolną fotografię i zdjęcia ubrań, które miałem dziś włożyć, i jakiś artysta to dla niej namalował. Bo jak inaczej? To nie są złe halucynacje po valium, prawda? Prawda? Mocno zaciskam powieki i znowu otwieram oczy, wpatrując się w portret, a potem kopię stopą w grubą listwę podłogową. Nie na tyle mocno, żebym złamał palec, ale na tyle, żeby bolało. Kiedy się nie budzę, wiem, że to nie sen. Zegar tyka *tink-tank-tink-tank*, a we mnie aż kipi złość. Złościć się jest łatwo, bo to jakby być czajnikiem z wrzącą wodą. Dlaczego mama zrobiła mi taki kawał tego samego dnia, kiedy kazała mi Zachowywać Się Normalnie? Zwykle zaczekałbym z otwarciem jasnych drzwi, aż Debussy się skończy, ale mama nie zasługuje dzisiaj na taką uprzejmość, więc kładę rękę na klamce.

\* \* \*

Siadam na łóżku. Na jakim łóżku? Nie na tym w moim mikroskopijnym pokoiku w Anglii, to na pewno. To łóżko jest trzy razy większe, przez zasłony w oknie wdziera się bardzo jasne słońce, a na pościeli widzę rysunek Luka Skywalkerera. W głowie mi huczy. Usta mi całkiem wyschły. Jest tu biurko; półka na książki pełna numerów „National Geographic”; sznury koralików nad drzwiami; na zewnątrz miliony owadów; zuluska tarcza plemienna i dzida zdobiona świecidełkami, przez co chyba już jestem bliski rozwiązania zagadki, coraz bliższy...

Chata ojca w Niskim Veldzie. Głośno wzdycham z ulgą i całą moją wściekłość na mamę ze snu ulatania się, *pffff*, w jednej chwili. Jest Wigilia Bożego Narodzenia, a ja jestem w Rodezji! Wczoraj tu przyleciałem na pokładzie British Airways, zupełnie sam, to był mój pierwszy lot samolotem, i poprosiłem o zapiekankę z rybą, bo nie wiedziałem, co to jest boeuf

bourguignon. Tata i Joy odebrali mnie z lotniska dżipem. Po drodze tutaj widzieliśmy zebry i żyrafy. Żadnych strasznych portretów, żadnych Slade House, żadnych mastifów. Pani Todds, moja nauczycielka angielskiego, z miejsca stawia niedostateczny, kiedy ktoś na końcu pisze „Obudziłem się i to był tylko sen”. Mówi, że to złamanie umowy między czytelnikiem i pisarzem, że to tania sztuczka, nadużycie zaufania. Ale codziennie rano naprawdę się budzimy i to naprawdę był tylko sen. Chociaż wielka szkoda, że Jonah nie było naprawdę. Odsuwam zasłonę przy łóżku i widzę wzgórze lasów i traw ciągnących się w nieskończoność. W dole płynie brunatna rzeka, gdzie żyją hipopotamy. Tata wysłał mi polaroid właśnie z tym widokiem. Wisi na ścianie u mnie w pokoju, w Anglii, tuż przy poduszce, ale tutaj widzę go naprawdę. Afrykańskie ptaki, afrykański poranek, afrykańskie ptasie trele. Czuję zapach bekonu i wstaję z łóżka. Mam na sobie piżamę z katalogu Kays. Sosnowa podłoga ma mnóstwo sęków, jest ciepła i to miłe czuć ją pod stopami, a sznury koralików dotykają mojej twarzy jakby mnóstwem palców...

\* \* \*

Tata siedzi przy stole, czyta „Rhodesian Reporter”, ubrany jest w koszulę khaki z krótkim rękawem.

– Kraken się obudził.

Tata zawsze rano tak mówi. *Przebudzenie Krakena* to tytuł książki Johna Wyndhama o potworze, który topi góry lodowe i zalewa świat potopem.

Siadam.

– Dzień dobry, tato.

Tata składa gazetę.

– Cóż, rano pierwszego dnia w Afryce chciałem cię obudzić sam, ale Joy mi nie pozwoliła. „Niech sobie biedak pośpi, leciał przecież

dwanaście godzin bez przerwy”. Więc obudzę cię jutro. Głodny?

Kiwam głową. Chyba muszę być głodny. A tata przechyla głowę w stronę kuchennego okienka:

– Joy? Violet? Młody człowiek czeka na strawę!

Okienko się otwiera i pojawia się w nim Joy.

– Nathan!

Wiedziałem wcześniej o Joy, o której mama mówi „lalunia twojego ojca”, ale to nadal był szok, zobaczyć, jak tata trzyma za rękę inną kobietę. W czerwcu urodzi im się dziecko, więc musieli odbyć stosunek płciowy. Dziecko będzie moim przyrodnim bratem, albo przyrodnią siostrą, ale nie dostało jeszcze żadnego imienia. Zastanawiam się, co robi całe dnie.

– Dobrze spałeś? – pyta Joy. Ma rodezyjski akcent, jak tata.

– Tak. Ale śniły mi się dziwne rzeczy.

– Mnie zawsze śnią się dziwne rzeczy po długim locie samolotem. Okelo, Nathan, kanapka z bekonem?

Lubię, jak Joy mówi „Okelo”. Mama by się zzymała.

– Tak, poproszę.

– I trochę kawy dobrze mu zrobi – dodaje tata.

– Mama mówi, że jestem za młody na kofeinę – uprzedzam.

– Wymyśli – odpowiada tata. – Kawa to eliksir życia, a rodezyjska kawa jest najszlachetniejsza na świecie. Właśnie że się napijesz.

– Okelo, kanapka z bekonem i kawa raz! – podsumowuje Joy. – Powiem Violet, żeby już szykowała.

Okienko się zamyka. Violet to służąca. Mama często krzyczała do ojca: „Nie jestem, do cholery, twoją służącą, Frank!”. Tata zapala fajkę, a aromat tytoniu przywraca wspomnienia czasów, kiedy z mamą byli małżeństwem. Wolną stroną ust tata mówi:

– Opowiedz, kolego, co ci się śniło.

Ten łeb gazeli mnie rozprasza, tak samo jak muszkiety dziadka

taty z wojny burskiej i jak wiatrak pod sufitem.

– Mama zabrała mnie z wizytą do jednej lady, takiej lady od lorda. Jej domu nigdzie nie było, więc zapytaliśmy takiego człowieka, który mył okna, ale on też nie wiedział... potem go znaleźliśmy, to był wielki dom, jak w *Dumie i uprzedzeniu*. Był tam taki chłopak, Jonah, ale zmienił się w ogromnego psa. I był tam też Yehudi Menuhin i mama grała z nim na piętrze – tata tłumi parsknięcie – a potem zobaczyłem swój własny portret, ale brakowało mi na nim oczu i... – Widzę w kącie małe czarne żelazne drzwi. – Te drzwi też tam były.

Tata ogląda się za siebie.

– W snach czasami tak jest. Rzeczywistość miesza się z tym, co się nam tylko śni. Tuż przed pójściem spać pytałeś o drzwi do pokoju, w którym trzymam broń. Nie pamiętasz?

Chyba musiałem pytać, skoro tata tak mówi.

– W tym śnie wszystko wydawało się takie niesamowicie naprawdę.

– Wiem, że wydawało się naprawdę, ale sam widzisz, że nie było. Prawda?

Patrzę w piwne oczy taty, przyglądam się zmarszczkom na jego twarzy, jego opaleniznie, siwym pasmom wśród jasnych włosów, jego nosowi, takiemu samemu jak mój. Zegar tyka *tink... tank... tink... tank...* i na zewnątrz, niedaleko, rozlega się jakiś odgłos, jakby trąbienia. Patrzę na tatę w nadziei, że to jest właśnie to, o czym myślę.

– Dobrze myślisz, kolego, wczoraj po południu jakieś stado przybłąkało się na drugą stronę rzeki. Później pójdziemy je zobaczyć, ale najpierw coś przegryź.

– Proszę bardzo – mówi Joy, stawiając przede mną tacę. – Twoje pierwsze afrykańskie śniadanie.

Moja kanapka z bekonem wygląda bosko, z potrójną warstwą



bekonu i skapującym keczapem.

– Konkretny paździerz – oceniam. – Słyszałem, jak mówił tak ktoś w jakimś serialu komediowym, i wszyscy się śmiali.

– Prawdziwy z ciebie komplementarz – mówi Joy. – Ciekawe, po kim to masz...

Tata obejmuje Joy w talii.

– Najpierw spróbuj kawy. Od razu po niej zmężniejesz.

Podnoszę kubek i wpatruję się w jego wnętrze. Jest czarne jak smoła, jak dziury w kosmosie, jak Biblia.

– Violet świeżo zmieliła ziarna – mówi Joy.

– Konkretna kawa – dodaje tata. – Pij, kolego.

Jakaś głupia część mnie mówi: „Nie, nie pij, nie wolno ci pić”.

– Mama nigdy się nie dowie – zapewnia tata. – To będzie nasza tajemnica.

Kubek jest taki szeroki, że zakrywa mi nos jak maska gazowa.

Kubek jest taki szeroki, że zakrywa mi oczy, zakrywa mi całą głowę.

I wtedy, cokolwiek w nim jest, zaczyna mnie pić.

\* \* \*

Upłynął jakiś czas, ale nie wiem ile. Szczelina światła otwiera swoje oko i staje się długim płomieniem. Zimnym i białym jak gwiazda. Świeczka, na świeczniku, na porysowanych deskach podłogi. Świecznik jest z matowego srebra albo z jakiegoś szarego stopu, czy też z ołowiu, a na nim są jakieś symbole, albo może litery jakiegoś martwego języka. Płomień się nie porusza, jakby taśma czasu się zacięła. W szarym mroku widnieją trzy twarze. Z mojej lewej strony widzę lady Grayer, ale jest teraz młodsza, młodsza niż mama. Z prawej strony jest Jonah Grayer, ale jest starszy niż ten Jonah w ogrodzie. To bliźniacy, myślę. Mają na sobie szare okrycia z kapturami zarzuconymi na tył głowy. Jonah

ma krótkie włosy, a ona długie i złote, a nie czarne jak wcześniej. I klęczą, jakby się modlili czy medytowali. Są nieruchomi jak figury z wosku. Jeżeli oddychają, nie widzę tego. Trzecia twarz należy do Nathana Bishopa, naprzeciwko mnie. Jestem odbiciem w wysokim prostokątnym lustrze stojącym na podłodze. Ciągłe mam na sobie tweedową marynarkę z Oxfamu i tę samą muszkę. Kiedy próbuję się ruszyć, nie mogę. Nie drgnie mi żaden mięsień. Nie mogę ruszyć głową ani podnieść ręki, ani mówić, ani nawet mrugnąć okiem. Jakbym był sparaliżowany. To niewiarygodnie przerażające, ale nie potrafię nawet cicho jęczeć przez nos, jak jęczą przerażeni ludzie z kneblem w ustach. Jestem pewien, że to nie jest ani niebo, ani piekło, ale wiem, że to nie jest Rodezja. Chata taty była wyłącznie jakąś wizją. Pomodliłbym się, żeby to były tylko halucynacje po valium, ale nie wierzę w Boga. Jestem na jakimś strychu, sądząc po spadzistym dachu i belkach stropu. Czy Grayerowie są tu uwięzieni jak ja? Wyglądają jakby urodzili się w Midwich<sup>1</sup>. Gdzie się podział Yehudi Menuhin, wszyscy goście, wieczorek? Gdzie jest mama?

\* \* \*

Płomień ożywa, a symbole na świeczniku zmieniają się i zmieniają, jakby świecznik szybko myślał, a symbole były jego myślami. Głowa Jonah Grayera przesuwa się. Jego ubranie szeleści.

– Twoja mama prosiła, żeby cię przeprosić – mówi, dotykając twarzy, jakby sprawdzał, czy nadal należy do niego. – Musiała już iść.

---

1 W horrorze Johna Wyndhama *Kukulcze jaja z Midwich* podczas pikniku wszyscy mieszkańcy miasta zapadają w sen. Po kilku tygodniach okazuje się, że wszystkie kobiety zaszły w ciążę, a wszystkie dzieci, które się potem rodzą, wyglądają identycznie (przyp. tłum.).

Usiłuję zapytać, dokąd. Ale nic, czego potrzebuję do wypowiedzenia słów – szczęka, język, usta – nie działa. Dlaczego mama wyszła beze mnie? Ten drugi ja w lustrze wpatruje się we mnie w odpowiedzi na moje spojrzenie. Żaden z nas nie może się ruszyć. Nora Grayer zgina i prostuje palce, jakby się właśnie budziła. Czy mi coś wstrzyknęli?

– Za każdym razem, kiedy wracam do ciała – odzywa się – coraz mniej czuję, jakbym wracała do siebie, a coraz bardziej, jakbym wchodziła w obcą skorupę, do tego wycięczoną. Wiesz, chciałabym się jej już pozbyć.

– Uważaj, bo może się spełnić – odpowiada Jonah. – Jeżeli cokolwiek stałoby się twojemu przyrodzonemu ciału, twoja dusza rozpuściłaby się jak kostka cukru i...

– Doskonale wiem, co by się stało. – Głos Nory Grayer stał się teraz chłodniejszy i bardziej gardłowy. – Widziałam, że fryzjerka przyszła nieproszona w odwiedziny.

– O jakiej fryzjerce mówisz? – pyta Jonah.

– O naszym poprzednim gościu. O twoim „Skarbie”. Pojawiła się w oknie. A potem na schodach, przy swoim portrecie, próbowała jakoś ostrzec chłopaka.

– W oknie pokazał się jej powidok, chciałaś powiedzieć. To się zdarza. Ona sama zniknęła na dobre, rozwiła się jak kółko dymu wypuszczone wiele lat temu w wichurę gdzieś nad Rockall na oceanie. Jest już zupełnie nieszkodliwa.

Brązowawa ćma lata wokół płomienia świecy.

– Rozzuchwalają się – stwierdza Nora Grayer. – Przyjdzie taki dzień, że „nieszkodliwy powidok” storpeduje nam Dzień Otwarty.

– Jeśli – ale tylko jeśli – kiedykolwiek coś by zakłóciło nasz Teatr Umysłu i jakiś gość by nam uciekł, po prostu poprosilibyśmy zaprzyjaźnionych Blackwatermanów, żeby go sprowadzili z powrotem. Za to im płacimy. Niemało.

– Nie doceniasz zwykłych ludzi, Jonah. Nigdy ich nie doceniałeś.

– Naprawdę coś by ci się stało, siostró, gdybyś choć raz powiedziała: „Świetna robota, genialna antyfona, zorganizowałeś nam soczystą, już zmiękczoną i skruszałą duszę, dzięki której będziemy mieli zasilanie na kolejne dziewięć lat. *Bon appétit*”?

– W twojej afrykańskiej chacie brakowało jeszcze tylko Tarzana na lianie. Szczyt banału, okropna podróba, bracie.

– Wcale nie miała być prawdziwa, musiała tylko pasować do Niskiego Veldu z wyobrażeń naszego gościa. W każdym razie chłopak nie jest zdrowy na umyśle. Nie zauważył nawet, że płuca mu nie pracują. – Jonah patrzy na mnie jak Gaz Ingram.

To prawda. Nie oddycham. Moje wyłączone ciało nie podniosło alarmu. Nie chcę umierać. *Nie chcę umierać.*

– Och, przestań się mazać, na Boga – jęczy Jonah. – Nie znoszę mazgajów. Twojemu ojcu byłoby za ciebie wstyd. Ja się nigdy tak nie mazgałem w twoim wieku.

– „Nigdy się nie mazgałeś?” – prychna Nora. – Kiedy zmarła matka...

– Powspominamy sobie później, siostró. Kolacja czeka. Ciepła, zdezorientowana, przestraszona i opita destruktynem. Czas ją wyfiletować.

Rodzeństwo Grayerów wypisuje w powietrzu jakieś litery. Nad świecą, trochę powyżej wysokości głowy, ciemność powoli się zagęszcza. Z tego zagęszczenia coś się tworzy. Coś, co ma ciało, bezkształtne, wielkości pięści, pulsująca plama czerwona jak krew, jak wino, jak krew, jak wino, szybciej i jaskrawiej, wielkości ludzkiej głowy, ale bardziej przypomina serce, wielkie jak piłka futbolowa, po prostu zawieszona w przestrzeni. Wyrastają z tego żyły jak macki ośmiornicy i wiją się w powietrzu jak bluszcz. Wyciągają się w moją stronę, chcą mnie pochwycić. Nie mogę odwrócić głowy ani nawet zamknąć oczu. Niektóre z tych

dziwnych żył wciskają mi się do ust, inne do uszu, dwie do dziurek w nosie. Kiedy widzę swoje odbicie, chcę krzyżeć, krzyżałbym, gdybym tylko mógł, albo straciłbym przytomność, ale nie mogę. Wtedy na moim czole otwiera się punkcik bólu.

W lustrze widać w tym miejscu czarną kropkę. Coś...

...wycieka z niej, po czym unosi się w powietrzu trzy cale od moich oczu. Tak, przezrzysta chmurka gwiazd, na tyle mała, żeby zmieściła się w dłoniach. To moja dusza.

Patrzcie.

*Patrzcie.*

Piękna jak, jak...

*Piękna.*

Rodzeństwo Grayerów nachyla się, ich twarze jarzą się światłem, jak cały lunapark, i wiem, czego są głodni. Ściągają usta i zaczynają wsysać. Okrągła chmurka rozciąga się jak ciasto... i dzieli się na dwie mniejsze okrągłe chmurki. Jedna wpada do ust Jonah, druga do ust Nory. Oboje zamykają oczy jak mama, kiedy zobaczyła Władimira Aszkenaziego w Royal Albert Hall. Pełnia szczęścia. Błogość. Wewnątrz czaszki wyję, a moje wycie odbija się echem i dudni, i dudni, i dudni, i dudni, ale nic nie trwa wiecznie... To wielkie bijące coś, jakby serce, już zniknęło, a rodzeństwo Grayerów znowu klęczy tam gdzie wcześniej. Ogień przestał migotać. Czas znowu się zatrzymał. Brązowa ćma zamarła cal od płomienia. Zimnego i białego jak gwiazda. Nathan w lustrze zniknął, a jeśli on zniknął, to ja...

# Na białym koniu

1988

„Dobry wieczór, minęła osiemnasta w sobotę dwudziestego drugiego października, najważniejsze wiadomości dnia. Przemawiając na konferencji prasowej przy Downing Street, minister spraw wewnętrznych Douglas Hurd odparł krytykę wobec wprowadzonego przez rząd zakazu nadawania w mediach wywiadów z członkami irlandzkiej partii republikańskiej Sinn Fein. Minister Hurd powiedział...”. Wyłączyłem radio, wysiadłem z samochodu i przyjrzałem się pubowi. The Fox and Hounds. Powróciło do mnie wspomnienie, jak z Julią wpadliśmy tu kiedyś na drinka. Szukaliśmy wtedy dla nas domu i oglądaliśmy jakiś przy Cranley Road, przecnicę dalej. W agencji nieruchomości prezentował się całkiem porządnie, ale okazał się jakąś obsraną norą – zatęchłą, ponurą, z ogrodem za małym nawet na to, żeby zakopać w nim trupa. Wyglądał tak przygnębiająco, że musieliśmy szybko podnieść się na duchu czymś płynnym, by w ogóle móc ruszyć z powrotem. To było pięć lat temu. Minęło pięć lat, jedno wesele, jeden ponury miesiąc miodowy w Wenecji, cztery Boże Narodzenia z koszmarną rodziną Julie, czyli pieprzniętymi ekologami wojującymi z energią jądrową, półtora tysiąca misek płatków owsianych, dwieście pięćdziesiąt butelek wina, trzydzieści wizyt u fryzjera, trzy tostery, trzy koty, dwa awanse w pracy, jeden vauxhall astra, kilka paczek durexów, dwie pilne wizyty u dentysty, kilkanaście awantur o różnym stopniu natężenia i jedna mocarna domowa jatka zakończona fizyczną napaścią. Julie nadal mieszka w domu na wsi z widokiem na las i konie, a ja w mieszkaniu na tyłach wielopiętrowego parkingu. Sędzia Jones stwierdził, że miałem szczęście, bo nie wyrzucono mnie z policji.

Dzięki Bogu nie mieliśmy z Julie dzieci, inaczej chesałaby ze mnie alimenty, jak również odszkodowanie za „uszczerbek na ciele”. Pazerna picz. Pięć lat minęło. Jakby to, kurwa, było wczoraj.

\* \* \*

Ruszyłem Westwood Road, uważnie wypatrując celu. Zapytałem jakąś kobietę w mini i sztucznym futrze ze szczura – zakład, że szukała klienta – czy słyszała o Slade Alley, ale pokręciła głową i poszła dalej, nawet się nie zatrzymując. Przejechało obok mnie trzech azjatyckich chłopaków na deskach, ale jak na jeden dzień miałem już dosyć naszych braci wpieprzających curry, więc ich nie zapytałem. Przebiegł koło mnie jakiś truchtający facet w pomarańczowo-czarnym dresie, ale biegacze-amatorzy to pajace. Wszyscy multi-kulti ciągle podnoszą krzyk na temat rasizmu w policji, ale chciałbym zobaczyć, jak utrzymują porządek w mieście pełnym Fuckistańczyków, którzy po angielsku znają tylko dwa słowa: „policja” i „szykany” i których rzekome kobiety chodzą zakutane w czarne namioty. Trzymanie się za ręce i śpiewanie „Ebony and Ivory” jakoś nie wystarcza.

Zapaliły się latarnie i zapowiadało się na deszcz. W taką pogodę Julie dostawała swoich tajemniczych migren. Byłem zmęczony po długim, ciężkim dniu i miałem wielką ochotę jebnąć tym wszystkim, i gdyby tylko naszym nadkomisarzem nie był Trevor Doolan, zostawiłbym to w chuj i pojechał do domu dojeść resztki wczorajszego indyjskiego wynosu, pośmiać się z Sharon i Wayne’ów w „Randce w ciemno”, a potem zapytać, czy Gonzo i chłopaki nie wyskoczyliby ze mną na piwo. Niestety Trevor Doolan jest naszym nadkomisarzem i do tego ma wewnętrzny wykrywacz kłamstw, więc w poniedziałek wsiadłby na mnie z pytaniami, na które potrafiłbym odpowiedzieć tylko pod warunkiem, że naprawdę zbadałem trop podrzucony przez



słynnego Freda Pinka. Doolan poleciłby mi na przykład: „Opisz tę uliczkę, Edmonds...”. W listopadzie wypada ocena mojej służby, a za dwa tygodnie raport w sprawie Malika, więc muszę lizać Doolanowi dupę, w zasadzie nie wyjmując z niej języka. Wlokłem się więc Westwood Road, rozglądałem się w prawo, rozglądałem się w lewo, szukałem Slade Alley. Zastanawiałem się, czy to możliwe, że w dniu Freda Pinka Slade Alley zlikwidowano, a jej teren przekazano właścicielom przyległych domów. Rada Gminy tak robi, z naszym błogosławieństwem – boczne zaułki to wylęgarnie kłopotów. Doszedłem do końca ulicy, gdzie A2 przelatuje koło parku, i rzuciłem peta koło krawężnika. Za kierownicą karetki ze szpitala św. Jana siedział gość z rozwalonym nosem i już miałem go zapytać, czy wie, gdzie jest Slade Alley, ale stwierdziłem: „jebać to” i wróciłem do samochodu. Może by tak szybkie piwko w The Fox and Hounds? – pomyślałem. Przepędzić egzorcyzmami ducha Julie.

\* \* \*

W połowie drogi z powrotem na Westwood Road trafiłem na awanturę między kurduplem ze straży miejskiej a dwoma wielkimi kafarami w żółtych kamizelkach dobre pół metra wyższymi od niego. Stali tak, że mnie nie widzieli. Budowlańcy, od razu można było poznać. Nikt z tej trójki nie zauważył, jak podchodzę.

– No to pana notesik nie ma racji. – Budowlaniec numer jeden dźgał mundurowego w węzeł krawata. – Przyjechaliśmy tu dopiero po czwartej, jasne?

– Ale ja tu byłem – zapowietrzył się strażnik wypisz wymaluj jak Lech Wałęsa, tylko z jeszcze bardziej opadającym wąsem. – Na moim zegarku...

– Pański zegareczek źle pokazuje – stwierdził budowlaniec numer dwa.

Strażnik miejski robił się już różowy na twarzy.

– Mój zegarek jest bardzo dokładny.

– Mam nadzieję, że ma pan gadane w sądzie – ciągnął budowlaniec numer jeden – bo jeśli ława przysięgłych na kogoś się zżyma, to na takich małych Napoleoników, na sprywatyzowanych strażników miejskich.

– Do cholery jasnej, mój wzrost nie ma nic wspólnego z niedozwolonym parkowaniem!

– Ooo, słowo na „ch”! – podchwycił budowlaniec numer dwa. – Zniewaga słowna. I ani razu nie zwrócił się pan do mnie per „sir”. Przynosi pan wstyd swojemu przypinanemu krawatowi.

Strażnik wypisał coś w bloczku mandatów, wydarł kartkę i wsunął za wycieraczkę brudnej białej furgonetki, obok której stali.

– Ma pan czternaście dni na zapłatę albo sprawa zostanie objęta postępowaniem sądowym.

Budowlaniec numer jeden wyrwał mandat z za wycieraczki, wytarł go sobie o tyłek i zmiał w garści.

– Bardzo to odważne – odparł Lech Wałęsa – ale i tak będziecie musieli zapłacić.

– Będziemy musieli? Bo obaj słyszeliśmy, że prosił pan o łapówkę. Prawda?

Budowlaniec numer dwa założył ręce na piersi.

– Prosił o pięćdziesiąt funtów. Aż nie mogłem uwierzyć. A ty mogłeś?

Strażnikowi szczęka chodziła w górę i w dół.

– Nie prosiłem!

– Dwóch na jednego. Smród zostaje na długo, panie cwelu. Niech pan pomyśli o emeryturze. Dobrze radzę, niech pan zwróci i sobie pójdzie...

– A ja byłem właśnie świadkiem próby zawiązania zмовy w celu

złożenia fałszywych zeznań – odezwałem się i obaj budowlańcy odwrócili się w moją stronę – i udaremnienia prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. – Starszy z nich miał złamany nos i wygoloną głowę. Młodszy wyglądał jak piegowaty czubek marchewki, z oczami jak rodzyнки osadzonymi zbyt blisko siebie. Wypluł gumę do zucia na chodnik między nami. – Jak również widziałem wykroczenie w postaci zaśmiecania terenu – dodałem.

Złamany Nos zrobił krok do przodu i wpatrywał się we mnie z góry.

– A pan jest...?

Nie lubię się chwalić, ale chrzest bojowy przeszedłem w słynnych rozruchach w Brixton, a w bitwie z górnikiem w kopalni Orgreave zdobyłem wyróżnienie za odwagę. Był kudłaty tynkarz mnie nie nastraszy.

– Inspektor śledczy Gordon Edmonds, Wydział Kryminalny, Thames Valley Police. – Machnąłem mu moją szmatą. – Mam propozycję. Proszę podnieść ten mandat. I gumę. Wsiąść do waszego gruchota, odjechać i zapłacić mandat w poniedziałek. Wtedy może we wtorek nie naślę na was inspektora podatkowego. I po co ta mina? Nie podoba się panu, jakim językiem się, kurwa, do pana zwracam? Sir?

\* \* \*

Razem ze strażnikiem miejskim patrzyliśmy, jak odjeżdżają. Zapaliłem szluga i poczęstowałem jednym Lecha Wałęsę, ale pokręcił głową.

– Bardzo dziękuję, ale nie. Żona by mnie zamordowała. Rzuciłem. Najwyraźniej.

Siedział pod pantoflem, wielkie mi zdziwienie.

– Niewdzięczna praca, co?

Schował swój bloczek mandatów.

– Pańska, moja czy bycie żonatym?

– Nasza. – Miałem na myśli jego. – Służba publiczna w Wielkiej Brytanii.

Wzruszył ramionami.

– Pan przynajmniej może czasami komuś dokopać.

– W żadnym razie. Jestem przykładowym, zbierającym pochwały funkcjonariuszem policji.

Prosto na nas szedł sobowtór Boba Marleya. Strażnik miejski ustąpił mu z drogi, ja nie. Dredziarz prowokacyjnie przeszedł centymetr ode mnie. Strażnik spojrzał na zegarek.

– Akurat pan tędy przechodził, inspektorze?

– I tak, i nie – odparłem. – Szukam bocznej uliczki, Slade Alley, ale nie jestem pewien, czy w ogóle istnieje. Może pan wie, gdzie jest?

Lech Wałęsa najpierw spojrzał na mnie ze zdziwieniem, potem się uśmiechnął, ustąpił na bok i kręcąc dłonią esy-floresy w powietrzu jak jakiś tani magik, wskazał na wąską alejkę biegnącą między dwoma domami. Dwadzieścia jardów dalej skręcała w lewo, pod rzucającą słabe światło wysoką latarnią.

– To tutaj? – zapytałem.

– Owszem. O, tu jest tabliczka. – Wskazał na boczną ścianę domu po prawej stronie, gdzie zamazana stara tablica głosiła: SLADE ALLEY.

– Kurde. – Pokręciłem głową. – Musiałem jej nie zauważyć.

– Cóż, wie pan. Przysługa za przysługę. Będę już szedł, lichy nie śpi. Do zobaczenia, inspektorze.

\* \* \*

W alejce powietrze było chłodniejsze niż na ulicy. Podeszedłem do pierwszego rogu, gdzie uliczka skręcała w lewo i biegła może

jakieś pięćdziesiąt kroków, po czym zakręcała w prawo. Z lotu ptaka Slade Alley musiała wyglądać jak połowa swastyki. Wysokie mury wzdłuż całej jej długości, żadnych wychodzących na alejkę okien. Raj dla ulicznych złodziei. Przeszedłem środkowy odcinek, żeby móc spokojnie spojrzeć w te małe oczka nadkomisarza Doolana i powiedzieć, że dokonałem inspekcji Slade Alley krok po kroku i znalazłem jajco, sir. I właśnie wtedy natrafiłem na te małe czarne żelazne drzwi, gdzieś w połowie środkowej części alejki, po prawej stronie. Pozostawały niewidoczne aż do chwili, gdy się na nie wpadło. Sięgały mi zaledwie do szyi i miały jakieś dwie stopy szerokości. Jak o większości ludzi można o mnie oczywiście powiedzieć wiele rzeczy: że kibicuję West Hamowi, że jestem „potworem z bagien” z Isle of Sheppey, że jestem singlem z odzysku po niedawnym rozwodzie, że mam na karcie kredytowej Access, mojej elastycznej przyjaciółce, zadłużenie na ponad dwa tysiące funtów, które stale rośnie, ale również, że jestem gliną i jako glina nie potrafię przejść obok drzwi wychodzące na ulicę i nie sprawdzić, czy są zamknięte na zamek. Szczególnie kiedy robi się ciemno. Te drzwi nie miały klamki, ale proszę, proszę, kiedy pchnąłem dłonią metal, cholerstwo otworzyło się niespodziewanie łatwo. Schyliłem więc głowę, żeby zajrzeć do środka...

...i tam, gdzie spodziewałem się zobaczyć brudne małe podwórko, znalazłem długi ogród ze stopniami tarasów, schodami i drzewami, ciągnący się aż do wielkiego domu. Oczywiście ogród był trochę zapuszczony, tu i ówdzie rosły chwasty i cierniste krzaki, a staw i ozdobne krzewy widziały kiedyś lepsze czasy, ale i tak widok zapierał dech w piersi. Na krzewach róż nadal kwitły kwiaty, a wysoki mur wokół ogrodu musiał chyba dobrze osłaniać przed wiatrem, bo na drzewach owocowych była jeszcze większość liści. I Jezu Chryste, sam dom... Prawdziwa

rezydencja. Wspanialsza niż wszystkie okoliczne domy, na wpół zarośnięta czerwonym bluszczem. Wielkie wysokie okna, schody do drzwi frontowych. Zastony w oknach były zaciągnięte, ale w zmierzchającym świetle dnia cały dom błyszczał jak cukierek toffi. Był przepiękny. Wart niezłą fortunę, szczególnie że ceny nieruchomości rosną teraz we wściekłym tempie. Dlaczego więc, dlaczego właściciele zostawili drzwi ogrodowe otwarte dla przypadkowych przechodniów, żeby sobie włazili, kiedy chcą? Właściciele muszą być nienormalni, pomyślałem. I nie ma nawet żadnego alarmu przeciwwłamaniowego, o ile dobrze widzę. To już mnie wkurzyło – bo zgadnijcie, kto musi ratować sytuację po włamaniu do domu bogaczy? Służby mundurowe. Ruszyłem więc prawie bezwiednie kamienistą ścieżką, żeby zwrócić właścicielowi uwagę i upomnieć go, by przestrzegał zasad bezpieczeństwa.

Już trzymałem w dłoni kołatkę, kiedy ktoś zapytał cichym, łagodnym głosem:

– W czym mogę pomóc?

Odwrociłem się i u stóp schodów zobaczyłem tę kobietę. Była mniej więcej w moim wieku, miała blond włosy i krągłości w odpowiednich miejscach, ukryte pod obszerną koszulą i ogrodniczkami. Niezła szprycha, nawet w kaloszach.

– Inspektor śledczy Edmonds, Thames Valley Police. – Zszedłem po schodach. – Dobry wieczór. Czy jest pani właścicielką tej posesji?

– Taak. Tak. Chloe Chetwynd. – Wyciągnęła dłoń, ze złączonymi palcami, grzbietem zwróconą ku górze, jak kobieta, tak że trudno uścisnąć porządnie tak podaną dłoń. Na jej palcu zauważyłem ślubną obrączkę. – W czym mogę pomóc, inspektorze? Najmocniej przepraszam, nie zapamiętałam pańskiego nazwiska.

– Edmonds, szanowna pani. Inspektor śledczy.

– Oczywiście. Jestem... – Chloe Chetwynd wykonała nieokreślony gest dłonią przy swojej głowie. A potem zadała pytanie, na które czekałem: – Czy coś się stało?

– Jeszcze nie, szanowna pani. Ale jeśli nie zamknie pani furtki do ogrodu, coś na pewno się stanie. Mógł tu wejść każdy, nie tylko ja. Nie wiem, czy sobie pani zdaje z tego sprawę.

– Och Boże, furtka! – Chloe Chetwynd odsunęła z twarzy pasemko delikatnych złotych włosów. – Kiedyś był na niej taki jakiś... haczyk z drutu, ale pordzewiał. Chciałam nawet już to jakoś naprawić, ale w czerwcu zmarł mój mąż i od tamtej pory panuje tu lekki... nieporządek.

To wiele wyjaśnia.

– Oczywiście. Bardzo mi przykro to słyszeć, ale włamywacz zostawiłby w pani domu duuużo większy bałagan. Kto jeszcze tu z panią mieszka?

– Tylko ja tu mieszkam, inspektorze. Siostra została ze mną dwa tygodnie po śmierci Stuarta, ale ma rodzinę w King's Lynn. Dwa razy w tygodniu przychodzi do mnie sprzątaczką, ale to wszystko. Ja, myszy i coś, co stuka po nocy. – Jej twarz wykrzywił nerwowy uśmiech, który właściwie nie był uśmiechem.

Wysokie fioletowe kwiaty kołysały się na łądych.

– Ma pani psa?

– Nie. Psy są takie jakieś... służalcze?

– Służalcze czy nie, lepiej chronią dom niż „taki jakiś haczyk z drutu”. Założyłbym zamki wpuszczane z potrójnym rygłem, na górze, pośrodku i na dole, w stalowej ościeżnicy. Ludzie zapominają, że to ościeżnica decyduje o wytrzymałości drzwi. Będzie trochę wydatków, ale kiedy dochodzi do włamania, ponosi się znaczne większe koszty.

– „Zamek wpuszczany z potrójnym rygłem”? – Chloe Chetwynd przygryzała wargę.

Jezu, bogacze są beznadziejni.

– Wie pani co, na komisariacie mamy majstra budowlańca. Jest z Newcastle-on-Tyne, więc będzie pani rozumiała co piąte słowo, ale wisi mi przysługę. Może by zgodził się wpaść jutro rano, jeśli dziś do niego zadzwonię. Chciałaby pani?

Chloe Chetwynd westchnęła głęboko i dramatycznie.

– Ojej, byłby pan tak miły? Byłabym bardzo wdzięczna. Majsterkowanie niestety nigdy nie było moją mocną stroną.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszałem dudnienie kroków wzdłuż domu. Czekałem, aż wypadną na nas jakieś dwa rozpędzone dzieciaki i nawet wszedłem na najniższy stopień schodów, żeby ustąpić im z drogi...

...ale kroki po prostu się oddaliły. To pewnie dzieciaki z sąsiedniej posesji i jakaś sztuczka echa. Chloe Chetwynd jednak spojrzała na mnie dziwnie.

– Słyszał ich pan?

– Pewnie. Dzieci sąsiadów, prawda?

Wyglądała niepewnie i przez chwilę nic z tego nie rozumiałem. Pomyślałem, że przez rozpacz po stracie męża stała się kłębkim nerwów. A odziedziczenie takiego domu jak grobowiec, wielkiego i starego, na pewno nie pomogło jej się pozbierać. Zacząłem żałować, że nie obszedłem się z nią wcześniej nieco delikatniej, i podałem jej moją wizytówkę.

– Proszę bardzo, to mój bezpośredni numer, gdyby... cokolwiek się stało.

Zerknęła na wizytówkę, a potem wsunęła ją do ogrodniczki. Przy udzie.

– To bardzo miło z pana strony. Już... już czuję się bezpieczniej.

Czerwony bluszcz zadrżał.

– Żałoba potrafi niezłe człowieka przetrzepać, przepraszam, że mówię tak obcesowo, i wtedy wszystko jest znacznie trudniejsze. –



Nie umiałem zdecydować, jakiego koloru Chloe Chetwynd ma oczy. Niebieskiego. Szarego. Przerazliwie samotnego.

– Kogo pan stracił, inspektorze? – zapytała.

– Mamę. Na białaczkę. Dawno temu.

– Nie ma czegoś takiego jak „dawno temu”.

Czułem się przepytwany.

– Pani mąż zginął w wypadku?

– Zmarł na raka trzustki. Stuart żył dłużej, niż przewidywali lekarze, ale... W końcu... sam pan wie. – Zachodzące słońce oświetlało delikatny meszek nad jej górną wargą. Głośno przełknęła ślinę i spojrzała na przegub, jakby miała na nim zegarek, choć nie miała. – Do licha, która już godzina się zrobiła! Nie będę pana dłużej zatrzymywać, inspektorze. Pozwoli pan, że odprowadzę pana do tych karygodnych drzwi?

\* \* \*

Przechodziliśmy pod drzewem, które rzuciło wcześniej mnóstwo małych liści w kształcie wachlarzyków. Zerwałem z trawnika jakiś sięgający mi do pasa chwast.

– Oj – westchnęła pani Chetwynd – pozwoliłam temu biednemu ogrodowi zarosnąć, obraz nędzy i rozpacz, prawda?

– Doskonale sobie z tym poradzi ogrodowe proso.

– Potrzebne mi będą chyba przemysłowe ilości, żeby opanować tę dżunglę.

– Dziwię się, że nie zatrudnia pani ogrodnika – zauważyłem.

– Mielśmy ogrodnika, Polaka, ale po śmierci Stuarta odszedł szukać innego zatrudnienia. Z naszą nowiutką kosiarką.

– Zgłosiła pani kradzież? – zapytałem.

Spojrzała na swoje paznokcie.

– Nie dałabym wtedy rady unieść tego wszystkiego. Było tyle innych spraw, którymi musiałam się zająć. Wiem, że to brzmi

żałośnie, ale...

– Szkoda, że nie wiedziałem. Mógłbym pomóc.

– To przemiłe z pana strony. – Przeszliśmy pod czymś w rodzaju treliazu, z którego zwieszały się fioletowe i białe kwiaty. – Najmocniej przepraszam, ale czy mogę zapytać – ciągnęła – czy był pan na Slade Alley służbowo, kiedy znalazł pan moje drzwi? Czy po prostu przechodził pan zupełnie przypadkowo?

Wcześniej, przez moment, kiedy wchodziłem do ogrodu, przyszedł mi na myśl słynny Fred Pink.

– Jestem tu służbowo.

– Ojej. W żadnej bardzo okropnej sprawie, mam nadzieję?

– Raczej w bardzo beznadziejnej, chyba że nazwiska Nora Grayer oraz Rita i Nathan Bishopowie cokolwiek pani mówią przez przypadek.

Zmarszczyła brwi.

– Nora Grayer... nie. Dziwne imię i nazwisko. Czy ci Bishopowie to to małżeństwo prezenterów z telewizji śniadaniowej w ITV?

– Nie – odparłem. – Ale nie ma powodów do obaw. To długa historia.

Doszliśmy już do końca kamienistej ścieżki, ale zamiast pożegnać mnie przy drzwiach, Chloe Chetwynd przysiadła na niskim murku przy zegarze słonecznym.

– Mój kalendarz szalonych spotkań towarzyskich jakoś świeci dziś pustkami – powiedziała trochę zalotnie. – Może ma pan ochotę opowiedzieć mi tę długą historię, inspektorze?

Po co miałem się śpieszyć do swojej nory? Wyjąłem szluga z kieszeni skórzanej kurtki.

– Mogę? Poczęstuje się pani?

– Może pan. I tak, poczęstuje się. Dziękuję.

Przysiadłem się więc do niej na murku, przypaliłem papierosa

najpierw jej, potem sobie.

– Dobrze, rozdział pierwszy. Rita i Nathan Bishopowie to matka i syn, którzy mieszkali tutaj niedaleko stacji, i którzy zniknęli w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Przeprowadzono wstępne dochodzenie, ale kiedy prowadzący je inspektor odkrył, że Rita Bishop tonęła po uszy w długach, a miała krewnych w Vancouver, uznano, że wyjechała, i sprawa jakoś sama ucichła. – Delikatny wietrzyk zawiewał dym z papierosa Chloe na moją twarz, ale nie przeszkadzało mi to. – I teraz rozdział drugi. Sześć tygodni temu człowiek nazwiskiem Fred Pink wybudził się ze śpiączki w szpitalu Royal Berkshire.

– O nim słyszałam – przerwała mi Chloe Chetwynd. – Pisali o tym w „Mail on Sunday”: „Czyściciel okien, który zmartwychwstał”.

– Tenże sam. – Strzepnąłem popiół na murek, po którym krążyło kilka mrówek. – Kiedy Fred Pink jeszcze nie był taki sławny, siedział akurat w miejskiej bibliotece, nadrabiając zaległości w lokalnej prasie. I właśnie tam natknął się na artykuł o zniknięciu Bishopów – i proszę, rozpoznał ich. A przynajmniej myśli, że ich rozpoznał. Twierdzi, że nawet zamienił z Ritą Bishop, mamą Nathana, parę słów... tutaj – wskazuję ruchem głowy małe żelazne drzwi – na Slade Alley, koło trzeciej po południu. Dwudziestego siódmego października siedemdziesiątego dziewiątego roku. W sobotę.

Chloe Chetwynd wyglądała na uprzejmie zdumioną.

– Pamięta bardzo dokładną datę.

– Bo to dla niego był szczególny dzień. Zaraz po tym, jak Rita Bishop zapytała go, czy wie, gdzie jest „rezydencja lady Nory Grayer”, Fred Pink poszedł dalej, taszcząc swoją drabinę, i skręcił z nią ze Slade Alley na Westwood Road, gdzie pędząca ciężarówka wysłała go w dziewięcioletnią śpiączkę.

– Niesamowite! – Na dużym palcu stopy Chloe Chetwynd kłapek kołysał się, po czym zsunął się na ziemię. – Ale jeśli ta „Nora Grayer” to jakieś szlacheckie nazwisko, nie powinno być kłopotów z jej znalezieniem.

Skinąłem głową.

– Też bym tak myślał, ale jak dotąd wszelkie tropy w naszych poszukiwaniach prowadzą donikąd. Przy założeniu, że Nora Grayer w ogóle istnieje.

Chloe Chetwynd zaciągnęła się papierosem, wstrzymała dym w płucach, po czym go wypuściła.

– Cóż, jeśli rzeczywiście istniała i rzeczywiście mieszkała gdzieś tutaj, to prawdopodobnie właśnie w Slade House, w naszym domu. To znaczy w moim. Ale ze Stuartem kupiliśmy go od rodziny nazwiskiem Pitt, nie Grayer. Pittowie mieszkali tu wcześniej przez wiele lat.

– Jeszcze przed siedemdziesiątym dziewiątym rokiem?

– Wręcz chyba jeszcze przed wojną. Jeśli o mnie chodzi, w siedemdziesiątym dziewiątym studiowałam w Luxemburgu historię sztuki i kończyłam pisanie pracy magisterskiej o Ruskinie. Oczywiście jeśli pan chce, inspektorze, może pan tu sprowadzić psy tropiące albo osuszyć stawik, jeśli uważa pan, że to coś może pomóc...

Przez zarośnięty trawnik przemknęła wiewiórka i zniknęła w grządce rabarbaru. Zastanawiałem się, kim, do licha, jest Ruskin.

– Nie sądzę, by to było konieczne. Co prawda mój komisarz twierdzi, że po tym wszystkim, co Fred Pink przeszedł, zasługuje, żeby jego zgłoszenie traktować poważnie, ale jeśli mam być szczery, tak zupełnie między nami, nie sądzimy, by sprawa znalazła jakiegokolwiek rozwiązanie.

Chloe Chetwynd pokiwała głową.

– To bardzo przyzwoite z panów strony, że traktujecie tego pana Pinka naprawdę serio. I mam szczerą nadzieję, że oboje Bishopowie żyją gdzieś i mają się dobrze.

– Założyłbym się o niezłą sumę, że żyją i mają się całkiem dobrze, będąc w stanie wysokiej wypłacalności, gdzieś w Kolumbii Brytyjskiej. – Nad kominami i antenami telewizyjnymi świecił księżyc. Wyobraźnia uchyliła przede mną jedną połę swojego płaszcza sprośności i pokazała mi zdjęcie Chloe Chetwynd wijącej się pode mną z rozkoszy. – Cóż, muszę niestety już lecieć. Powiem naszemu budowlańcowi, żeby wpadł jutro do pani, od frontu, dobrze?

– Jak mu będzie wygodnie.

Chloe Chetwynd wstała i przeszła ze mną ostatnie kilka kroków do małych czarnych żelaznych drzwi. Zabębniłem o nie palcami, zastanawiając się, czy poprosić ją o numer telefonu, ale ona powiedziała wtedy:

– Pani Edmonds mądrze wybrała męża, inspektorze.

Oho?

– Ta dziedzina mojego życia jest akurat w totalnej rozsypce. Zostałem porzucony, jestem samotny i wewnętrznie poobijany.

– W serialach telewizyjnych wszyscy najlepsi policjanci mają skomplikowane życie rodzinne. I naprawdę, proszę mówić mi po imieniu, jeśli taka forma jest dla pana dopuszczalna.

– Poza godzinami służbowymi jak najbardziej. Mam na imię Gordon.

Chloe bawiła się guziczkiem przy mankiecie swojej koszuli.

– Czyli już to mamy za sobą, Gordon. *Au revoir.*

Schyliłem się i przez komicznie małe drzwiczki wyeksponowałem się na Slade Alley. Uścisnęliśmy sobie dłonie przez próg. Przez chwilę myślałem, że ponad ramieniem Chloe widziałem jakiś ruch i krótki błysk światła w oknie na piętrze

Slade House, ale pewnie mi się przywidziało. Pomyślałem o moim mieszkaniu, o zlewie, o ciekącym kaloryferze, o numerze „Playboya” zatkniętym za szczotkę do kibla i przez chwilę marzyłem, że jestem w Slade House, patrzę na ogród w promieniach zachodzącego słońca i wiem, że Chloe zaraz wróci do domu, a jej skóra pod ubraniem będzie biała jak mleko.

– Spraw sobie kota – usłyszałem sam siebie.

Chloe uśmiechnęła się, marszcząc brwi.

– Kota?

\* \* \*

Na Westwood Road wszystkie samochody miały już zapalone światła i włączone wycieraczki, a krople deszczu kapąły mi na szyję i na mój jeszcze nie do końca wyłysiały czubek głowy. Wizyta u Chloe Chetwynd nie przebiegła do końca zgodnie z policyjnym protokołem, muszę przyznać. Osłabiłem czujność, na koniec wręcz flirtowaliśmy, a Trevor Doolan zdecydowanie nie byłby zachwycony, gdyby słyszał, co mówiłem o Fredzie Pinku. Od czasu do czasu jednak spotyka się na swojej drodze kobietę, przy której człowiek właśnie tak się zachowuje. Ale wszystko w porządku, Chloe Chetwynd potrafi dochować tajemnicy, ja też. Julie była papłą – na zewnątrz wręcz arogancka, ale w środku emocjonalna galareta – natomiast Chloe to jej przeciwieństwo. Pancierz ma mocno poszczerbiony, ale w środku jest niezniszczalna. Ten jej uśmiech na samym końcu, czy też półuśmiech... Jakby po przerwie w dopływie prądu w końcu włączyło się światło i w takiej chwili człowiek myśli „Alleluja!”. I tak sobie siedzieliśmy i paliliśmy, jakby to było coś najnaturalniejszego na świecie. Oczywiście Chloe Chetwynd ma ładne kilka funtów oszczędności, a jej dom jest wart fortunę, podczas gdy ja jestem goły i wesoły, ale ona do towarzystwa ma tylko pająki, myszy i wspomnienia o chorym

mężu. Pod pewnymi względami mogę być idiotą, ale jeśli chodzi o kobiety, mam bogatsze doświadczenie niż większość facetów. Spałem z dwudziestoma dwiema kobietami, od Angie Pike, która puszczała się z całym Sheerness, po znudzoną żonę maklera z Surrey, która lubiła kajdanki. I doskonale wiedziałem przecież, że Chloe Chetwynd też myślała o mnie tak, jak ja o niej. Kiedy wracałem do samochodu, czułem się wysportowany, szczupły i z parą w mięśniach. I byłem pewien, że w moim życiu zaczął się właśnie jakiś miły etap.

\* \* \*

„Dobry wieczór, minęła osiemnasta w sobotę dwudziestego dziewiątego października, najważniejsze wiadomości dnia. Sekretarz stanu USA George Schultz zapowiedział dziś na konferencji prasowej w Białym Domu, że ambasada amerykańska w Moskwie ma zostać gruntownie przebudowana w związku z odkryciem urządzeń podsłuchowych w ścianach budynku. Prezydent Reagan wyraził swoje...”. Kogo to w ogóle obchodzi, tak szczerze? Wyłączam radio, wysiadam i zamykam samochód. W tym samym miejscu, co siedem dni temu, dokładnie przed The Fox and Hounds. Co za masakryczny dzień! Dziś rano jakiś nafutrowany amfą chlor zaatakował sierżanta w dyżurce, kiedy akurat przechodziłem, i musieliśmy aż we czterech ciągnąć chlora do celi, gdzie debil umarł godzinę później. Raport toksykologii w końcu oczyścił nas z podejrzeń, ale i tak jesteśmy na cenzurowanym przez dochodzenie w sprawie Malika – z którego wstępne ustalenia, jak się dowiedzieliśmy w czasie lunchu, przeciekły do „Guardiana”. Zrobił się megasmród i afera na pół świata. Doolan zapowiedział, że będzie się starał osłonić mnie przed ogniem krytyki. „Będzie się starał”? Dość beznamiętna deklaracja. I żeby nie było za słodko, tuż przed moim wyjściem do

pracy przyszło ostateczne wezwanie do zapłaty z domu opieki ojca, jak również jeszcze bardziej ostateczne wezwanie do uregulowania zadłużenia na karcie kredytowej Access, mojej elastycznej przyjaciółce. W poniedziałek muszę załatwić przedłużenie terminu spłaty. A przynajmniej spróbować je załatwić. Promykiem słońca, który rozjaśniał ten dzisiejszy koszmar, był telefon od Chloe Chetwynd, która zadzwoniła po południu. Z początku brzmiała dość nerwowo, ale powiedziałem jej, że myślę o niej od zeszłej soboty. Odparła, że ona o mnie też – i przynajmniej dwa z moich narządów zakrzyknęły hurra! Kiedy więc wyszedłem z biura, zafundowałem sobie strzyżenie włosów za dwadzieścia pięć funtów w pedalskim salonie fryzjerskim i przyjechałem tu, zahaczając o Texaco, gdzie sprzedają goździki i prezerwatywy. Zawsze czujny, zawsze gotowy, tak? Idę śpiesznie chodnikiem, pogwizdując „When You Wish Upon a Star”, omijam łukiem pierwszego biegacza we fluorescencyjnie pomarańczowo-czarnym wdzianku, a potem gościa w moim wieku, który mozolnie pcha dziecięcą spacerówkę. Bachor wyje wniebogłosy, a mina gościa pyta: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego wystrzeliłem białkiem w owulującą samicę?”. Trochę za późno, stary.

Przy skręceniu w Slade Alley nie widać dziś strażnika miejskiego. Skręcam zatem w chłodny zaułek i idę do rogu, skręcam w lewo, dwadzieścia kroków i oto są – małe czarne żelazne drzwi. Pcham z dość dużą siłą, ale dzisiaj nie chcą się otworzyć. Nic nie chrzęści, nic nie ustępuje, zero. Nowa framuga, zabetonowana, a wokół dolnej krawędzi świeżo położone cegły. Fachowa robota. Nie dałoby się nawet wsunąć łomu. Ruszam więc dalej Slade Alley w stronę Cranbury Avenue, żeby znaleźć główne wejście do Slade House, kiedy słyszę klik i głuchy stuk od małych czarnych żelaznych drzwi. W mikroskopijnym wejściu pojawia się ona.



– Dobry wieczór, inspektorze.

Ma na sobie pseudoazteckie ponczo, a na dolnej części ciała obcisłe czarne džinsy. Trzyma coś przy piersi. Zawracam, podchodzę bliżej i widzę małego rudego kota.

– Cześć i czołem – mówię. – A kogo tu mamy?

– Gordon, Bergerac. Bergerac, Gordon.

– „Bergerac”? Jak Jim Bergerac, ten detektyw z serialu?

– Nie mów tego z takim niedowierzaniem. To ty radziłeś, żebym sobie sprawiła kota, więc imię wydało mi się właściwe. Jest zbyt słodki, żeby go nazwać Colombo, za kudłaty na Kojaka, za męski na Cagney czy Lacey, więc został Bergerakiem. Prawda, że cudny?

Patrzę na kłębek futra. Patrzę w oczy Chloe.

– Do zjedzenia.

– A jak ci się podobają moje nowe ulepszone drzwi? Powstrzymają, twoim zdaniem, nieproszonych gości?

– O ile goście nie noszą przy sobie wielkich pocisków przeciwczołgowych, owszem. Od dzisiaj możesz spać bezpiecznie.

Na łańcuszku na szyi Chloe Chetwynd dynda mała srebrna muszelka.

– Naprawdę bardzo miło z twojej strony, że wpadłeś. Kiedy się rozłączyliśmy, napadły mnie obawy, że zabieram niepotrzebnie czas funkcjonariuszowi policji.

– To nie jest czas funkcjonariusza policji. To mój czas. Spędzę go, jak mam na to ochotę.

Chloe Chetwynd trzyma Bergeraca przy swojej delikatnej szyi. Czuję zapach lawendy i dymu, i wzbiera we mnie to szalone uczucie, kiedy człowiek ma wrażenie, że wszystko jest możliwe. Ona też była u fryzjera.

– W takim razie, Gordon, jeśli uznasz, że nie proszę o zbyt dużo, czy mógłbyś sprawdzić stan moich drzwi również od strony ogrodu? Tak tylko, żeby się upewnić, czy najnowocześniejszy na

rynku zamek wpuszczany z potrójnym rygłem odpowiada policyjnym standardom...

\* \* \*

Chloe stawia skwiercząca pieczeń wołową na blat kuchennego stołu. Wącham mięso, napełniając głowę jego zapachem. Stół jest stary i masywny jak reszta kuchni. Julie śliniła się kiedyś nad zdjęciami takich kuchni w magazynie, który czytywała, „Country Living”. Drewniane belki, terakota, wpuszczane halogeny, widok na ogrodową skarpe, fikuśne żaluzje, walijski kredens z kolekcją imbryczków, kuchenka tak wielka, że w piekarniku można upiec całego dzieciaka, szwedzka lodówka-zamrażarka ze stali nierdzewnej, ogromna, jak w amerykańskich filmach, i zmywarka pod zabudowę. Jest też kominek z wielkim miedzianym okapem.

– Pokrój mięso – prosi Chloe. – To męskie zadanie.

Biorę nóż.

– Pachnie niesamowicie.

Chloe stawia na stole pieczone warzywa.

– Z przepisu mojej mamy: czerwone wino, rozmaryn, mięta, gałka muszkatołowa, cynamon, sos sojowy i kilka tajnych składników, których nie mogę zdradzić, bo inaczej musiałabym cię zabić. – Chloe zdejmuje pokrywę z żaroodpornego naczynia: rzepa, ziemniaki, marchewka, pokrojona w kostkę dynia. – Wołowina w przyprawach potrzebuje wina z odrobiną pieprzu. Co powiesz na starzoną rioję?

Robię minę, która ma mówić: „Jeśli tobie pasuje, to mnie też”.

– Czyli rioja. Jestem prawie pewna, że mam jeszcze gdzieś schowane tempranillo z rocznika osiemdziesiąt jeden.

Kiedy Julie mówiła o winach, brzmiała jak kosmetyczka bez matury małpująca konesera, czyli zgodnie z prawdą. Chloe natomiast po prostu stwierdza fakty. Wraca i wręcza mi butelkę

oraz korkociąg. Z jakimś błyskiem w oku? Wkręcam ostry czubek w korek i do głowy przychodzą mi zdrożne myśli, aż korek wysuwa się z głośnym mlaskiem.

– Uwielbiam ten dźwięk – stwierdza Chloe. – Ty też? Kategorie puryści każą ciężkim czerwonym winom oddychać przynajmniej kwadrans, ale moim zdaniem życie jest na to za krótkie. Tu są kieliszki, nalej, proszę... – Ich kryształowe podstawy suną po drewnie blatu. – Lej śmiało.

Posłusznie spełniam polecenie. Strumień wina śpiewa *glug-glug-glugglugglugglugglug*.

\* \* \*

Tiramisu jest zjawiskowe i głośno to przyznaję. Chloe ociera serwetką odrobinę kremu z ust.

– Nie za mdłe, nie za słodkie?

– Spektakularne, jak wszystko, czym mnie dziś nakarmiłaś. Kiedy zdążyłaś się wyszkolić na mistrzynię kuchni?

Chloe z zadowoloną miną popija wino i wyciera serwetką drobną czerwoną plamkę.

– Tanie pochlebstwa.

– Pochlebstwa? Ode mnie? Jaki niby miałbym mieć motyw, żeby ci schlebiać? Żadnego. Proszę bardzo, sąd oddała sprawę.

Chloe nalewa kawę z dzbanka w kształcie smoka.

– Następnym razem... to znaczy, jeśli będziesz jeszcze chciał kiedyś mi pomóc i zająć się tymi ilościami jedzenia, które bezsensownie gotuję, zrobię sorbet na wódce. Dzisiaj nie miałam...

Tuż obok nas, dosłownie tuż obok, jakaś dziewczynka woła: „Jonah!”.

Słysząc to bardzo głośno i wyraźnie. Tylko że nie ma tu żadnej dziewczynki. Ale...

...Słyszałem ją. Tutaj, gdzieś stąd. Dziewczynkę. Zawołała: „Jonah!”.

Od drzwi dobiega jakiś łoskot.

Podskakuję, moje krzesło ślizga się po podłodze i przewraca na bok.

W drzwiach kołysz się klapka dla kota. Bergerac wybiegł na zewnątrz.

Wtedy słyszę ją znowu: „Jonah!”.

Nie przyśniło mi się.

Znowu: „Jooo-naaaah!”.

Stoję na ugiętych nogach, w gotowości do walki, albo do ucieczki, Chloe jednak nie wygląda na przerażoną, ale też nie patrzy na mnie jak na świra. Przygląda mi się spokojnie i z opanowaniem. Drżą mi łydki. Pytam:

– Słyszałaś to? – W moim głosie słychać lekką panikę.

– Owszem. – Jeśli jej mina wyraża cokolwiek, to raczej ulgę. – Owszem, słyszałam.

– Dziewczynkę – upewniam się. – Tutaj, w kuchni.

Chloe zamyka oczy i powoli kiwa głową.

– Ale... mówiłaś przecież, że nie mieliście dzieci.

Chloe bierze głęboki wdech, po czym głośno wypuszcza powietrze.

– To nie są moje dzieci.

No rzeczywiście, niewiele to wyjaśniło. Są adoptowane? Niewidzialne?

– To co to za dzieci?

– Ona ma na imię Nora. Jest siostrą Jonah. Mieszkają tutaj.

Jeżą mi się włosy na ręce.

– Że jak...? Że co?

Chloe częstuje się jednym z moich papierosów.

– Słysząc czyjś głos, nikogo nie ma, a to bardzo stary dom. Jakieś

wnioski, inspektorze?

Słowo „duchy” nie przechodzi mi przez gardło – ale dobrze słyszałem i nic mi się nie wydawało: dziewczynka wołała „Jonah”, żadnej dziewczynki jednak nie było.

– Te kroki, które słyszałeś w zeszłą niedzielę – ciągnie Chloe – to bieganie wokół domu. Myślałeś, że to dzieciaki sąsiadów. Pamiętasz?

Czuję zimno. Kiwam głową.

– Sąsiedzi nie mają dzieci, Gordon. To byli Nora i Jonah. Chyba są bliźniakami. Masz, zapal. Usiądź.

Posłusznie spełniam polecenie, ale myśli mi się płaczą, a z palców wszystko mi leci, kiedy usiłuję przypalić papierosa.

– Pierwszy raz zauważyłam ich w styczniu tego roku. Najpierw w ogrodzie, jak ty. I też tak samo jak ty przypuszczałam, że to dzieci sąsiadów. A potem pewnego dnia, kiedy Stuart leżał wymęczony i odsypiał chemię – akurat to były walentynki – stałam na schodach, gdy usłyszałam, że jakaś dziewczynka sobie podśpiewuje na półpiętrze, przy zegarze. Ale nikogo tam nie było. Potem głos chłopaka zawołał do niej z dołu: „Nora, twoje jajko na miękko już jest gotowe!”. A ona odskrzyknęła: „Zaraz zejść, tylko nakręcę zegar!”. Pomyślałam – czy też może miałam nadzieję – że to dzieciaki, które tu wlały jakoś dla kawału, bo się założyły, ale... przecież stałam tam, na schodach, na miłość boską. Przy zegarze.

– Twój mąż też je słyszał?

Chloe kręci głową.

– Nigdy. W Wielkanoc Jonah i Nora, czyli „duchy”, łazili po kuchni, gadali o jakimś kucyku imieniem Blackjack, a Stuart siedział tu, na twoim miejscu. Nawet nie oderwał wzroku od krzyżówki. Zapytałam go: „Słyszałeś?”, a on: „Co?”. Odpowiedziałam: „Te głosy”. Stuart popatrzył na mnie dziwnie i z obawą, więc udałam, że pewnie zostawiłam na górze włączone

radio. – Chloe przypala sobie papierosa i patrzy na mnie zza punkcika czerwonego żaru. – Stuart był biochemikiem, ateistą, nie wierzył w duchy. Kilka tygodni później zaprosiliśmy gości na przyjęcie i kiedy podawałam przystawki, usłyszałam Jonah i Norę, jak przechodzili i śpiewali: „Już bieży panna młoda, niemłoda jej uroda” i ryczeli ze śmiechu. Hałasowali jak normalne dzieci. Wokół stołu siedziało ośmioro gości, ale nikt z nich niczego nie słyszał.

W kominku trzaska ogień. Mój policyjny umysł wysyła mi teleksem słowo „schizofrenia”. Ale ja też słyszałem ten głos, natomiast jeszcze nigdy nie słyszałem o schizofrenii, którą mogą dzielić dwie osoby.

Chloe rozlewa nam do kieliszków resztkę wina.

– Przeraziłam się, że zaczynam wariować, więc nie mówiąc nic Stuartowi, poszłam do trzech lekarzy, zrobiłam tomografię mózgu i różne inne badania. Niczego nie wykazały. Opiekowałam się Stuartem dniem i nocą już od tyłu miesięcy, a jego stan gwałtownie się pogarszał, więc dwóch z trzech konsultantów złożyło moje „urojenia” na karb stresu. Natomiast jeden powiedział mi, że słyszę głosy, bo czuję niezrealizowane pragnienie posiadania własnych dzieci. Już więcej do niego nie poszłam.

Biorę łyk wina. Zaciągam się papierosem.

– Czyli oprócz mnie nikt inny ich nie słyszał?

– Nikt. I nawet sobie nie wyobrazasz, jaką odczułam ulgę wtedy, weszła sobotę, kiedy zrozumiałam, że ty też ich słyszysz. O ile mniej samotna od razu się poczułam. Boże, mogłam już choćby spróbować o nich rozmawiać i nie musieć się bać, że weźmiesz mnie za wariatkę... Nawet sobie nie zdajesz sprawy, Gordon...

Niebieskie oczy. Szare oczy.

– I stąd to zaproszenie?

Nieśmiały uśmieszek.

– Nie tylko dlatego. Nie czuję się wykorzystany.

– Nie czuję się. Hej, Bergerac też ich wyczuł. Zwiął stąd. – Nalewam sobie kawę ze srebrnego dzbanka. – Dlaczego tu jeszcze mieszkasz, Chloe? Dlaczego nie sprzedasz tego domu i nie wyprowadzisz się dokądś... gdzie nie straszysz?

Chloe robi grymas, który już u niej zauważyłem przy pytaniach kryjących jakiś kolec.

– Slade House to mój dom. Tutaj czuję się bezpieczna, a przecież Nora i Jonah nie straszą „huuu-huuu”, nie cieknie z nich ektoplazma i nie zostawiają przerażających napisów na lustrach. Nie jestem nawet pewna, czy wiedzą, że ja też tu jestem. Owszem, słyszę ich, raz tu, raz tam, czasem codziennie, czasem co dwa dni, ale oni po prostu zajmują się swoimi sprawami. – Chloe delikatnie kładzie łyżeczkę na spodku. – Jest tu też jeszcze jeden głos, nazywam go „Kłapouchym”, bo jest w nim zawsze tyle przygnębienia i pesymizmu, ale słyszałam go tylko kilka razy. Mamrocze coś jak: „Oni kłamią” czy „Uciekaj”, czy tam coś innego, równie bezsensownego. I on chyba budzi we mnie lekką obawę, ale nie uważam go za jakiegoś złośliwego ducha. Nie wyprowadzę się ze Slade House tylko przez niego.

Bergerac ociera się grzbietem o moją łydkę. Nie zauważyłem, kiedy wrócił.

– Uważam, że naprawdę dzielna z ciebie kobieta, Chloe. Przecież... mówimy o duchach.

Chloe wzdycha.

– Niektórzy trzymają boa dusiciele albo tarantule. To chyba dziwniejsze, straszniejsze i bardziej niebezpieczne stworzenia niż moi nieszkodliwi lokatorzy? Nawet nie jestem przekonana, czy to w ogóle są duchy.

– Jeśli nie duchy, to co innego? Kim oni są?

– Dziećmi, które żyją w swoim własnym czasie, robią swoje

rzeczy, a ja je podsłuchuję. Jakby skrzyżowały się linie telefoniczne naszych czasów. Ściana między naszym „teraz” i ich „teraz” jest cieniutka. I tyle.

Wielkie okno odbija kuchnię z sylwetką Chloe i moją nałożonymi na ciemny ogród jak jakieś zjawy.

– Gdybym sam ich nie słyszał – mówię – pomyślałbym, że obejrzałaś za dużo odcinków „Opowieści z ciemnej strony”, czy coś. Ale... ja też ich słyszałem. Myślałaś kiedyś, żeby się dowiedzieć, kto mieszkał wcześniej w Slade House? Może odnalazłabyś tę parę bliźniaków, jakąś Norę i jakiegoś Jonah.

Chloe zwija swoją serwetkę.

– Myślałam o tym, ale od śmierci Stuarta jakoś nie mogłam się do tego zebrać. – Robi przeproszącą minę.

Naprawdę chcę ją pocałować.

Bergerac siada mi w kroku. Żeby tylko nie wysunął pazurów.

– Wpisy hipoteczne i archiwa nieruchomości sięgają aż do lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku – wyjaśniam Chloe. – My, czyli wydział śledczy, od czasu do czasu czegoś w nich szukamy. Mam obłąskawionego archiwistę imieniem Leon, który wyszukuje dla mnie niektóre sprawy i nie interesuje się po co ani dlaczego. Taki wielki dom jak ten na pewno zostawia po sobie mnóstwo śladów. Mam go po cichu zapytać?

– Najpierw ślusarz, potem archiwista. – Chloe jest pod wrażeniem. – Jesteś chodzącym spisem firm i usług. Tak, byłabym bardzo wdzięczna.

– Zajmę się tym. – Głaszczę Bergeraca. Kot mruczy.

Moja gospodyni poprawia związane włosy.

– Naprawdę, Gordon. Większość mężczyzn w tej chwili panicznie chwytalaby już za kłamekę.

Wypuszczam kłęb dymu.

– Ja to nie większość.



Patrzemy z Chloe na siebie dłużej, niż zwykle wypada. Chloe wyciąga dłoń, zabiera mój talerzyk deserowy i stawia go na swoim.

– Wiedziałam, że dobrze robisz, dzwoniąc do ciebie.

Żałuję, że nie przychodzi mi do głowy żadna zgryźliwsza riposta:

– Jeszcze kawy?

– O nie. Nie zasnęłabym chyba do rana.

No właśnie, myślę.

– To wobec tego ja pozmywam.

– Po to pan Bóg stworzył zmywarki.

Zauważam, że z jej palca zniknęła obrączka.

– W takim razie nie mam żadnego zajęcia.

Niebieskie oczy. Szare oczy.

– Niekoniecznie.

\* \* \*

Rzęząc i głośno dysząc, przepocony, słony, lepki, opadam na jej poduszkę. Nakarmiono mnie, nakarmiono, nakarmiono, a młody nakarmiony samiec to najpiękniejsze, czym można być wśród całego Bożego Stworzenia. Leżymy tak sobie przez jakąś chwilę, aż nasze oddechy i bicia serc trochę spowalniają.

– Jeżeli dasz mi szansę na powtórkę, trochę lepiej obliczę tempo – mówię.

– Umów spotkanie, zobaczę, czy gdzieś cię wcisnę – odpowiada Chloe i tak mnie to rozśmiesza, że moja mięknąca policyjna pała wysuwa się z niej.

Chloe podaje mi garść chusteczek i przewraca się na bok, ocierając sobie krocze i pachwiny, a potem owija się lepkiem prześcieradłem. Nie powiedziała mi, że bym założył gumkę, więc nie założyłem. Trochę to ryzykowne, ale dla niej, nie dla mnie, a poza tym każdy znający się na rzeczy człowiek interesu powie, że ryzyko jest wpisane w grę. Wokół łóżka z baldachimem wiszą

brązowe zasłony, więc wszystko jest ciepłe, ciemne i stłumione. Stwierdzam:

– No więc twój najnowocześniejszy na rynku zamek wpuszczany z potrójnym rygłem odpowiada policyjnym standardom.

Ona daje mi lekkiego klapsa grzbietem dłoni.

– O, to poważne przestępstwo – zauważam – napaść na funkcjonariusza policji.

– Och, skujesz mnie kajdankami?

– Miewam o tym bardzo sprosne sny.

Chloe całuje mój sutek.

– To zaśnij.

– Raczej słabe na to szanse, kiedy się leży obok nagiej bogini.

Chloe całuje moje powieki.

– Słodkich snów, inspektorze.

Ziewam szeroko, jakby mi miało wyrwać szczękę z zawiasów.

– Naprawdę zupełnie nie chce mi się spać...

\* \* \*

Następnym razem, kiedy się budzę, Chloe nie ma obok mnie. Moja kiełbasa i dwa ziemniaczki smażą się w przyjemnym ciepłku. W ścianach stare rury jęczą, a woda opada falami plasków na podłogę pod prysznicem gdzieś niedaleko. Pod poduszką znajduję swój zegarek. Jest 1:30. Późna noc albo bardzo wczesny ranek. Żaden problem, jest niedziela. W pracy mam być dopiero we wtorek. Pieprzyć wtorek. Pieprzyć pracę. Pieprzyć śledztwo w sprawie Malika. Pieprzyć Trevora Doolana. Pieprzyć służbę publiczną. Ja i Chloe powinniśmy zostać w domu, a wręcz w łóżku, przez całą niedzielę, cały tydzień, cały miesiąc... Tylko coś mnie niepokoi. Co? Taka jedna myśl. Mianowicie: dlaczego ta elegancka mądra kobieta, której każdy facet musi z miejsca pożądać, ląduje w łóżku z gościem, którego prawie nie zna? Takie

rzeczy zdarzają się w Pornolandzie albo w samczych konfabulacjach, ale tutaj, w realnym świecie, kobiety takie jak Chloe nie pieprzą się z facetami przy drugim spotkaniu. A może jednak?

Chwila, Gordonie, chwila. „Przy drugim spotkaniu?”. To twoja piąta wizyta w Slade House, pajacu. Policz posiłki: za pierwszym razem w sobotę Chloe usmażyła steki. Za drugim razem w sobotę był dorsz z podsmażanymi ziemniakami. Za trzecim dziczyzna z guinnessem w cieście francuskim. W zeszłym tygodniu był bażant. A dzisiaj pieczeń z wołowiny. Proszę bardzo. Widzisz? Pięć kolacji, pięć sobót, pięć butelek wina i pięć rozmów całymi godzinami o sprawach dużych, małych i o tych pomiędzy: o dzieciństwie, o podejściu do życia, o polityce; o jej zmarłym mężu i mojej byłej żonie; o Johnie Ruskinie, wiktoriańskim krytyku sztuki. Dzwoniliście do siebie co wieczór, tylko po to, żeby powiedzieć „dobranoc” albo „śpij dobrze”, albo „nie mogę się już doczekać soboty”. Zaloty nie były długie, ale pełne emocji, szczerze i nie miały nic wspólnego z obleśną pornografią. Jesteś przystojnym policjantem, a w łóżku potrafisz czynić cuda. W czym problem? Chloe Albertina Chetwynd cię kocha.

Ja jej nie kocham, jeszcze nie, ale doświadczenie mówi mi, że miłość rodzi się z seksu. Im częściej wchodzisz w kobietę, tym bardziej nosisz ją w sobie. Kto wie? Może nawet moglibyśmy się kiedyś pobrać. Wyobraź sobie, jak by to było być właścicielem połowy Slade House. Kogo obchodzą jakieś tam trzy duszki? Dzięki temu, że je słyszę, Chloe uważa mnie za kogoś wyjątkowego. Slade House jest dużo, dużo większy niż dom Trevora Doolana, mimo że jego dom też jest oczywiście odpowiedni do rangi właściciela, stoi na wzgórzu, a w sąsiedztwie mieszkają zarabiający niezłe sumki członkowie Klubu Konserwatystów. Jeśli po sprawie Malika rzucą mnie lwom na

pożarcie, Slade House będzie dla mnie prawdziwym kołem ratunkowym, moim „pierdolę was serdecznie”. Sto tysięcy funtów? Sto dwadzieścia? Fortuna codziennie, bez przerwy, przechodzi z rąk do rąk, zmienia właścicieli na skutek interesów, zakładów piłkarskich, przestępstw i, owszem, małżeństwa. Dam Chloe poczucie bezpieczeństwa i wypełnię tę lukę w kształcie mężczyzny, jaka powstała w jej życiu. Ona zaś zapewni mi bezpieczeństwo finansowe. Wydaje się to uczciwym układem.

– Gooorr-doon? – Jej głos dobiega z jakiegoś niedalekiego pomieszczenia. – Śpisz jeszcze?

– Już nie! – odkrzykuję. – A ty gdzie jesteś?

– *Dans la douche*, i nie mogę odkręcić szamponu...

O ty, bezczelna flirciaro.

– Och, doprawdy, nie możesz?

– Wyratuj mnie, rycerzu Gordonie! W górę po schodach.

Na łóżku leży puchaty brązowy męski szlafrok. Pewnie Stuarta, ale hej, teraz, kiedy posiadam już jego żonę, mam mieć problem z noszeniem jego szlafroka? Wkładam go, rozchylam grube brunatne kotary, zsuwam się z łóżka, przechodzę przez dziwny okrągły pokój i wychodzę na kwadratowy podest na schodach. Z mojej lewej strony stoi stary zegar z kukułką, a z prawej schody prowadzą w dół do holu, natomiast w górę, wzdłuż ściany z jakimiś obrazami, do jasnych drzwi na samym szczycie, gdzie namydlona Chloe Chetwynd oczekuje swego rycerza.

– Idziesz już do mnie, Gordon?

O, idę, i wiem, że dojdę już bardzo niedługo. Wchodzę po dwa stopnie, mijam portret jakiegoś nastolatka w starej skórzanej kurtce, z ciemnymi tłustymi włosami i wąskimi oczami, jakby był w połowie Chińczykiem. Kolejny portret przedstawia młodą kobietę, wystrojoną odświętnie, z miodowoblond fryzurą jak u dziewczyny z chórków z girls-bandu z lat sześćdziesiątych. Ma

rozmarzony uśmiech, który przypomina mi Julie, kiedy nie była jeszcze neurotyczną pindą, więc zatrzymuję się i lekko całuję ją w usta, tak po prostu, bo mogę. Trzeci obraz, licząc od półpiętra, to portret chłopca mniej więcej trzynastoletniego. Ma jasne włosy, duży nos, lekko posępną minę, nie czuje się tam z pewnością, a tę tweedową marynarkę i tę muszkę to chyba kazała mu włożyć jego nieznosząca sprzeciwu mat...

To Nathan Bishop. Niemożliwe. Ale tak. Serce mi skacze, ogarniają mnie mdłości i uginają się pode mną nogi. Nathan Bishop, jakim go widział Fred Pink na Slade Alley w siedemdziesiątym dziewiątym roku. Nathan Bishop, którego zdjęcie Fred Pink wyciął z gazety. Trevor Doolan kazał Debs je skserować i przypiąć nad naszymi biurkami, więc słynny Fred Pink może być spokojny, że oddziały Thames Valley Police traktują jego zgłoszenie bardzo poważnie. „Ona cię okłamuje”, mówi bardzo wyraźnie jakiś posępny głos w moim kanale słuchowym. Podskakuję, prawie upadam, przykucam, rozglądam się. Nikogo nie ma. „Odbierze ci życie i zabierze dużo więcej...”.

Schody biegną w górę, schody biegną w dół, nikogo tu nie ma.

Usiłuję się rozluźnić. Tylko mi się wydawało. To wszystko.

„W odstępach możesz znaleźć broń”, mówi głos.

To nie jest głos Jonah ani Nory z kuchni. Ten głos mówi do mnie. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem.

„W odstępach, do którego wrzucają resztki”, mówi chłopiec.

Odstęp? Resztki? Broń? Udaje mi się zapytać szeptem:

– Kim jesteś? – Ale kiedy pytam o to portret Nathana Bishopa, bystrzejsza część mnie zdaje się już wie.

„Nie jestem niczym wielkim”, odpowiada chłopiec. „Jestem tym, co ze mnie zostało”.

– Dlaczego...? – Co ja najlepszego wyprawiam, rozmawiam z portretem zaginionego chłopca? – Dlaczego mam potrzebować

broni?

Ten stojący zegar głośno tyka, gdzieś dużo niżej.

Jest w mojej głowie. Nie ma go tam. Za bardzo boli.

„Dla ciebie jest już za późno”, mówi chłopiec. „Ale przekaz to dalej”.

„Przekazać dalej komu?” – pytam głos, który może, ale nie musi mówić do mnie naprawdę.

„Następnemu gościowi... Ja już się skończyłem... Wyczerpali mnie”.

– Halo? – mówię, ale chłopca już nie ma.

Czołgam się tyłem w górę po schodach, byle dalej od portretu Nathana Bishopa, aż moje spojrzenie trafia na następny obraz, który także z miejsca rozpoznaję, bo to ja sam na nim jestem, ja, Gordon Edmonds. Powinno mnie to totalnie przerazić, ale człowiek może przyjąć jedynie ograniczoną liczbę wstrząsów, zanim przepałą mu się obwody, więc tylko się gapię jak szpak. Wpatruję się w bardziej realny od rzeczywistości portret Gordona Edmondsa, w puchatym brązowym szlafroku, z moimi krótko obciętymi włosami, moim coraz wyższym czołem, moją twarzą jak szczuplejsza, bardziej wysportowana przystojniejsza wersja Phila Collinsa, z przerażającymi plamami w barwie skóry tam, gdzie powinny być moje oczy. Wpatruję się, aż pojawia się myśl: „Powinieneś uciekać z tego domu. Zupełnie nie wiesz, z czym masz tu do czynienia”. Ale to idiotyczne i godne tchórza. Mam uciekać, bo Chloe namalowała mój portret? Usiłuję zebrać myśli, ale to niełatwe. Jakby zdrętwiał mi mózg. Jeśli Chloe namalowała mój portret, namalowała też te pozostałe. Jeśli Chloe namalowała te pozostałe, namalowała też Nathana Bishopa. Co oznacza, że kłamała, kiedy mówiła, że nigdy nie słyszała jego nazwiska. Co oznacza...

Chloe morduje ludzi? Weź się ogarnij. Przesłuchiwałeś już

trzech czy czterech seryjnych morderców i Chloe w niczym nie przypomina tych popierdolonych pojebów. Przyjrzyj się. Owszem, Chloe namalowała cię, żeby ci zrobić niespodziankę, ale to wcale nie znaczy, że namalowała też inne obrazy. One wyglądają, jakby powstały dawno temu. Musiały już tu wisieć, kiedy Chloe i Stuart kupili dom od Pittów. To wszystko wyjaśnia. Chyba. Portrety nie mają tytułów ani podpisów, więc Chloe nie mogła wiedzieć, że mija Nathana Bishopa za każdym razem, kiedy idzie po schodach. A ja tydzień temu w ogrodzie nie pokazałem jej jego zdjęcia – powiedziałem jej tylko, jak się nazywał.

A głos, który przed chwilą słyszałem i który ostrzegwał mnie, żebym uciekał?

No i co? To, że się słyszy jakiś głos ducha, nie znaczy jeszcze, że trzeba mu wierzyć. Może głos, który słyszałem, to nie był wcale Nathan Bishop, tylko ten, którego Chloe nazywa Kłapouchym? W każdym razie skąd mam naprawdę wiedzieć, że go faktycznie słyszałem? A jeśli tylko mi się wydawało?

Teraz zrób tak: wyprowadź Chloe spod prysznic, powiedz jej, że jest w posiadaniu portretu Nathana Bishopa, zapewnij ją, że nie jest podejrzaną w sprawie, a jutro z samego rana zadzwoni do nadkomisarza Doolana do domu. Na początku nie będzie tym zachwycony, a ty będziesz lekko zakłopotany, opowiadając, że bzykałeś Chloe, ale kiedy Doolan dowie się, że trop Freda Pinka nie musi być aż taką wielką śmierdzącą ściemą, od razu zmieni podejście.

Czyli już wiesz, co robić. Wchodzimy.

Jednakże za jasnymi drzwiami nie znajduję łazienki z Chloe pod prysznicem, lecz długi ciemny strych. Długi ciemny strych, który jest jakby... więzieniem? Tak. Trzy czwarte jego powierzchni odgradzają solidne pręty, grube na cal i rozstawione w calowych odstępach. Nie potrafię stwierdzić, jak daleko sięga cały strych, bo

jest ciemno. Przez dwa świetliki wpada jakaś słaba drobina światła, po „wolnej” stronie prętów, nad miejscem, gdzie stoję, ale to wszystko. Na strychu śmierdzi cuchnącym oddechem i sosnowym środkiem dezynfekującym, zupełnie jak w celach na naszym komisariacie. Kciukiem znajduję jakiś włącznik i za prętami zapala się światło. Słaba żarówka, wysoko zawieszona. Dostrzegam pryczę, umywalkę, kanapę, stół, kabinę toalety z szeroko otwartymi drzwiami, rower do ćwiczeń i kogoś poruszającego się w cieniu na pryczy, na wpół ukrytego pod kocami. Strych ma tylko jakieś pięć metrów szerokości, ale biegnie daleko w głąb, być może przez cały Slade House. Przyciskam twarz do prętów, żeby jak najlepiej dojrzeć przestrzeń za nimi, i mówię:

– Halo?

On lub ona – nie potrafię rozpoznać – nie odpowiada. Jakiś obłąkany członek rodziny? Czy to wszystko jest w ogóle zgodne z prawem? Muszę jutro z samego rana złożyć doniesienie.

Próbuję znowu:

– Halo? Co pan lub pani tu robi?

Słyszę oddech i skrzypienie pryczy.

– Mówi pan po angielsku? Potrzebna jakaś pomoc? Czy...

Przerywa mi kobiecy głos:

– Jest pan tu naprawdę? – Zaskorupiały, łamiący się głos.

Nie najbardziej przytomna odpowiedź. Prycza stoi w połowie długości strychu i nie widzę wszystkiego. Ale widzę kość policzkową, dłoń, ramię, pasmo siwych włosów.

– Nazywam się Gordon Edmonds i owszem, jestem tu naprawdę.

Kobieta siada na łóżku i obejmuje kolana rękami.

– Ludzie ze snów zawsze mówią, że są naprawdę, więc proszę mi wybaczyć, że panu nie wierzę. – Kobieta mówi cicho i słabo, ale



zdanie ułożyła bardzo poprawnie. – Kiedyś śniło mi się, że przyszedł mnie uratować Charlie Chaplin, miał wielki obcinacz do paznokci. – Patrzy na mnie z ukosa i wiem, że jej twarz nie uśmiechała się od lat. – Vyvan Ayrs raz wywiercił dziurę w dachu. Przypiął mnie do swojej lotni i przeleciał ze mną przez kanał La Manche, do Zedelghem. Kiedy się obudziłam, rozplakałam się. – Gdzieś bulgocze kaloryfer. – Gordon Edmonds. Pan jest nowy.

– Owszem. – Czuje, że mówi, jakby nie była zdrowa psychicznie. – Czyli... jest pani pacjentką?

Kobieta obrusza się.

– Jeśli jest pan prawdziwy, będzie pan wiedział, kim jestem.

– Obawiam się, że to nieprawda. Jestem prawdziwy i nie wiem, kim pani jest.

Słaby głos kobiety staje się nagle oschły i pełen gorzycy:

– Potwór chce, żebyśmy myślała, że ktoś mnie ratuje, tak? Ją to bawi. Niech pan jej powie, że nie zamierzam grać w jej grę.

– Kto chce, żeby myślała pani, że ktoś panią ratuje?

– Potwór. Potwór to Potwór. Nie wypowiadam jej imienia.

Jej imienia? Przychodzi mi do głowy nieciekawa myśl – Chloe – ale przecież istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Proszę pani, jestem policjantem. Inspektor Gordon Edmonds, Thames Valley Police, wydział śledczy. Może mi pani po prostu powiedzieć, dlaczego się tu pani znalazła? Albo przynajmniej, jak pani sądzi, dlaczego?

– Inspektor w szlafroku? Tajna misja, tak?

– Nieważne, co mam na sobie. Jestem z policji.

Kobieta wstaje z łóżka i płynie w nocnej koszuli w stronę prętów.

– Kłamie pan.

Cofam się o krok, na wypadek gdyby miała nóż.

– Skarbie, proszę. Tylko... chcę wiedzieć, co się tu dzieje. Jak się pani nazywa?

Jedno obłąkane oko pojawia się w calowym odstępnie między prętami.

– Rita.

Następne zdanie wypowiada się samo, jakby z moich ust wyciągał je magik, niczym białą chusteczkę:

– Rany boskie, proszę mi nie mówić, że Rita Bishop...

Kobieta zamyka i otwiera powieki.

– Owszem. A pan doskonale wie, że tak.

Przyglądam się bliżej i w pamięci odtwarzam skserowane zdjęcie, które Debs przypięła nad naszymi biurkami. Jezu. Rita Bishop postarzała się, i to bardzo, ale to ona.

– Czy po tych wszystkich latach – jej oddech pachnie octem – Potwora z dołu ciągle bawią te pantomimy?

Czuję się tak, jakbym stracił połowę krwi.

– Czy jest pani tutaj, na tym strychu – boję się odpowiedzi – od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku?

– Nie – zacha się Rita. – Najpierw wsadzili mnie do pałacu Buckingham, potem do budki jasnowidza na molo w Brighton, potem do fabryki czekolady Willy’ego Wonki...

– Dobrze! Już dobrze. – Cały dygoczę. – Gdzie jest Nathan? Pani syn?

Rita Bishop zamyka oczy i z trudem wyrzuca z siebie słowa:

– Niech pan ją zapyta! Niech pan zapyta lady Norę Grayer, czy też jak się w tym tygodniu każe nazywać. To ona zwabiła nas do Slade House. To ona nas czymś otumaniała. Ona nas tu zamknęła. Ona zabrała Nathana. Ona nie chce powiedzieć, czy mój syn jeszcze żyje, czy nie! – Kobieta kuli się w sobie na podłodze, cicho łkając.

Mój umysł przeżywa wstrząs i galopadę myśli: Chloe Chetwynd? Nora Grayer? Ta sama kobieta? Jak to możliwe? Jak? Te obrazy? Dlaczego? Po co zaciągać do łóżka policjanta? Po co go zwabiać na

piętro po schodach, gdzie zobaczy portrety? To się w ogóle nie klei. Wiem tylko, że Slade House to nie komisariat policji, nie więzienie i nie oddział psychiatryczny, i z dużym prawdopodobieństwem mamy tu przypadek bezprawnego pozbawienia wolności. Zwykle – ha, „zwykle” – wy dostałbym się stąd, wezwał wsparcie, załatwił nakazy przeszukania i wrócił, ale w tym pojebanym scenariuszu, gdzie być może, kto wie, właśnie pieprzyłem się z trzydziestoletnią morderczynią, porywaczką i, kurwa, nie wiadomo kim jeszcze w jednym, najpierw wolę wyprowadzić stąd Ritę Bishop, a potem ogłosić Kod Dziesięć w sprawie Slade House. Jeśli się myślę i Trevor Doolan równo mnie zjebie, trudno.

– Pani Bishop, czy wie pani, gdzie jest klucz?

Ona nadal wygląda jak łkająca kupka nieszczęścia na podłodze. Słyszę, że odgłos prysznicza ustał.

– Proszę pani, niech mi pani pozwoli sobie pomóc. Proszę.

Kobieta podnosi głowę i rzuca mi pełne nienawiści spojrzenie.

– Tak, bo tak po prostu otworzy pan te drzwi po dziewięciu latach. Tak po prostu.

Na miłość Boga.

– Jeśli jestem tym, za kogo się podaję, wyjdzie pani ze Slade House za dwie minuty i przysięgam na wszystkie świętości, że sprowadzę tu uzbrojonych funkcjonariuszy w ciągu pół godziny, „Potwór” trafi do aresztu, a wydział kryminalny, Scotland Yard i technicy kryminalistyczni będą szukać wszelkich śladów Nathana, więc proszę, niech mi pani powie, gdzie jest klucz. W tej chwili jestem pani jedyną szansą na ponowne zobaczenie syna.

Coś w moim głosie przekonuje Ritę, żeby jednak mi uwierzyła. Kobieta podnosi się i siada na podłodze.

– Klucz jest na haczyku. Tuż za panem. Potwór chce, żebyśmy zawsze go widziała.

Odwracam się: długi, cienki, błyszczący klucz. Biorę go, niezdarnie obracam w palcach i upuszczam. Klucz uderza o podłogę, wydając czysty dźwięk. Podnoszę go i widzę stalowy kwadrat w drzwiach klatki. Wsuwam klucz do zamka. Zamek jest dobrze naoliwiony, drzwi otwierają się na oścież, a Rita Bishop chwiejnie wstaje, cofa się, zatacza do przodu i patrzy z niedowierzaniem.

– No już – szepczę. – Niech pani wychodzi. Idziemy stąd.

Więziona kobieta podchodzi niepewnie w stronę drzwi klatki, gdzie mocno chwyta mnie za rękę i stawia krok na zewnątrz.

– To... To niemoż... – Oddycha ciężko.

– Spokojnie i powoli. – Prowadzę ją. – Wszystko w porządku. Wie pani, czy... czy „ona” lub „oni” mają jakąś broń?

Odpowiedź jest wyraźnie ponad jej siły. Rita Bishop chwyta tylko mój szlafrok, cała roztrzęsiona.

– Niech mi pan przyrzeknie, niech mi pan przyrzeknie, że mi się pan nie śni.

– Przyrzekam. Chodźmy.

Jej palce wbijają mi się w przegub.

– I ja nie śnię się panu?

Zachowuję cierpliwość. Jeśli to ja byłbym trzymany w zamknięciu dziewięć lat, też miałbym paranoję.

– Zapewniam, że nie. A teraz już wyjdźmy stąd.

Rita puszcza moją dłoń.

– Niech pan spojrzy, inspektorze.

– Pani Bishop, musimy stąd iść.

Ignorując mnie, podnosi w górę zapalniczkę.

Jej kciuk pociera kółko i małeńki płomyk...

...rośnie coraz dłuższy, bledszy i nieruchomy jak na stop-klatce. To już nie zapalniczka, to świeca, na masywnej metalowej podstawie, całej pokrytej napisami, arabskimi czy hebrajskimi, czy

innymi obcymi. Klatka zniknęła. Zniknęły wszystkie meble. Zniknęła Rita Bishop. Świeca jest jedynym źródłem światła. Skurczony strych jest czarny jak wnętrze trumny głęboko w zawalonej głazami jaskini. Klęczę, jestem sparaliżowany i nie wiem, co się dzieje. Usiłuję się poruszyć, ale nie ma o tym mowy. Nie drgnie mi nawet palec. Nawet język mam nieruchomy. Moje ciało stało się klatką i to ja jestem teraz zamknięty. Jedyne, co jeszcze we mnie działa, to oczy i mózg. No to myśl, inspektorze śledczy, o co w tym wszystkim chodzi. Gaz paraliżujący? Wylew? Dosypano mi czegoś do drinka? Bóg jeden wie. Szukaj wskazówek i śladów. W ciemności widnieją trzy twarze. Na wprost, po drugiej stronie świecy, jestem ja w szlafroku zmarłego człowieka. Najwyraźniej odbijam się w lustrze. Z lewej strony mam Chloe, w watowanej szacie z kapturem. Z prawej strony widzę... męską Chloe. Jej brata bliźniaka, jak sądzę – blondyna, ubranego w taką samą szatę jak Chloe, przystojnego urodą gejowskiego modela z Hitlerjugend. Ani jedno, ani drugie się nie porusza. Kilka cali od płomienia świecy widzę brązową ćmę, która po prostu zamarła w powietrzu, zamarła w czasie. To mi się nie śni. Tego jednego jestem pewien. Czyli to jest historia o tym, jak inspektor Gordon Edmonds postradał rozum?

Mija jakiś czas, nie wiem, jak długi, świeca syczy, a jej biały płomień kołysze się to w jedną, to w drugą stronę. Ćma krąży wokół, to wlatując w krąg światła, to znikając w mroku, to ją widzę, to niknie.

– Znam ten twój uśmieszek, bracie – odzywa się Chloe, jeśli tak naprawdę ma na imię. Ma tę samą twarz, co kobieta, która podawała mi tiramisu, ale przedtem jej głos był miękki jak wełna, a teraz szarpie jak zardzewiały nóż.

– Wcale się nie uśmiecham – protestuje mężczyzna, przestępując z nogi na nogę, jakby czuł w nich mrówki.

Ja też usiłuję się poruszyć. Ale nadal nie potrafię. Próbuję coś powiedzieć. Nie mogę.

– Nie kłam, Jonah – odpowiada Chloe. Podnosi dłonie, jakby były parą rękawiczek, co do których nie może się zdecydować. – Ja się nie śmiałam, kiedy ty obsługiwałeś fryzjerkę dwa cykle temu. A przecież ty naprawdę wymieniałeś z nią płyny ustrojowe. Natomiast kość, którą ja rzuciłam temu napalonemu kundlowi – posyła mi z ukosa spojrzenie pełne pogardy – była wyłącznie złudzeniem.

– Jeśli się uśmiechałem – odpowiada mężczyzna – to dlatego, że jestem dumny z przedstawienia, jakie odegrałaś w mojej subantyfonie. W roli neurotycznej wdowy byłaś niezrównana. Owszem, trzeba przyznać, że klatka na strychu to jedna z moich najświetniejszych inscenizacji, z tym się chyba zgodzimy, ale nawet Meryl Streep nie zagrałaby biednej pani Bishop równie brawurowo. No proszę, a ja przed laty ledwo zwróciłem uwagę na tę jęczącą istotę. Jej głos aż ranił mi uszy. O co się więc teraz krzywisz, siostrzyczko? Kolejny Dzień Otwarty wyszedł nam wzorowo, nasz Operandi okazał się całkiem krzepki, bażancik leży oskubany i gotowy, by go rzucić na ruszt, a ty masz kwaśną minę?

– Nasz Operandi to jedna wielka improwizacja, w zbyt dużym stopniu o jego powodzeniu decyduje...

– Nora, błagam, siadamy do jedzenia. Czy naprawdę nie możemy...?

– ...O jego powodzeniu decyduje czysty traf, Jonah. Wszystko może się nam udawać do pierwszej wpadki.

Mężczyzna, Jonah, spogląda na swoją siostrę, Norę, z pełnym czułości samozadowoleniem.

– Od pięćdziesięciu dwóch lat nasze dusze przemierzają świat, biorąc w posiadanie dowolne ciało, na które mają ochotę, gdy tymczasem nasi urodzeni za królowej Wiktorii rówieśnicy już

dawno nie żyją lub właśnie wymierają. My natomiast żyjemy. Operandi działa.

– Operandi działa pod warunkiem, że nasze przyrodzone ciała pozostają tutaj, w Luce, zamrożone przed czasem świata, i kotwiczą tu nasze dusze w życiu. Operandi działa pod warunkiem, że uzupełniamy energię Luki co dziewięć lat, zwabiając naiwnych Obdarowanych do odpowiedniej antyfony. Operandi działa pod warunkiem, że nasi goście dadzą się oszukać, otumanić destruktywnym i sprowadzić do Luki. Zbyt wiele tych „warunków”, Jonah. Owszem, jak dotąd szczęście nam sprzyjało. Ale tak nie będzie wiecznie.

Nie mam pojęcia, o czym rozmawiają, ale Jonah jest już chyba niezłe wkurzony.

– Czemu zawdzięczam ten pełen mądrości wykład, siostrze?

– Musimy zabezpieczyć Operandi przed pechowymi wypadkami i przed atakiem wrogów.

– Jakich wrogów, siostrze? Dzięki temu, że nalegałem na pozostanie w izolacji, nawet Droga Cienia o nas nie wie. System, który utrzymuje nas przy życiu, działa, a jakiegokolwiek próby jego poprawiania tylko sprowadziłyby na nas niebezpieczeństwo. A teraz już dość, kolacja czeka. – Jonah patrzy na mnie. – Czyli ty. Jesteś gotowy na śmierć?

Choć próbuję, nie mogę się ruszyć, nie mogę walczyć ani błagać o życie. Nie mogę się nawet załatwić w spodnie.

– Przestałeś oddychać – mówi mi Jonah, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Nie nie nie, na pewno oddycham, myślę. Nadal jestem przytomny.

– Już niedługo – stwierdza Jonah. – Po czterech minutach bez tlenu uszkodzenia mózgu stają się nieodwracalne i chociaż nie mam przy sobie zegarka, wydaje mi się, że już dwie minuty minęły.

Po sześciu minutach umrzesz, ale my przerwiemy proces tuż przed ostateczną agonią. Nie jesteśmy potworami.

Czuję się tak, jakbym leciał bezwładnie gdzieś w górę. Czym sobie na to zasłużyłem?

– „Zasłużenie sobie” na cokolwiek nie ma tu nic do rzeczy. – Nora Grayer unosi ostre łuki brwi. – Czy świnia, której uwędzone ciało jadłeś dziś na śniadanie, „zasłużyła” sobie na taki los? To kwestia zupełnie bez znaczenia. Ty miałeś ochotę na boczek, a ona nie mogła uciec z rzeźni. My chcemy, żeby twoja dusza zasiliła Operandi, a ty nie możesz uciec z naszej Luki. I tyle.

Ludzie strachliwi nie zagrzewają długo miejsca w policji, ale ja w tej chwili jestem przerażony. Chociaż zawsze uważałem religię za coś durnego, nagle tylko ona mi pozostała. Jeśli to złodzieje dusz, muszę się modlić do Boga. Jak to szło? „Ojcze nasz...”.

– Świetny pomysł – ocenia Jonah. – Powiem ci coś, inspektorze. Jeżeli odmówisz całe Ojcze nasz od początku do końca – w wersji z Modlitewnika Powszechnego – wygrasz kartę „Wyjście z więzienia”. No, recytuj. Zobaczymy, ile pamiętasz.

– Strasznie to dziecinne, bracie – wzdycha Nora.

– Zaraz, grajmy fair, powinien dostać szansę. Hej, panie posterunkowy, na miejsca, gotów... „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”. No, dalej.

Oślizgły gad z tego Jonah, ale nie mam wyjścia. „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, świeć się imię Twoje...”.

– Powiedziałeś „świeć” czy „święć”? – pyta Jonah.

Muszę tańczyć, jak mi zagra. Myślę: „święć”.

– Brawo! Dalej, dalej. „Święć się imię Twoje”.

Co dalej? „Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszechnego daj nam dzisiaj...”.

– Oooo! „Powszechnego”. Jak Powszechne Towarzystwo



Ubezpieczeniowe? Czy „powszedniego” od „powszednieć”, na przykład: „odbieranie życia powszedniej”? Tak czy tak?

Jezu, wgniółłbym mu facjatę. Zastanawiam się. „Powszedniego”.

– Posterunkowy jest w gazie! Dalej, dalej.

„I nie wódź nas na pokuszenie, i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy je... je... je...”.

– No i co? Jąkają ci się myśli czy podśpiewujesz Beatlesów?

„...naszym winowajcom. Bo twoje jest królestwo i potęga, i chwała na wieki wieków, amen”. Skończyłem. Patrzę na niego.

– No i dupa, panie posterunkowy. Niestety nie tak. „Pokuszenie” jest przed „odpuść nam nasze winy”, a po „odpuzczamy” nie ma „je”. I zapomniałeś o „ale nas zbaw ode złego”. O ironio.

Zaraz umrę.

Nie chcę umierać.

Ale zaraz umrę.

– Możesz mi powiedzieć, co ta przednia zabawa naprawdę ma na celu? – pyta Nora.

– Od szczypty rozpaczy, dodanej w ostatniej chwili, dusza nabiera przyjemnego ziemistego posmaku. Gotowa, siostró?

– Zawsze jestem gotowa – burczy Nora i oboje zaczynają kreślić w powietrzu jakieś symbole.

Intonują też śpiewne inkantacje w języku, którego nie znam, i coś pojawia się nad płomieniem świecy, trochę ponad linią wzroku – plama w powietrzu, świecąca bryłka, rozjarzona od środka na czerwono, bijąca jak serce, wielkości mózgu. Wysuwają się z niej wijące robaki, czy też korzonki, czy żyłki. Niektóre wyciągają się w stronę bliźniaków, ale kilka z nich sunie w moją stronę, a ja usiłuję cofnąć głowę, albo je odpędzić, albo nawet krzyknąć, albo zamknąć powieki, ale nie mogę. Wpełzają do moich oczu, do uszu, do dziurek w nosie, jak ostre, drobne języki,

i we mnie zabierają się do dzieła. W czole czuję ból jakby od wiertła, a w lustrze widzę w tym miejscu czarną kropkę. To nie krew. Mijają sekundy. Coś stamtąd wypływa i unosi się w powietrzu tuż obok, jakaś bryłka wielkości i kształtu piłki golfowej, tuż przed moimi oczami. Jest niemal przezroczysta, jak żel, albo jak białko jajka, wypełniają ją drobiny lśniącego pyłu, czy też może...

Boże, jest piękna.

Jezu, migocze.

Ona żyje, jest moja...

...wyrastają nade mną twarze rodzeństwa, Jonah z lewej, Nora z prawej, z porcelanową cerą, są głodni, ściągają usta, jakby chcieli gwizdać, ale oni zasysają powietrze, tak gwałtownie, że moja dusza – bo cóż innego to mogłoby być? – powoli, ale nieubłaganie rozciąga się, jakby była z plasteliny. Połowa jej dryfuje w powietrzu jak dym do ust Nory, a połowa do ust Jonah. Zapłakałbym, gdybym mógł, albo zagroził: „Zobaczycie, zabiję was, jeszcze mi za to zapłacicie”, ale jestem już tylko pozostałością po Gordonie Edmondsie. Jestem jego łupiną. Jestem jego kostiumem ze skóry i ciała. Rodzeństwo wstrzymuje oddech i wydaje cichy jęk rozkoszy, jak narkomani tuż po strzale w żyłę, kiedy narkotyk rozlewa się po ich ciele. Słyszę narastający szum, głośniejszy od końca świata. A teraz zapada cisza, jak rankiem po końcu świata. Tego unoszącego się jakby mózgu już nie ma. Zniknęły też jego żyły. Jakby w ogóle nic tu nie było. Rodzeństwo klęczy po obu stronach świecy, naprzeciwko siebie, nieruchomo jak ten płomień, który nigdy nawet nie drgnie. Lustro jest puste. Spójrzcie tylko na opalone skrawki, jakby papieru. Tam, na deskach podłogi. Ćma dobiegła końca.

# Chrum chrum

1997

– Pięcioro – liczy nas Axel Hardwick, magistrant astrofizyki, ubrany w sztruksową marynarkę chłopak z krótkimi, czarnymi, kręconymi włosami. Naprawdę ma na imię Alan, nie Axel, ale on myśli, że z „Axlem” już prawie gra w Guns’N’Roses. Teraz patrzy na nas, jakbyśmy to my byli tymi, którym nie chciało się przyjść. – Każda grupa naturalnie się kurczy, kiedy wykruszają się najmniej zainteresowani, ale pięcioro, i to w takim momencie roku akademickiego, to, szczerze mówiąc, żalosne.

Od schodów dobiega pijacki harmider z głównego baru na dole, moje myśli odpływają i zastanawiam się, czy poznałabym więcej ludzi, gdybym w pierwszym tygodniu studiów wstąpiła do Towarzystwa Fotograficznego zamiast do Paranormalnych, jak początkowo zamierzałam. Ale wtedy nie spotkałabym Todda.

Todd Cosgrove, student drugiego roku matematyki, nieśmiały chudy chłopak w czarnym palcie, białym T-shircie, brązowych dżinsach, traperskich butach, wiceprzewodniczący Towarzystwa Zjawisk Paranormalnych, fan The Smiths. Siedzi naprzeciwko mnie przy stole i popija newcastle brown ale. Todd jest szatynem, ma włosy w kolorze mocnej herbaty. Mieszka z rodzicami tutaj, w mieście, ale nie dlatego, że jest jakimś gamoniem czy przygłupem – jest bystry i dość silny wewnątrz, więc pewnie ma jakiś powód, żeby ciągle mieszkać z rodzicami. Moje usta i mózg kompletnie się blokują, kiedy próbuję z nim rozmawiać, ale gdy w nocy zamykam oczy, mam go pod powiekami. Obłąd. Z drugiej strony, jak mówi każda piosenka o miłości w historii piosenek o miłości, miłość to swego rodzaju obłąd.

– Może niezdecydowanych zniechęciła konieczność dłuższego

spaceru – zastanawia się Angelica Gibbons.

Zdecydowanie bardziej „Gibbons” niż „Angelica”. Jest na drugim roku antropologii, ma przyklepane włosy koloru indygo, nosi martensy, ubiera się jak jakaś tania wróżka i jest grubokoścista jak ja. Myślałam, że się zaprzyjaźnimy, ale kiedy dostałyśmy tylko osiemnaście procent na teście z telepatii, oskarżyła mnie, że „nie mam absolutnie żadnego potencjału parapsychologicznego”. Pamiętam, jak cedziła: „ab-so-lut-nie”.

Axel krzywi się z oburzeniem.

– The Fox and Hounds jest góra dwadzieścia minut od kampusu. Odmawiam naruszania budżetu Paranormalnych, żeby płacić za transport publiczny na dystansie dwóch mil, które można spokojnie przejść na piechotę. – Palcami zaczyna kręcić podkładką pod kufel. Mój wzrok przykuwa krasnal na szklawionej reklamie Guinnessa nad kominkiem. Krasnal przygrywa na skrzypkach tańczącemu tukanowi.

– Ale ja się absolutnie zgadzam, Axel – potwierdza Angelica. – Tak tylko mówię.

– Może szli tutaj całą bandą i wszyscy się grupowo zgubili? – Lance Arnott, na ostatnim roku filozofii, z łupieżem, w T-shircie z „The Wall” Pink Floydów, śmierdzi hamburgerami. Lance przystawiał się do mnie w rzymskich ruinach w Silchester. Normalnie koszmar z ulicy Wiązów. Skłamałam, że w Malvern mam chłopaka, ale on myśli, że po prostu udaję niedostępną. Teraz odwraca się do Fern: – Gdzie się podziała w tym tygodniu ta twoja kumpela, Ferny?

Fern Penhaligon, studentka pierwszego roku, jak ja, ale ona na aktorstwie, loki Złotowłosej, szczupłe ciało modelki, urodzona w Kornwalii, wychowana w Chelsea, dzinsy Alexandra McQueena, parka we flagę brytyjską, przyszła tutaj „z głębiać zjawiska nadprzyrodzone” na potrzeby scenicznej wersji *Ducha*,

w której występuje. Teraz wydyma usta:

– Fern, nie Ferny. I o którą „kumpelę” ci chodzi? – Sączy cointreau, które postawił jej Lance, na co uprzejmie pozwoliła, ale z Lance’a jest większy przymuł, niż się wydaje, skoro myśli, że ma u Fern szansę.

– Ta, która była w świętym Elfriku? Ta z dużymi niebieskimi oczami. – Lance pokazuje gestem wielkie cyce. – Ta Walijka.

Fern kręci kostkami lodu w swojej szklance.

– Chodzi ci o Yasmin?

– Yasmin! Miała dziś jakieś fajniejsze zaproszenia, tak? Co nie, ziem? – Lance krzywi się do Todda.

Wysłałam Toddowi telepatyczny przekaz: „Nie zwracaj uwagi na Lance’a, to matol”. I proszę bardzo, Todd ignoruje Lance’a, więc może to jednak Angelica nie ma ab-so-lut-nie żadnego potencjału parapsychologicznego, a nie ja. Próbuję jeszcze raz: „Spójrz na moje paznokcie, Todd, pomalowałam je na niebiesko. Na kobaltowy błękit”. Ale Todd swoje oczy, brązowe jak pestki jabłka, ma zwrócone na Fern, która wyjaśnia, że ostatnia wyprawa w teren zrobiła na jej nieobecnej koleżance Yasmin zaledwie niewielkie wrażenie.

– Niewielkie wrażenie? – Axel przestaje kręcić podkładką pod piwo. – Kościół Świętego Elfrika jest najbardziej nawiedzany przez duchy kościołem w Anglii. Bezwzględnie.

Fern wzrusza ramionami.

– Miała nadzieję, że zobaczy prawdziwego ducha, a tylko złapała katar.

– Istoty paranormalne nie przybiegają na zawołanie – tłumaczy jej Angelica. – To nie służące z Filipin.

Mnie by to uraziło, ale po Fern uwaga Angeliki po prostu spływa.

– Teraz znowu mówi się „subretki”, nie „służące”. Wiem,

oczywiście, bo jestem z wyższych sfer. – Fern wsuwa gauuloise’a między wargi i przypala go. Angelica siedzi dosłownie zmiażdżona tą ripostą. Myślę: „cios w spłot słoneczny”, a Fern spogląda na mnie porozumiewawczo.

– Dobra, już dłużej nie czekam na spóźnionych – stwierdza Axel.

Puszcza wkoło cienki plik zadrukowanych kartek z dużym tytułem „Briefing przed wyprawą badawczą Towarzystwa Zjawisk Paranormalnych, 25 października 1997 roku”. Pod spodem widnieje podtytuł: „Zaginięcia na Slade Alley”. Jeszcze niżej dwie fotografie. Górna właściwie składa się z dwóch części. Lewa połowa to niewyraźne szkolne zdjęcie chłopaka, około dwunastu lat, z fryzurą kujona i za dużym nosem. Z prawej strony widać kobietę o surowym wyglądzie, przed czterdziestką, włosy zebrane razem, chuda, ma na sobie bluzkę z falbanką przy szyi, sznur pereł i rozpinany sweterek. Matka i syn, widać na pierwszy rzut oka. Żadne z nich nie czuło się swobodnie, gdy patrzyło w obiektyw. Podpis pod zdjęciami głosi: „Nathan i Rita Bishopowie, ostatni raz widziani na Slade Alley w sobotę, 27 października 1979 roku”. Dolne zdjęcie przedstawia mężczyznę w wieku około trzydziestu lat, uśmiechającego się szeroko do zdjęcia, popijającego piwo, ubranego jak gliniarz z *Miami Vice*, chociaż łysieje i nie jest szczupły. Podpis pod jego zdjęciem głosi: „Inspektor Gordon Edmonds, ostatni raz widziany na Slade Alley w sobotę, 29 października 1988 roku”. Więc miałam rację – to gliniarz. Na samym dole strony jest napisane: „Copyright Axel Hardwick 1977”. I to wszystko.

– „Zaginięcia na Slade Alley” – czyta Lance. – Super.

– Tytuł chyba wszyscy potrafimy przeczytać – stwierdza Angelica.

– Spisanie całego studium przypadku, ze wszystkimi szczegółami, zajęłoby wieki – wyjaśnia Axel – więc wam zrekapituluję.

– Nad Slade Alley zapadał zmrok, a niebo zasnuły ciemne chmury.... – wtrąca Lance z komicznym akcentem z Somerset.

– Jeśli nie traktujesz tego poważnie – mówi mu Angelica – to...

– Tylko robię atmosferę. Mów, Axel.

Axel wpatruje się w Lance'a, dając mu do zrozumienia: „Dorośnij”.

– Historia ma początek osiemnaście lat temu, w pierwszych dniach listopada siedemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy wkurzony właściciel domu przyszedł walić do drzwi mieszkania, które wynajmował Ricie Bishop, rozwiedzionej matce Nathana, tutaj na zdjęciu. Bank odrzucił wystawiony przez nią czek za czynsz. Kolejny zresztą raz. Sąsiad powiedział właścicielowi, że nie widział ani Rity, ani jej syna od przynajmniej dziesięciu dni. Wtedy właściciel zawiadomił policję, która odkryła, że Nathana nie było w szkole od ostatniego piątku października. Wszczęto postępowanie, jednak na pół gwizdka. Dlaczego na pół gwizdka? Bo Rita Bishop miała podwójne obywatelstwo, brytyjsko-kanadyjskie, jej były mąż mieszkał w Zimbabwie, czy tam Rodezji, a Rita tonęła w długach. Policja przyjęła założenie, że Rita uciekła tam, gdzie mogła liczyć na nową wiarygodność kredytową, i sprawę zakwalifikowano jako M.O.

Fern bawi się burzą włosów.

– M.O.?

– Skrót od „Można olać”. – Axel pociąga łyk swojego bitterka, a Angelica udaje, że bardzo ją to rozbawiło. – Teraz przewijamy sprawę aż do września osiemdziesiątego ósmego roku. Niejaki Fred Pink budzi się ze śpiączki na oddziale szpitala Royal Berkshire, dziewięć lat po tym, jak na Westwood Road pewien pijany taksówkarz wysłał go w niebyt.

– Westwood Road to ta ulica, tak? – pytam.

– Wszystko było rozpisane na planie dzisiejszego spotkania –



jęczy Angelica.

Głupia krowa. Biorę łyk mojej coli light i marzę, że jestem taką Fern i potrafię celnie wymierzać bolesne ciosy upokorzenia. I wrywać chłopaków. Na przykład Todda.

– Fred Pink zaczął przekopywać się przez wszystkie archiwalne numery lokalnej gazety, żeby zobaczyć, co go ominęło, kiedy spał dziewięć lat. I dość szybko natrafił na zdjęcie zaginionych Rity i Nathana Bishopów. Wiedział, że skądś ich zna. Skąd? Stąd, że w siedemdziesiątym dziewiątym roku, tuż zanim przejechała go taksówka, Fred Pink zamienił kilka słów z Ritą Bishop przy rogu Cranbury Avenue i Slade Alley, przecznicy od Westwood Road. Rita Bishop zapytała go, czy wie, gdzie mieszka lady Nora Grayer. Fred Pink powiedział, że nie wie, ruszył dalej Slade Alley i na jej drugim końcu wjechała w niego taksówka.

– Bum! Bach! Jeb! – Lance bez najmniejszego zażenowania poprawia sobie genitalia.

– Z całym szacunkiem dla pana Pinka – odzywa się Todd – ale czy można go uważać za wiarygodnego świadka? – W jego głosie słychać delikatny zaśpiew chłopaka z głuchej prowincji, ale to jest nawet całkiem sexy.

Axel kiwa głową, co ma znaczyć: „Dobre pytanie”.

– Policja też podchodziła do jego zeznań sceptycznie. W tej okolicy nie mieszkają co prawda żule, ale też z całą pewnością nie bogacze ani arystokracja. Jeśli prawdziwa „lady” miałyby mieć tutaj swoją „rezydencję”, rzucałyby się w oczy jak szalenie elegancki czyrak na czole. Mimo wszystko jednak wydział kryminalny policji nie chciał, żeby Fred Pink poczuł się zlekceważony, więc wysłali człowieka na pobieżne zlustrowanie Slade Alley. I tu na scenę wkracza inspektor Gordon Edmonds. – Axel stuka w drugą fotografię na kartce A4. – Dwudziestego dziewiątego października osiemdziesiątego ósmego roku udał się na Slade Alley i znalazł

drzwi w murze. Drzwi były otwarte. Wszedł więc przez nie i zobaczył za nimi ogród oraz „pokaźną posiadłość” zwaną Slade House.

– A w Slade House mieszkała ta lady Grayer? – pyta Angelica, kręcąc w palcach pasmo niebieskich włosów.

– Nie. W osiemdziesiątym ósmym roku dom należał już do młodej wdowy nazwiskiem Chloe Chetwynd. Krótki raport Edmondsa – podstawa naszej dzisiejszej wyprawy badawczej – jasno stwierdza, że Chloe Chetwynd nie wiedziała nic o lady Grayer ani zaginionych Bishopach.

– No ale przecież pewnie tak tylko mówiła. – Fern gasi papierosa w popielniczce. – W wiktoriańskich powieściach z pieprzykiem należy strzec się młodych wdów.

– Szkoda, że nikt nie ostrzegł Gordona Edmondsa – stwierdza Axel. – Kiedy przysłała kolejna sobota, udał się z powrotem do Slade House. Najwyraźniej polecił wcześniej Chloe Chetwynd majstra budowlanego, który miał jej naprawić drzwi do ogrodu, a ona poprosiła Edmondsa, żeby sam sprawdził, czy majster dobrze się spisał. Jakiś świadek widział, jak Edmonds parkował samochód przy Westwood Road o godzinie osiemnastej... – Axel nie umie oprzeć się pokusie zrobienia teatralnej pauzy. – I od tego czasu inspektora Edmondsa nikt już więcej nie widział.

– Kiedy jakiś gliniarz zostaje uznany za zaginionego – odzywa się Angelica – zawsze aż do skutku szuka go cała policja. Nawet media się w to włączają.

– To prawda – odpowiada Axel. – I Gordon Edmonds rzeczywiście był na pierwszych stronach gazet, przez kilka dni. Rozważano przeróżne teorie, od porwania przez IRA do zaplanowanego samobójstwa, i dzięki takim domysłom sprawa żyła przez jakiś czas, ale kiedy Edmonds nie chciał się jednak objawić ani żywy, ani umarły, o należne miejsce na czołówkach

brukowców zaczęły się upominać zdjęcia pupy Lady Di, relacje z zamieszek o podatek pogłówny i wszelkie aktualne Rozwody Dnia.

– A jaką wersję wydarzeń przedstawiła Chloe Chetwynd? – pyta Angelica.

– I to jest właśnie przedziwne – odpowiada Axel. – Śledczy nigdy Chloe Chetwynd nie odnaleźli.

Patrzmy po sobie, zastanawiając się, czy coś nam umknęło.

– Chwila – mówi Lance. – No to kto wpuścił do Slade House policjantów, którzy szukali zaginionego Gordona Edmondsa?

– I tu następuje kolejny przedziwny zwrot wydarzeń. – Axel bierze łyk piwa. – Slade House okazał się równie niemożliwy do zlokalizowania, jak Chloe Chetwynd.

– Zaraz, jak to? – pyta Lance. – Cały dom zniknął?

– Wielkie murowane domy zwykle nie rozplywają się we mgle – stwierdza Fern.

Axel ironicznie wzrusza ramionami.

– Zdaje się, że należymy do Towarzystwa Zjawisk Paranormalnych.

Gdzieś w głębi baru jednoręki bandyta wypluwa kaskadę monet.

– Normalnie Archiwum X – stwierdza Lance, bujając się na krześle.

– A jeśli – zastanawia się Fern – Gordon Edmonds zmyślił w swoim raporcie istnienie Slade House i Chloe Chetwynd też wymyślił?

– Po co miałby ryzykować? – pyta Angelica. – To byłoby oszustwo szyte bardzo grubymi nićmi.

– Nie mam pojęcia – broni się Fern. – Bo przechodził załamanie nerwowe? Bo był nieuleczalnym fantastą? Kto go wie? Ale sami powiedzcie, co jest bardziej prawdopodobne: że skłamał w policyjnym raporcie czy że cały dom nagle się rozplynął wbrew

prawom fizyki?

– A co zeznał ten majster budowlany? – pyta Todd.

Axel udaje, że ta sytuacja wcale nie sprawia mu przyjemności, ale sprawia ogromną.

– Zaklinał się na wszystkie świętości, że nikt nie kontaktował się z nim w sprawie żadnego Slade House – ani Chloe Chetwynd, ani inspektor Edmonds.

– Mordercy zwykle kłamią – stwierdza Angelica.

– Wydział śledczy go przesłuchał – wyjaśnia Axel – jak również każdego ślusarza, budowlanca i tym podobnych fachowców w całej okolicy, i nie znaleźli niczego. Zero, niente, mogiła. Nikt nie pracował w żadnym „Slade House” przy Westwood Road ani w pobliżu.

– A czy znaleziono jakiegokolwiek powiązanie – pyta Todd – między zniknięciem Gordona Edmondsa w osiemdziesiątym ósmym i zniknięciem Bishopów w siedemdziesiątym dziewiątym?

Axel kręci głową.

– Sprawę wyciszono. Policja nie chciała, żeby Slade Alley jak magnes przyciągała wszelkiego typu świrów tropiących niewyjaśnione zbrodnie.

– Typowe dla tych faszystów, ukrywać prawdę – stwierdza Angelica.

Chciałabym ją zapytać, czy czułaby się bezpieczna w społeczeństwie, w którym nie istnieje policja, ale nie mam odwagi. Todd pyta:

– A ty, Axel, jakie widzisz powiązanie między tymi dwoma zaginięciami?

– Pewien informator zainteresował mnie tą sprawą – Axel robi tajemniczą minę – i zasugerował, że może zajęłoby się nią Towarzystwo Zjawisk Paranormalnych.

– Jaki informator? – Lance wydłubuje z nosa babę i przyklepia ją

pod stołem. Może ja jestem gruba, ale on jest odrażający.

– Mój wujek – przyznaje Axel po krótkim milczeniu. – Fred Pink.

– Fred Pink to twój wujek? – zapowietrza się Angelica. – Bez jaj! Ten czyściciel okien, co był w sypialni? Ale ty nazywasz się Hardwick, nie Pink.

– Fred Pink to brat mojej mamy. Mama po mężu jest Hardwick, a z domu Pink. Fred ma obsesję na punkcie Slade Alley, niestety.

– Dlaczego „niestety”? – pyta Fern i ja też chcę zapytać o to samo. Axel marszczy usta.

– Wujek Fred czuje się... No, „wybrany”.

– Wybrany do czego? – drażni Fern. – Przez kogo?

Axel wzrusza ramionami.

– Wybrany, żeby dowiedzieć się prawdy o Slade House. Powrót do rzeczywistości nastroczał mu sporo kłopotów po dziewięciu latach w sypialni i teraz jest... mmm... pod opieką specjalistów. Gdzieś na obrzeżach Slough. Na... na oddziale.

– Zajebicie – oświadcza Lance, podnosząc dłoń na znak, że za chwilę będzie bekał. I rzeczywiście beka. – Te wszystkie nadprzyrodzone wątki potrzebują wyjaśnienia nie tylko nadprzyrodzonego, ale i racjonalnego. Na przykład, czy nasz bohater naprawdę widzi duchy, czy też akurat przeżywa stopienie rdzenia w mózgu? Już kocham tę sprawę. Wchodzę, Ax.

– Im nas więcej, tym lepiej – stwierdza Axel bez entuzjazmu.

Angelica wypija łyk piwa.

– To bardzo ciekawy przypadek, ale jak w sześć osób mamy znaleźć ten Slade House i tych wszystkich zaginionych, jeżeli miliard gliniarzy nic nie wskórał?

– Nie chodzi o to jak – odpowiada Axel – tylko kiedy. Spójrzcie, ludzie, na daty. – Stuka palcem w kartkę A4. – Uruchomcie myślenie.

Patrzę znowu na ulotkę, ale widzę tylko mężczyznę, kobietę i chłopca, którzy patrzą na mnie z rozmazanych skserowanych zdjęć. Czy kiedykolwiek by w ogóle przypuszczali, co się będzie działo? Palcami odnajduję jadeitowy wisiołek, który dziś rano przyszedł w paczce od mojej siostry z Nowego Jorku. To symbol wieczności, uwielbiam go.

Todd, matematyk, pierwszy rozkminia daty.

– Jezu, no jasne. Bishopowie zniknęli w ostatnią sobotę października osiemdziesiątego ósmego roku. Przeskoczcie do przodu dziewięć lat i będziecie mieli.... – Todd spogląda na Axla, który kiwa głową. – Dzisiaj.

– Ostatnią sobotę października dziewięćdziesiątego siódmego roku – potwierdza Lance. – Jak w pysk strzelił, Axel. Dzisiaj. Dzisiaj! – Lance potrafi robić sobie jaja i jednocześnie mówić całkiem szczerze. – Tajemniczy dom, który pojawia się tylko na mgnienie oka raz na dziewięć lat. Boże, już mam wzwód jak stąd do Berkshire. Kończcie pić i ruszamy!

\* \* \*

Latarnie na Westwood Road są otoczone pomarańczowym halo drobnej mżawki. Samochody rozpędzają się od jednego progu na jezdni do następnego. Mija nas karetka ze szpitala Świętego Jana, nigdzie się nie śpieszy. Chłopaki idą na przedzie, a Lance dzieli się swoją teorią, że Slade House może być wylotem miniaturowej czarnej dziury. Angelica i Fern kłócą się o to, czy film *Kiedy Harry poznał Sally* obraża kobiety. Ja zatem zamykam pochód. Czyli idę na swojej zwyczajowej pozycji. Przyglądam się pokojom za niezastłoniętymi oknami, widzę kanapy, lampy, obrazy i patrzcie – jakaś dziewczyna ćwiczy grę na pianinie w pokoju błękitnym jak lipiec. Ma krótkie włosy, szaroniebieski szkolny mundurek i powiedzmy, że na imię ma Grace. Grace wygląda na zirytowaną,

bo nie udaje jej się perfekcyjnie wyćwiczyć utworu na fortepian, ale jako jej starsza siostra byłabym utalentowaną pianistką i pomogłabym Grace osiągnąć perfekcję. Nigdy nie mówiłabym jej: „Będziesz się lepiej czuła na własny temat, jak zrzucisz kilka funtów”. Mama robi w kuchni kolację nie dla kilkunastu wrednych żon Shell Oil, ale tylko dla taty, Grace, dla mnie i dla Frei, która wcale nie uciekła do Nowego Jorku zaraz po studiach, ale pracuje w Londynie i dlatego może się ze mną spotykać co weekend. Mama nie gotuje kuchni fusion, dań półwegetariańskich ani żadnych najnowszych trendów, tylko piezzonego kurczaka z ziemniakami, marchewką i sosem. Ja mieszam sos. Tata wraca piechotą do domu ze stacji, bo nie jest ważnym dyrektorem w Shellu, który zarabia rocznie sto dziewięćdziesiąt tysięcy funtów i ma opcje na akcje firmy – pracuje dla Greenpeace’u, ale tylko za czterdzieści tysięcy rocznie. No dobrze, za sześćdziesiąt. Grace wyczuwa, że na nią patrzę, spogląda na mnie i na ulicę w tle, a ja nieśmiało macham do niej, ale ona zasłania okno. Nigdy nie wiadomo, czy oni cię widzą.

– Wszystko w porządku, Sally? – Jezu, to Todd. Staje tuż obok mnie.

– Tak – odpowiadam zmuszona do nagłego powrotu do rzeczywistości. – Tak tylko... – Pozostali patrzą na mnie i czekają. – Sorry wszystkich, tak się jakoś... mmm...

– Zamyśliłaś? – podpowiada Fern, ale nie ma w tym złośliwości.

– Może – przyznaję – ale już jestem.

– To dobrze, idziemy – komenderuje Lance i ruszamy, ale Todd zostaje przy mnie. Ma obszerne palto i w jego kieszeniach jest miejsce na nasze obie dłonie.

Telepatycznie mówię mu: „Weź mnie za rękę”, ale nie bierze. Dlaczego podrywają mnie tylko takie mendy jak Lance? Gdybym była szczuplejsza, bardziej zabawna i bardziej sexy, wiedziałabym,

co teraz powiedzieć Toddowi, żeby jeszcze przed odnalezieniem Slade Alley zaproponował: „Hej, Sal, chodź, wpadniemy po jakiś chiński wynos i pójdziemy do mnie na kawę”, a ja bym na to odparła: „Wiesz, proponuję olać ten wynos”. Ustępujemy z drogi chartowi afgańskiemu ciągnącemu na smyczy kobietę w długim płaszczu i okularach słonecznych. Kobieta nie zwraca na nas uwagi. Burczę pod nosem:

– Na pewno jest zakłeta.

Todd mruczy – „Mmm” – żeby pokazać, że jest po mojej stronie. Słyszę czyjeś sapanie, jakby ktoś coraz głośniej uprawiał seks, ale to tylko jakiś biegacz zbliża się do nas truchtem. Jego czarnopomarańczowy dres jest tak jaskrawy, jakby jego właściciel uciekał z jakiegoś acid rave party.

– Sal – odzywa się Todd. – Przepraszam, nie chcę, żeby zabrzmiało to zbyt bezpośrednio...

– Ależ skąd – odpowiadam nerwowo. – Nie ma sprawy. Oczywiście.

On milknie zdezorientowany.

– Ale jeszcze cię o nic nie zapytałem.

Sally Timms, ty głupia krowo.

– To znaczy, chciałam powiedzieć, pytaj śmiało.

– Ludzie, znalazłem! – wykrzykuje Lance kilka kroków przed nami i nastrój pryska.

Todd świeci latarką na nierzucającą się w oczy tabliczkę: SLADE ALLEY. Uliczka jest wąska, ciemna i tylko trochę szersza od wózka inwalidzkiego.

– Normalnie ciary – stwierdza Lance.

– No pewnie, że ciary – odzywa się Fern, zapalając kolejnego francuskiego papierosa. – Jest prawie noc, a to ciasny zaułek.

– Czuję obecność jakichś istot – mówi Angelica drżącym głosem.



Z jednej strony myślę: „Akurat, jasne, czujesz”, ale z drugiej... wiem, co Angelica ma na myśli. Slade Alley na pierwszym odcinku biegnie w cieniu, a potem ostro skręca w lewo pod słabą latarnią, która pulsuje przygaszonym beżowym światłem. Gdybym to ja była „istotą”, właśnie do takich miejsc by mnie ciągnęło.

– Kto pierwszy odważy się zakłócić im spokój? – pyta Lance ze śmiertelnie poważną miną.

– Nie byłbyś taki hop do przodu – odcina się Angelica – gdybyś miał Dar.

– Fred to mój wujek – mówi Axel – więc ja pójdę pierwszy. Gotowi?

Lance, Angelica, Fern, ja i Todd idziemy za Axlem, w takiej właśnie kolejności. Czuję się bezpiecznie, gdy Todd idzie za mną, i przez rękawiczki gładzę palcami cegły muru po obu stronach Slade Alley – uliczka nie może mieć więcej niż trzy stopy szerokości. Ktoś naprawdę gruby – to znaczy grubszy ode mnie – nie przecisnąłby się obok drugiej osoby idącej z przeciwną.

– Ale zimno – mówię pod nosem, w zasadzie do nikogo, ale Todd mnie słyszy.

– Owszem. Jakby ktoś przystawiał człowiekowi do gardła lodowaty nóż.

– Fajne echo – mówi Lance. – Balrogowie głębin, wzywam was!

– Uważaj, kogo wzywasz – ucisza go Angelica pouczającym tonem.

Lance zaczyna odśpiewywać „Bohemian Rhapsody”, a jego głos odbija się echem w uliczce, ale Axel zaraz każe mu:

– Weź się zamknij, Lance.

Axel doszedł już do latarni na rogu i kilka sekund później wszyscy stajemy tam zbitą gromadą. Po zakręcie w lewo Slade Alley biegnie dalej jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt kroków – trudno cokolwiek zobaczyć – a w końcu skręca w prawo pod

kolejną wysoką latarnią z rozedrganym światłem.

– To zawsze zły znak – stwierdza Lance – te bzyzące żarówki. Widzieliście *Candymana*?

Ja widziałam, ale się nie odzywam. Slade Alley wygląda jak zwykła alejka w każdym mieście, ale te ceglane mury są dwa razy wyższe od wzrostu przeciętnego człowieka i całkowicie blokują widok. Niebo jest tylko długim pasem zmierzchu nad naszymi głowami. Plecami przywarłam do Todda, który pachnie wilgotną wełną, ciepłem i miętą. Przy pierwszej nadarżającej się okazji zapytam go, o co chciał mnie spytać przed paroma minutami. Wtedy zdobędzie się na odwagę i się ze mną umówi.

– Nigdzie nie ma żadnych drzwi – stwierdza Lance. – Tylko długi mur.

– Dwa długie mury, tak naprawdę – dodaje Angelica irytująco.

– Dobrze – ocenia Axel. – Ta alejka może być MZP.

– A bardziej po ludzku? – pyta Lance.

– Może być MZP, czyli Miejscem Zdarzenia Paranormalnego, co wyjaśnia dlaczego Angelica odczuwa tu czyjaś obecność. – Boże, Angelica jest teraz taka z siebie zadowolona. – Lance, Fern, Todd, wy zbadacie mur z prawej, skrawek po skrawku. Aż do samego końca ściany. Angelica, Sally i ja bierzemy się za mur po lewej. Szukamy WAP-ów. Od czego to skrót? Ktoś wie?

Todd odchrząkuje.

– Od Wskaźników Anomalii Paranormalnych.

– Doskonale – chwali Axel i ja też jestem trochę zadowolona.

– Przypomnij mi, jak dokładnie wygląda WAP – prosi Fern.

– To rzeczy, znaki, pismo – wyjaśnia Axel. – WAP-y manifestują się w wielu różnych formach. Wszystko, co nie pasuje do kontekstu, może być WAP-em.

– Będę szukała rozdarć w membranie – mówi Angelica.

– W jakiej membranie? – pyta Fern, na co właśnie Angelica

liczyła.

– W membranie między światami. Tylko że jej nie widać. Jest widoczna wyłącznie dla tych z nas, którzy są empatami z odpowiednio rozwiniętą czakrą wzroku.

– A, oczywiście – odpowiada Fern, jakby odpowiedź zrobiła na niej głębokie wrażenie. – O tę membranę chodzi.

– Otwarty umysł to cudowna rzecz – mówi Angelica. – Spróbuj czasem.

Fern zapala kolejnego papierosa.

– Jeśli masz umysł zbyt otwarty, wypadnie ci mózg. – Nie widzę schowanej w cieniu twarzy Angeliki, ale jestem przekonana, że ostrzeliwuje Fern promieniami śmierci.

– Nie jestem pewien, czy to jest WAP, ale tu jest jakaś furtka! – woła Lance kilka jardów przed nami.

Wszyscy dołączają do Lance'a, który przykucnął przy małych czarnych żelaznych drzwiach. Przynajmniej tak sędzę, że to drzwi. Są bardzo niskie i bardzo wąskie, jakby były stworzone z myślą o chudych hobbitach, nie mają jednak klamki ani haczyka, ani żadnej tabliczki, ani nic.

– WAP-y często kamuflują się jako normalne przedmioty – mówi Axel.

– Wyglądają na solidne. – Fern stuka w drzwi kostkami palców. – I w dotyku też wydają się masywne.

– Nie pukaj! – nakazuje jej Angelica. – Możesz zbudzić wrogą istotę. – Przyciska do drzwi dłoń. – Emanacje. Z całą pewnością.

– Dziwne, że nikt z nas nie zauważył tych drzwi, kiedy staliśmy na rogu – mówię.

– To wąskie drzwiczki – stwierdza Fern. – Trudno je zauważyć stamtąd pod takim kątem.

– Nie ma żadnej dziurki od klucza – mówi Lance. – Zamek musi być od wewnątrz. – Naciska drzwi w różnych punktach.

– To w czymś pomaga? – pyta Angelica.

– Zwalnia haczyki. – Ale drzwi pozostają zamknięte. – Gdybym ci stanął na ramionach – mówi Lance do Axla – może mógłbym...

– Przecież się zarwę. – Axel zwraca się teraz do Fern. Oczywiście nie do Sally Timms z jej wielką dupą. – Fern, weszłabyś mi...

– Zapomnij – broni się Fern. – Jeśli Slade House rzeczywiście jest za tym murem, to te maleńkie drzwi nie mogą być jedynym wejściem. Dojdźmy może alejką do ulicy i przejdźmy naokoło z drugiej strony, aż znajdziemy wejście od frontu.

To sensowna propozycja, ale Lance'owi nie pasuje.

– Gdyby to było takie proste, policja by je znalazła, tak? Międzywymiarowe tunele czasoprzestrzenne nie mają „drugiej strony” ani „wejść od frontu”. To te drzwiczki.

W słowach Lance'a jest jakiś prześmiewczy ton, a w mojej głowie słyszę głos: „Nie ufaj mu, on się zabawia wami wszystkimi”. Wtedy wydarza się coś dziwnego: moja ręka postanawia nacisnąć mocno na drzwi, a przez dłoń przepływa mi strumień gorąca. Jestem tym tak zdumiona, że aż wydobywa się ze mnie pisk, jak ze szczeniaczka, na którego ktoś nadepnął, a małe czarne żelazne drzwi otwierają się. Jakby tylko czekały, aż ktoś je o to poprosi. Zapraszają teraz otwarte na oścież...

– A niech mnie chuj strzeli! – stwierdza Lance. – Nie w sensie dosłownym, Axel, nie licz na to.

– Zdaje się, że Sally ma magiczny dotyk – konstatuje Todd.

– Pewnie były otwarte cały czas – powątpiewa Angelica, ale ja jestem tak wystraszona, że nawet nie zwracam na to uwagi.

\* \* \*

Wychodzimy zza kępy krzaków i nasz wzrok biegnie wzdłuż długiego trawnika aż do dużego starego kamiennego domu. Jego jeden bok porasta dzikie wino, którego liście w gasnącym świetle

dnia mają barwę ciemnej purpury. Białe gwiazdy przeświecają przez chmury. Niebo jest tu trochę jaśniejsze, a powietrze trochę cieplejsze niż w alejce.

– Co prawda patrzę moimi pozbawionymi zdolności parapsychologicznych oczami – mówi Fern – ale Slade House wygląda bardziej jak coś wyjętego z *Rocky Horror Picture Show* niż jak „membrana między światami”.

Angelica nie może złapać się na tę przynętę, bo Fern ma rację. Patrzymy na dom studencki, w którym właśnie trwa halloweenowe party. Dudni „Novocaine for the Soul” w wykonaniu Eels, Bill Clinton i zakonnica migdała się na ławce, a goryl, Kostucha i Zła Czarownica z Zachodu siedzą wokół zegara słonecznego i palą.

– Proszę, proszę, sprytny jesteś, Axel – mówi Lance.

– Że co? – pyta Axel roztargnionym głosem. A potem już bardziej do rzeczy: – Sprytny?

– Zwabiłeś swoją grupę na melanz.

– Nikogo nigdzie nie zwabiałem – protestuje Axel.

– Chwila – przerywa im Fern. – Czy to ten sam Slade House, którego nie potrafił zlokalizować zbiorowy wysiłek Thames Valley Police?

Axel mamrocze:

– Najwyraźniej tak, ale... – Jego „ale” traci energię.

– Dobrze – mówi Fern. – Więc jeśli chwilowo dysponujemy umiejętnością racjonalnego myślenia, czy możemy wykluczyć teorię, że właśnie przeszliśmy przez czarną dziurę?

– Fern? – To zagaduje Zła Czarownica z Zachodu, która właśnie idzie w naszą stronę. – Fern! Tak myślałam, że to ty! – Czarownica jest Amerykanką, a maska, którą nosi, jest zielona. – Poznałyśmy się na seminarium profesora Marvinina o dramacie jakobińskim. Kate Childs, z Blithewood College, z wymiany studenckiej.

Chociaż teraz – robi szybki piruet – dorabiam na usługach sił zła. Muszę przyznać, Fern, że twój występ w *Małpiej łapie* normalnie wbił mnie w fotel.

– Kate! – Fern, przysłała królowa salonów, zapomina o nas, o swoim krępującym ogonie. – To miło, że chciało ci się wybrać na *Małpią łapę*.

– Chyba żartujesz? – Kate Childs zaciąga się głęboko blantem i wypuszcza kłęb marihuanowego dymu. – Normalnie umarłam z zazdrości.

– Czy palisz to, co myślę – pyta Lance – ty Bardzo, Bardzo Zła Czarownico?

– To zależy – Amerykanka rzuca Lance'owi podejrzliwe spojrzenie – od tego, co według ciebie palę.

– Ucisz się na chwilę, Lance – odzywa się Angelica. – Przepraszam... Kate. Chcielibyśmy tylko, żebyś coś nam potwierdziła. Czy ten dom to Slade House?

Kate Childs uśmiecha się, jakby to miało być podchwytliwe pytanie.

– O ile nie zmienili mu nazwy przez ostatnie pół godziny, owszem.

– Dziękuję – ciągnie Angelica. – A kto tu mieszka?

– Ja i jakichś piętnastoro innych studentów z Erasmusa. A wy przyszliście tu na naszą imprezę Halloween, prawda?

– Absolutnie – odpowiada Lance. – Jesteśmy grupą sześciorga paranormalnych detektywów.

– Czyli jeszcze raz – porządkuje Angelica. – Slade House, ten dom, w którym mieszkacie, należy do uczelni?

– W zasadzie jego właścicielem jest Instytut Erasmusa, chociaż to ogrodnik z uniwersytetu kosi trawę swoją chujową kosiarką. Od frontu jest tablica, że – Chryste, powiedziałam przed chwilą „chujową”, prawda? – Kate Childs zgina się wpół w bezgłośnym

śmiechu, którego napad ustępuje tak gwałtownie, jak się pojawił.

– Przepraszam. O czym mówiłam?

– O tablicy – podpowiada Axel. – O znaku od frontu.

– „Slade House, Centrum Stypendialne Erasmus, sponsor kulturowej wymiany i porozumienia w edukacji od 1982 roku”. Mijam ją codziennie. Tam, przy – macha palcem nad dachem Slade House – przy głównym wejściu. Czyli, skoro to już mamy wyjaśnione... – Kate Childs wskazuje na wielki dom. – Jedźcie, pijcie i radujcie się. Jutro wszyscy... – Macha ręką, jakby to miało jej pomóc w wydobyciu z ust ostatniego czasownika, ale w końcu Kate się poddaje i proponuje Lance’owi swojego blanta.

Lance odwraca się do nas.

– Widzimy się później.

\* \* \*

– Złożę oficjalne przeprosiny w aktach Towarzystwa – zapowiada Axel, kiedy razem z nim, Angelicą, Fern i Toddem zbliżamy się do domu. – Mój wujek przysięgał, że Slade House nigdy nie odnaleziono. – Axel wali dłonią w kamienną ścianę budynku. – Albo jest oszustem, albo ma urojenia. Zresztą wszystko jedno. Mój podstawowy błąd polegał na tym, że mu uwierzyłem.

Szkoda mi Axla.

– To twój wujek. Nie czuj się winny.

– Sal ma rację – przytakuje Todd. – Nic takiego się nie stało.

Axel nas ignoruje.

– A moim drugim błędem było to, że wcześniej nie rozpoznałem dość dobrze terenu. Wystarczyłby krótki spacer Cranbury Avenue. Niewybaczalny błąd. – Axel jest bliski łez. – To zaniedbanie z mojej strony. Amatorstwo.

– Co za różnica? – pyta Fern. – Wygląda na to, że trafiliśmy na zajebistą imprezę.

Axel poprawia szalik.

– Działalność Paranormalnych zostaje zawieszona do odwołania. Dobranoc. – To powiedziawszy, odchodzi ścieżką prowadzącą wzdłuż ściany Slade House.

– Axel. – Angelica biegnie za nim. – Zaczekaj...

Todd patrzy, jak oboje znikają za rogiem.

– Biedak.

– Biedna Angelica – mówi Fern, czego nie rozumiem, bo myślałam, że Fern nie znosi Angeliki. – No dobrze, cóż, jeśli wpadłeś między wrony... – Fern wchodzi po schodkach i znika we wnętrzu domu.

Todd odwraca się do mnie i robi minę mającą znaczyć: „Co za wieczór!”. Odpowiadam mu miną: „Jakiś koszmar!”. Todd poprawia okulary na nosie. Gdybym była jego dziewczyną, przekonałabym go do okularów bez ramek, żeby nic nie zasłaniało jego twarzy – oblicza poety, któremu sądzona jest zguba.

– Todd, chciałeś mnie o coś zapytać.

Todd ma przestraszoną minę.

– Tak?

– Przedtem. Na ulicy. Zanim Lance znalazł alejkę.

Todd drapie się w szyję.

– Tak? Naprawdę?...

Uchodzi ze mnie powietrze. Todd udaje, że zapomniał, bo obleciał go strach. To przez te eterycznie chude panny, które chodzą wokół, kołysząc swoimi kościstymi ciałami.

– Może jak wejdziemy do środka i sobie porozmawiamy, Sal – proponuje Todd – to sobie przypomnę. To znaczy... jeśli nie masz żadnych innych planów na wieczór. Wypijemy szybkiego drinka i pogadamy sobie. To wszystko.



– Mam tylko jedną siostrę – powtarzam Toddowi drugi raz, głośniejsze, bo „Caught by the Fuzz” Supergrass dudni w kolumnach.

Stoimy ściśnięci w rogu przy piekarniku z głośnym termoobiegiem. Kuchnia jest zatłoczona, cała w dymie papierosowym i śmierdzi w niej koszem na śmieci. Todd pije z butelki piwo „Tiger”, a ja jakieś czerwone kocie szczyny z plastikowego kubka.

– Siostra jest od ciebie starsza, jak się domyślam? – pyta Todd.

– Zgadujesz w ciemno? Czy naprawdę się domyślasz?

– W osiemdziesięciu procentach. Jak ma na imię?

– Freya. Dzisiaj mieszka w Nowym Jorku.

Gdzieś obok nas wybuchają głośne salwy śmiechu. Todd przystawia dłoń do ucha:

– Możesz powtórzyć?

– Freya. Jak ta mocarna nordycka bogini... no właśnie, czego...?

– Miłości, seksu, piękna, płodności, złota, wojny i śmierci.

– No właśnie ta – potwierdzam. – W przeciwieństwie do „Sally”, zaharowanej sprzątaczką, albo prostytutką z doków na East Endzie z powieści Dickensa.

– Nieprawda! – Todd wydaje się urażony. – Sally to imię pełne słońca. Jest w nim dobro.

– Wszystkie badania wskazują na to, że Freya znajdzie w życiu dużo, dużo dalej niż jakkolwiek Sally. Podaj mi przykład jednej sławnej Sally. No, proszę, podaj. Nie możesz, prawda? Moja siostra zdobyła w szkole każdy możliwy medal. W Singapurze nauczyła się mandaryńskiego. W Genewie płynnie wyszlifowała francuski. W tym roku w czerwcu obroniła dyplom z dziennikarstwa w Imperial College. Wyjechała do swojego chłopaka, Amerykanina chińskiego pochodzenia, który mieszka na Brooklynie i jest oczywiście wziętym amerykańskim

dokumentalistą. I dostała pracę w agencji fotograficznej na Bleecker Street. I to nie staż, tylko normalny płatny etat. A wszystko w zaledwie dwa tygodnie po wylądowaniu na JFK. Taka właśnie jest Freya. I jeśli uważasz, że jestem zazdrosna, to masz rację. Boże, Todd, dołałeś mi do wina jakiegoś serum prawdy?

– Nie, ale opowiadaj, Sal. Uwielbiam cię słuchać.

Doskonale słyszałam, co powiedział, ale ja uwielbiam słuchać, jak Todd wymawia słowa „Uwielbiam” i „cię” w bezpośrednim sąsiedztwie, więc pytam go:

– Możesz powtórzyć?

– Mówiłem, że uwielbiam cię słuchać. Może Freya też jest o ciebie zazdrosna?

– Akurat. Proszę bardzo, to moja skrócona biografia: Sally Timms, urodzona w Canterbury w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku.

Todd uważnie mnie słucha, jakby naprawdę go to interesowało.

– Ojciec był dyrektorem w Shell Oil, a matka żoną dyrektora z Shell Oil. Właściwie oboje nadal piastują te funkcje. Shell Oil jest jak Hotel California: możesz się zameldować, ale wyjścia nie ma. Kiedy miałam osiem lat, tata dostał awans i przenieśli go do oddziału w Singapurze. Wszyscy się tam przeprowadziliśmy. Życie w Singapurze składa się wyłącznie ze ścisłych reguł i zasad. Wszystko, cokolwiek robisz, jest tam nadzorowane. I kiedy miałam dwanaście lat, przeżyłam coś w rodzaju... załamania... – Waham się i zastanawiam, czy Todd podziwia teraz moją szczerłość, czy raczej myśli: „Psychiczna, psychiczna, odwrót, odwrót”. Ale jego piękne brązowe oczy zachęcają, żebym mówiła dalej. – Rodzice stwierdzili, że nie potrafię się zaadaptować kulturowo, więc skończyłam w szkole dla dziewcząt w Great Malvern, w hrabstwie Worcester. Sześć lat angielskiej pogody,

ohydneho angielskiego zarcia, dziewczyn z Singapuru, o ironio, i masy sprawiających problemy córek międzynarodowych bogaczy. Jak na przykład ja. – Ale szczuplejszych, ładniejszych i bardziej wyszczekanych. – Powinam była się wtopić, ale... Tak naprawdę nie cierpiałam tej szkoły.

Na Toddzie nie robi to wrażenia.

– Twoi rodzice wiedzieli, że byłaś tam nieszczęśliwa?

Wzruszam ramionami.

– Zorientowałam się szybko, że jak sobie pościelę, tak się wyśpię. Tata dostał awans do Brunei, mama została w Singapurze, Freya poleciała do Sydney – to było jeszcze w czasach sprzed e-maili, więc wszyscy musieliśmy... radzić sobie w życiu dosyć niezależnie. Spotykaliśmy się na rodzinnych zjazdach w wakacje i na święta, ale o ile mama i Freya były jak papużki nierozłączki, o tyle ja... chciałabym powiedzieć, że byłam w rodzinie czarną owcą, ale czarne owce mają przynajmniej w sobie jakąś moc. Todd, naprawdę chcesz słuchać, jak ci tak jęczę?

– Wcale nie jęczysz. Było ci ciężko.

Biorę łyk kocich szczyn.

– Wcale nie, ciężko to jest zakażonej wirusem HIV sierocie albo każdemu mieszkańcowi Korei Północnej, albo służącej którejkolwiek z żon Shell Oil. Powinam być bardziej wdzięczna losowi, a nie jestem.

– A kto jest? – podsumowuje Todd, a ja już chcę powiedzieć: „Założę się, że ty”, ale w tym momencie czarnoskóry chłopak z włosami ufarbowanymi na biało otwiera drzwiczki piekarnika, tuż obok którego stoimy.

– Przepraszam, przepraszam, chłopcy i dziewczęta. – Wysuwa blachę z pieczywem czosnkowym i podsuwa nam, żebyśmy się częstowali. – No bierzcie, bierzcie, przecież wiem, że macie ochotę.

Nie mam pojęcia, czy mówi z prawdziwym londyńskim akcentem, czy jego cockney jest tylko udawany, ale pieczywo czosnkowe pachnie autentycznie obłądnie. Waham się. Todd mówi:

– Wezmę, jeśli i ty weźmiesz kawałek.

\* \* \*

– No więc tak naprawdę – mówi mi Todd, kiedy jemy już po trzeciej kromce – moja mama jest niewidoma. – Właściwie ja jem już czwartą kromkę.

Zamieram na jego słowa.

– Todd.

– Hej, to nie aż takie straszne. Ludziom dzieją się gorsze rzeczy.

– Ale to nie jest też niestraszne. Dlatego mieszkasz z rodzicami?

– Taak. Dostałem się na uniwersytet w Edynburgu i rodzice mówili: „Jedź, synu, jedź, pewnie, to twoje życie”, ale ojciec jednak się starzeje, ja jestem jedynakiem, więc zostałem. Nie żałuję. Mam własne mieszkanie nad garażem, urządzone z wszelkimi wygodami umożliwiającymi... – Todd uświadamia sobie, że jeżeli powie „przyjmowanie dziewczyn”, będzie wyglądało, jakby mnie wyrwał – dającymi...

– Osobistą przestrzeń i niezależność? – podpowiadam, możliwie jak najbardziej elegancko ocierając tłuszcz, który skapnął mi na brodę.

– Właśnie. Mam osobistą przestrzeń i niezależność. Mogę używać tego określenia?

– Tylko przy mnie – ośmielam się zaznaczyć. I usiłuję się nie gapić, kiedy Todd szeroko się uśmiecha i zlizuje masło czosnkowe z palców. – Jeśli to nie jest zbyt osobista sprawa, Todd, mogę zapytać, czy twoja mama jest niewidoma od urodzenia, czy straciła wzrok dopiero później?

– Później. Chorobę oczu wykryli u niej, kiedy miała jedenaście lat. Retinopatię barwnikową. W ciągu niecałego roku z dziesięciu procent utraty wzroku poleciało jej gwałtownie do dziewięćdziesięciu. To był trudny okres. Dzisiaj może stwierdzić, czy jest noc, czy dzień, i to mniej więcej tyle. Ale i tak mamy szczęście. Bywa, że powikłaniami retinopatii są głuchota i chroniczne zmęczenie, ale mama na kilometr słyszy, jak przeklinam. No i pracuje, przepisuje audiobooki na Braille’a. Przepisała tę powieść Crispina Hersheya, *Suszone embriony*.

– Super – mówię, ale nie dodaję, że według mnie książka była zdecydowanie przereklamowana. Wyobrażam sobie Todda z rodzicami w kuchni, rozmawiających o życiu. Kolano Todda prawie dotyka mojego. Gdybym była bardziej pijana, albo gdybym była Fern czy Freya, położyłabym na jego kolanie rękę i powiedziała: „Pocałuj mnie, idioto, nie widzisz, że tego chcesz?“, a moje słowa brzmiałyby z wielką klasą. Ale gdybym naprawdę tak powiedziała, wyszłabym na pijaną, grubą, żalosną, niedorzętną desperatkę – takiego damskiego Lance’a – a nie mogę, nie będę, nie wolno, nigdy. – Super.

– Polubiłabyś się z moją mamą. – Todd wstaje. – Naprawdę.

Czy to zaproszenie?

– Bardzo bym chciała ją poznać, Todd – mówię, umieszczając „chciała” i „Todd” w tym samym zdaniu. – Boże, naprawdę byłoby wspaniale.

– No to zaraz załatwimy, że ją poznasz. Poszukam teraz łazienki, a ty obiecaj, że nigdzie się stąd nie ruszysz.

– Obiecuję. Przysięgam. – Patrzę, jak znika wśród tłumu ciał.

Todd Cosgrove. Dobre imię i nazwisko dla czyjegoś chłopaka. „Todd” jest w zasadzie bezklasowe, a „Cosgrove” balansuje na granicy wyższych sfer. Przyjemna równowaga. „Sally Timms” brzmi jak jakaś słaba organizatorka imprez, ale „Sal Cosgrove”

może już być wschodzącą gwiazdą BBC, albo projektantką wnętrza dla gwiazd, albo legendarną wydawczynią książek. Sal Cosgrove nie jest też gruba. Nigdy w życiu nie pożarła największego opakowania M&M's-ów i nie wymiotowała go potem w toalecie. Owszem, ktoś mógłby powiedzieć, że tak naprawdę z Toddem rozmawiam dopiero pół godziny, ale każda miłość po grób trwała kiedyś zaledwie pół godziny.

Za moimi plecami Darth Vader obgaduje swojego wykładowcę socjologii z chudym jak patyk Niesamowitym Hulkiem, a przede mną kosa Kostuchy przewraca się na podłogę, kiedy Kostucha obłapia czarnego anioła z pogniecionymi skrzydłami. Otwieram swoją torebkę i wyjmuję zamknięte lusterko Tiffany'ego – prezent od Frei w ramach przeprosin za to, że była zbyt zajęta, żeby pobyć ze mną w sierpniu w Nowym Jorku. Dziewczyna, którą widzę w lusterku, poprawia sobie szminkę. Z Toddem jako oficjalnym chłopakiem będę się trzymać diety, na śniadanie będę jeść tylko owoce i będę zjadać tylko połowę dotychczasowych porcji. Mamie i Frei opadnie szczęka, kiedy mnie zobaczą. Jezu, jakie to będzie fajne uczucie! To już postanowione, więc podchodzę do bufetu z jedzeniem. Popcorn, dużo chleba czosnkowego i dwie etażerki z porcelany Wedgewood, zastawione od góry do dołu pokrojonymi na kwadraty brownie. Na jednej etażerce w ciastko na samym szczycie stosu wetknięta jest malutka chorągiewka z napisem „BROWNIE Z HASZEM”, a chorągiewka na drugiej etażerce głosi „BROWNIE BEZ HASZU”. Oprócz snickersa przed seminarium z Chaucera i oprócz tuby pringlesów, którą zjadłam w bibliotece, od lunchu nic nie miałam w ustach. Nie licząc tego pieczywa czosnkowego. No i spaliłam masę kalorii, idąc tu piechotą z The Fox and Hounds. Jedno małe brownie bez haszu nie zaszkodzi...

O rany, aż mam usta pełne śliny, takie są pyszne. Gorzka

czekolada, mleczna z orzechami laskowymi, czekolada z rumem i rodzynkami. Już mam zjeść drugi kawałek, kiedy wyrasta przede mną opalony blondyn o niebieskich oczach, z ciałem Action Mana i muskułami opiętymi czernią, i pyta dwudziestoczterokaratowym australijskim akcentem:

– Czy my czasem nie poznaliśmy się na koncercie Morrissey’a?

Raczej bym pamiętała.

– Obawiam się, że nie jestem tą, której szukasz.

– I tak mam całe życie. Ale poważnie, masz sobowtóra. Jestem Mike, Mike z Melbourne, nie mylić z Mikiem z Margate. Bardzo mi miło... I tu trzeba wstawić twoje imię.

Ściskamy sobie dłonie.

– Mam na imię Sal – przedstawiam się. – Chyba z Singapuru, jeśli w ogóle skądś. – Singapur jest bardziej egzotyczny od Malvern, dla tych, którzy nigdy tam nie mieszkali.

Mike z Melbourne podnosi tajemniczo brew.

– Singapour Sal<sup>2</sup>. Chyba raz wypilem takie trzy w jeden wieczór w cocktail-barze. Przyszłaś tu zupełnie sama, Sal?

Ze wszystkich chłopaków, którzy mnie podrywali na trzeźwo, a nie było ich zbyt wielu, Mike z Melbourne wyglądem wygrywa z pozostałymi o lata świetlne. Ale ja teraz mam Todda, więc uśmiecham się do Mike’a przepaszająco.

– Obawiam się, że nie.

Mike z Melbourne składa przede mną dworski ukłon.

– Farciarz z niego. Wesolego Halloween.

Odchodzi i mam cię głęboko w dupie, Isolde Delahunty ze Szkoły dla dziewcząt Great Malvern Beacon, ciebie i ten twój pluton faszystowskich Barbie, które obśmiewały każdy dodatkowy gram mojego ciała i przez osiem lat przeżywały mnie „Chruma”, jakby to była tylko przyjacielska ksywka, i które udawały świnki

---

2 Singapour Sling – koktajl na bazie ginu (przyp. tłum.).

„chrum, chrum, chrum!”, kiedy mijały mnie na schodach albo pod prysznicem po hokeju, a ja musiałam się uśmiechać, jakby to był tylko zabawny żart, ale wszystkie wiedziały, że wcale nie był, wiedziały, że mnie bolało, więc pieprz się teraz, Isolde Delahunty, i pieprzcie się wszystkie, gdziekolwiek jesteście dziś wieczorem, bo wygrałam, Chruma właśnie splawiła opalonego surfera, australijskiego półboga, który w tej chwili wraca do mnie, nadal uśmiechnięty, i wskazując na dwie etażerki brownie, mówi:

– À propos, Sal z Sinagpuru, jakiś dowcipniś mógł zamienić te chorągiewki.

Przestaję jeść.

– Ale to przecież naprawdę niebezpieczne.

– Wiesz, niektórzy są durni. Nie brakuje totalnych dekli.

\* \* \*

Na dole przy samych schodach jakaś dziewczyna w srebrnym kostiumie Blaszanego Drwala, najprawdopodobniej Hinduska, czyta w moich myślach:

– Do łazienki tędy, skręć w prawo, w górę i znajdziesz. Fajny masz lakier na paznokciach. Kobaltowy błękit?

Chcę jednocześnie powiedzieć „Tak” i „Dziękuję” i wychodzi mi „Tęki”. Zażenowana idę dalej wskazaną drogą aż do sali telewizyjnej, gdzie grupa chłopaków siedzi na kanapach i ogląda *Egzorcystę*, ale ja się do nich nie przysiadam. *Egzorcysta* leciał też na imprezie w Malvern, na której straciłam dziewictwo z chłopakiem imieniem Piers, byłym narzeczonym mojej ówczesnej najlepszej przyjaciółki. Niespecjalnie lubię wracać do tych wspomnień. Isolde Delhaunty opowiedziała oczywiście całej szkole o Dziewiczej Nocy Chrummy i rozgłosiła, co Piers powiedział o mnie post factum. Teraz stoję w wypełnionym błękitną poświatą korytarzu, w którym dudni „Hyperballad” Björk. Mijam



parę wysokich drzwi i widzę przez nie ze trzydzieści osób tańczących w jakiejś takiej jakby dawnej sali balowej, w której palą się ciemne pomarańczowe lampki. Niektórzy z tańczących zdjęli górne połowy kostiumów, inni są tylko w podkoszulkach albo w kamizelkach. Widzę Lance'a, który w tańcu przesuwając dłoń po własnym tułowi i szyi. Odrzuca w tył łupieżowe kudły, dostrzega mnie w drzwiach i zaprasza do środka, kiwając na mnie palcem: „Chodź tu”, jak jakiś bóg seksu. Aż chce mi się rzygać, kiedy na niego patrzę, więc szybko idę dalej. Mijam chłodny korytarz, potem parę schodów w górę, parę w dół, aż w końcu znajduję dużą niszę z oknem, które wychodzi na coś, co chyba jest frontową stroną Slade House, i chyba widzę dwa wielkie filary przy bramie. Ale latarnie uliczne, zarysy drzew i wszystkie kontury są rozmazane we mgle oglądanej przez zaparowane okno i jeśli mam być szczerą, wszelką orientację przestrzenną zostawiłam w kuchni. „Hyperballad” przeszła już w „Safe from Harm” Massive Attack. Słyszę, że woła mnie Fern. Leży we wdzięcznej pozie na gigantycznej sofie we wnęce, ze swoim francuskim papierosem w jednej dłoni i kieliszkiem w drugiej, jakby pozowała do sesji zdjęciowej.

– Halo! Podoba ci się impreza?

– Tak, raczej tak. Widziałaś Todda?

– Widziałam, że zwariował na twoim punkcie.

Tak bardzo, tak straszliwie bardzo chcę tego słuchać, że dosiadam się do niej, tylko na chwilkę. Skórzana sofa jest zimna. Zapadam się w nią głęboko. Skóra kanapy wydaje ten skrzypiący dźwięk, jak świeży śnieg albo jak styropian. Trzeba by wynaleźć na ten dźwięk jakieś odpowiednie słowo.

– Tak myślisz?

– No pewnie, Sal! Nie dla paranormalnych zjawisk Todd dziś zjawił się na spotkaniu. Kiedy wreszcie zaczniecie być oficjalnie

parą? Dzisiaj?

Zachowuję pozorną obojętność, ale wewnątrz czuję nagły wybuch szczęścia, jakiego nie czułam od... Właściwie nigdy nie czułam się tak szczęśliwa.

– To zależy. Takich spraw... lepiej nie pośpieszać.

– E tam, pieprzenie. – Papieros Fern syczy wrzucony do jej kieliszka. – To ty decydujesz o tempie, w jakim sprawy się toczą. Todd jest super, dobry materiał na chłopaka. Naprawdę super gość. Przypomina mi mojego brata.

Fern nigdy nie wspominała o żadnym bracie, ale raczej w ogóle niezbyt dużo rozmawialiśmy.

– Twój brat jest studentem czy aktorem, czy...?

– Nie jest już nikim. Nie żyje.

– O Boże! Słynę ze spektakularnych gaf, przepraszam, Fern...

– W porządku. Nic się nie stało. To historia sprzed, mmm... pięciu lat. Już dawno temu to było. – Fern wpatruje się w zwłoki papierosa pływające w drinku.

Usiłuję jakoś zatrzeć gafę.

– Zginął w wypadku? Chorował?

– Popełnił samobójstwo. Jonny zjechał samochodem ze skały nad brzegiem morza.

– O kurczę. Tak mi przykro. Dlaczego... to znaczy, nie, nie, sorry...

– Nie zostawił żadnego listu, ale skała, z której zjechał, była zaledwie o jedno pole od drogi do Tredavoe, naszego dziedzicznego majątku niedaleko Truro. – Fern krzywi się w uśmiechu. – Na swój sarkofag wybrał oldstera taty, alfę romeo. I ten wybór był sam w sobie listem pożegnalnym, można by rzec.

– Nie chciałam być wścibska, Fern, przepraszam, idiotka ze mnie...

– Przestań przepraszać! To Jonny był idiotą. No dobrze, jestem

niesprawiedliwa. Dwa lata wcześniej zmarł tata, mama się kompletnie rozpadła, więc Jonny musiał zajmować się sprawami prawnymi, podatkiem spadkowym, przy tym robił dyplom, w Cambridge oczywiście, i do tego zmagał się z własną depresją, o czym nie mieliśmy pojęcia... Ale miał naprawdę idiotyczne wyobrażenie o tym, czym jest honorowy dług w pokerze, idiotyczne w stopniu skończonym. Mogliśmy przecież sprzedać akr czy dwa.

Przyglądamy się zamglonemu wieczorowi przez zamglone okno.

– Właśnie dlatego wstąpiłam do Towarzystwa Paranormalnych, jeśli mam być szczerą – wyznaje Fern. – Gdybym choć raz mogła zobaczyć ducha, tylko jeden jedyny raz, jakiegoś rzymskiego centuriona albo jeźdźca bez głowy, albo... albo Nathana i Ritę Bishopów, naprawdę bym nie wybrzydzała... Chociaż jednego ducha, żebyśmy wiedziała, że śmierć nie oznacza „Game Over”, że to tylko drzwi. Drzwi, za którymi jest gdzieś Jonny. Jezu, Sally, dałabym wszystko, dosłownie wszystko, żeby tylko wiedzieć, że wtedy, tego beznadziejnego dnia, on nie przestał po prostu być... Dałabym wszystko. Poważnie. O – Fern pstryka palcami – tak.

\* \* \*

Odklejam twarz od wielkiej zimnej skórzanej kanapy w ciemnej wnęce. Ciągłe leci „Safe from Harm”, więc nie mogłam spać długo. Fern zniknęła, ale obok mnie siedzi jakiś facet, ma na sobie puszysty brązowy szlafrok i niewiele więcej, bo widzę jego owłosione nogi i klatkę. Okej. Nie obcina mnie wzrokiem. Właściwie to siedzi, wpatrując się w pustą ścianę – byłam przekonana, że na wprost jest nisza z oknem, ale najwyraźniej jej nie ma. Facet w szlafroku nie jest wcale stary, ale już łysieje. Ma niewyspane sobie oczy i brwi, które zrastają się w jedną. Czy ja go znam? Nie wiem, skąd niby? To dziwne, że Fern tak po prostu

zniknęła zaraz po dość szczerzej rozmowie o jej bracie, ale takie są właśnie aktorki. Może wkurzyła się, że przysnęłam. Powinnam ją odnaleźć i przeprosić. Biedna jest. I biedny ten jej brat. Ludzie to maski, z maskami pod tymi maskami, a pod nimi noszą jeszcze następne. I nie ma zmiłuj. Todd musi być już z powrotem w kuchni, ale kanapa nie daje mi wstać.

– Przepraszam – zwracam się do Pana Szlafroka – czy wie pan, którądy stąd do kuchni?

Pan Szlafrok zachowuje się, jakby mnie tam nie było.

– Dziękuję, tak zrobię – mówię.

Mars na jego czole rośnie, a wtedy, w zwolnionym tempie, mężczyzna otwiera usta. Czy to ma być śmieszne? Jego głos brzmi, jakby był zakurzony, i kiedy facet mówi, robi duże przerwy między słowami:

– Czy... ciągle... jestem... w tym... domu?

Jezu, jest upalony jak szpak.

– No, mogę zapewnić, że nie jesteśmy na Trafalgar Square.

Mijają kolejne sekundy. Mężczyzna nadal zwraca się do pustej ściany. To strasznie dziwne.

– Oni... zab... rali... mi... imię...

– Na pewno pan je znajdzie jutro rano – pocieszam go.

Mężczyzna patrzy w moją stronę, ale nie na mnie, jakby nie był w stanie zlokalizować źródła moich słów.

– Na... wet... nie... poz... wo... łą... po... rząd... nie... um... rzecz...

Jak dotąd – pieśń szaleńca.

– Cokolwiek pan wypalił, na pana miejscu już bym raczej tego nie ruszała. Serio.

Mężczyzna przechyla ogoloną głowę i patrzy z ukosa, jakby słyszał słowa wykrzykiwane z bardzo daleka.

– Czy... ty... jes... teś... nas... tęp...

Wybucham chichotem, nie potrafię się powstrzymać.

– Następczynią tronu?

Kanapa wibruje przy potężnym basie w „Safe from Harm”.

– Niech pan się napije porządnej mocnej kawy – mówię Panu Szlafrokowi.

On się krzywi z bólu, jakby moje słowa były jak kamienie, którymi dostaje w twarz. Teraz jest mi przykro, że się z niego śmiałam. Mężczyzna wpatruje się w dal swoimi przekrwionymi oczami, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

– Gościem – mówi i mruga tępo jak ktoś z alzheimerem.

Czekam, że powie coś więcej, ale on milczy.

– Czy jestem następnym gościem? O to pan pyta? O następnego gościa?

Kiedy mężczyzna odzywa się znowu, wykonuje absolutnie niewiarygodną sztuczkę bruchomówcy – jego usta ruszają się o sekundę czy dwie wcześniej, niż go słyszę.

– Zna... laz... łem... broń... w od... stę... pach...

Ta jego sztuczka z opóźnionym dźwiękiem jest niesamowita, ale na wzmiankę o broni zapala się we mnie lampka ostrzegawcza.

– W porządku, tylko że ja nie potrzebuję żadnej broni, więc...

Ale on z kieszeni szlafroka wyciąga krótki srebrny szpikulec, długi na jakieś sześć cali. Odruchowo niemal się cofam, na wypadek gdyby chciał mi nim grozić, ale nie, on podaje mi go jak prezent. Ten nieostrzy koniec jest ozdobiony pyskiem lisa, srebrnym, małym, ale masywnym, z jadeitowymi ślepiami.

– Śliczne – mówię, obracając szpikulec w palcach. – Wygląda na jakiś antyk. Czy to spinka do włosów jakiejś gejszy, czy coś?

\* \* \*

Jestem sama na zimnej skórzanej sofie. W korytarzu nie ma nikogo. Nigdzie nie ma nikogo. Czuję, że Pan Szlafrok już dawno zniknął, ale nadal trzymam jego spinkę z lisim pyskiem. Boże,

znowu odjechałam. Niedobrze. „Safe from Harm” zmieniło się w „Little Fluffy Clouds” The Orb. Myślałam, że tu była pusta ściana, ale okazuje się, że są w niej małe czarne żelazne drzwi, dokładnie takie, jak te na Slade Alley, tylko że te są już uchylone. Podchodzę do nich, kucam, pcham, żeby otworzyć je szerzej, i zaglądam na drugą stronę, wysuwając zza nich głowę. Widzę alejkę. Wygląda jak Slade Alley, ale to nie może być Slade Alley, bo nie może. Moje kolana nadal klęczą na wykładzinie, w Slade House. Jest ciemno, ściany są bardzo wysokie i nie ma nikogo. Grobowa cisza, jak to się mówi. Na zewnątrz nie słychać żadnych „Little Fluffy Clouds”, jakby moja głowa przeszła przez dźwiękoszczelną membranę. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów z mojej lewej strony alejka skręca w lewo pod drgającym światłem latarni. Z mojej prawej strony, na oko w takiej samej odległości, widzę drugą latarnię i drugi róg. To nie może być Slade Alley. Jestem w korytarzu w domu, pięćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto metrów od uliczki – nie potrafię dobrze oceniać odległości. Czyli... narkotyki? Narkotyki... Jeśli jakiś pajac dodał haszu do brownie bez haszu, to kolejny pojeb do potęgi dziesiątej mógł dosypać czegoś znacznie mocniejszego do misy z ponczem. Tak czasem bywa. Dwaj studenci, których Freya poznała w Sydney, polecili do Indonezji, zjedli jakieś mięso w sosie i byli przekonani, że mogą dopłynąć wpław z powrotem do Australii, na Bondi Beach. Jednego wyratowali, drugiego nie. Ale co trzeba zrobić, jeśli na tripie kwasowym znalazło się alejkę, która nie ma prawa istnieć? Pójść nią na spacer? Może i tak. Zobaczę, czy da się nią dojść do Westwood Road. Ale co z Toddem, który czeka na mnie cały czas w kuchni i zastanawia się, gdzie jestem. Nie. Raczej wróć. Albo...

Albo...

A jeśli to Slade House jest halucynacją, a te drzwi stanowią dla

mnie drogę powrotną? Jeśli królicza nora, która jest za nimi, prowadzi nie do Krainy Czarów, tylko do domu? A jeśli...

Ktoś dotyka moich pleców, więc gwałtownie się cofam do korytarza w Slade House, do muzyki, do imprezy, i serce podchodzi mi do gardła, kiedy widzę przed sobą Złą Czarownicę z Zachodu, która przygląda mi się z góry.

– Hej, Sally Timms.

Serce wali mi jak młotem. Nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa.

– Wszystko w porządku? Wygodnie ci tak klęczeć? Coś zgubiłaś?

– Hej... – szukam w pamięci imienia – Kate.

– Dobrze się czujesz? Coś ci zginęło?

– Nie, nie, byłam tylko ciekawa, dokąd prowadzą te drzwi.

Czarownica wygląda na lekko zdziwioną.

– Które drzwi?

– Te. – I pokazuję Kate Childs... pustą ścianę. Pustą ścianę bez drzwi. Dotykam jej. Mur bez żadnego otworu. Podnoszę się z podłogi, zastanawiając się, jak mam z tego wybrnąć i usiłując zyskać na czasie. Moje myśli krążą w kółko. Tak, mam halucynacje. Tak, zjadłam albo wypłam coś z jakimś narkotykiem. Nie, nie dam rady powiedzieć Kate, że ktoś mnie otumaniał dragami. – Posłuchaj, będę się już zbierała do domu.

– Ale jeszcze wcześniej, Sally.

– Przepraszam, rozboliła mnie głowa. Zaczął mi się okres.

Kate zdejmuje pokrytą brodawkami maskę Złej Czarownicy i widzę zaniepokojoną życzliwą twarz okoloną blond włosami Barbie.

– Wezwę ci taksówkę, Sally, urodziłam się z autentyczną magiczną mocą. Wystarczy, że pstryknę palcami. – Zaczyna oklepywać się wzdłuż ciała, jak podczas kontroli na lotnisku. – Akurat w jednej z kieszeni więdźmy mam wyjątkowo poręczny

najnowocześniejszy telefon komórkowy.

Taksówka byłaby super, ale mam tylko dwa funty.

– Pójdę piechotą.

Kate robi powątpiewającą minę.

– To na pewno dobry pomysł, skoro źle się czujesz?

– Na pewno, dzięki. Świeże powietrze dobrze mi zrobi.

Czarownica bez maski nie jest chyba przekonana.

– Może poproś Todda Cosgrove'a, żeby cię dostarczył do domu cało i zdrowo? To jeden z ostatnich dzentelmenów w tym kraju.

Nie wiedziałam, że Kate zna Todda.

– Tak naprawdę to właśnie go szukałam.

– On szuka ciebie. Na piętrze, w świetlicy.

Mam takie poczucie, jakby dzisiejszy wieczór był zaprojektowany przez tandem uwalonego M.C. Eschera i Stephena Kinga z wysoką gorączką.

– A którąś do świetlicy?

– Najszybciej będzie z powrotem przez salkę telewizyjną, korytarzem, i w górę po schodach. Na pewno trafisz.

\* \* \*

Wszyscy są przyklejeni do ekranu, jak w chwilach, kiedy wydarza się coś poważnego. Pytam na wpół przemienionego wilkołaka, co się stało.

– Porwano jakąś dziewczynę. – Wilkołak ma akcent z północnej Anglii. Nie patrzy na mnie. – Jakąś studentkę z naszego uniwersytetu.

– Jezu. Porwano?

– Tak, tak mówią.

– Jak miała na imię?

– Polly, albo Sarah, albo... – Wilkołak jest pijany. – Annie? Nie ma jej dopiero od pięciu dni, ale znaleziono jakąś rzecz, która do



niej należała, więc policja obawia się, że to prawdziwe porwanie. Albo jeszcze gorzej.

– A co takiego znaleźli?

– Lusterko – mamrocze wilkołak. – Zaczekaj, patrz...

W telewizji pokazują budynek naszego zrzeszenia studentów, przed którym jakaś reporterka trzyma duży różowy mikrofon.

– Dziękuję, Bob. A tutaj, na terenie miejskiego kampusu, dziś wieczorem panuje nastrój przygnębienia i powagi. Wcześniej dzisiejszego dnia policja zaapelowała o wszelkie informacje dotyczące miejsca pobytu Sally Timms, osiemnastoletniej studentki, którą ostatnio widziano w okolicy Westwood Road w sobotni wieczór... – Słowa reporterki stają się nagle gęste jak breja.

Zaginiona? Pięć dni? Od soboty? Przecież ciągle jest sobota! Byłam w Slade House nie dłużej niż godzinę. Pewnie chodzi o jakąś inną Sally Timms. Ale fotografia mojej twarzy wypełnia ekran i to o mnie chodzi, a Sally Timms na ekranie ma na sobie dokładnie, DOKŁADNIE to, co ja w tej chwili: moją kurtkę Zizzi Hikaru i maoryski jadeitowy wisiołek, który przyszedł dziś pocztą. I którego odbiór pokwitowałam w portierni zaledwie dwanaście godzin temu. Kto mi zrobił to zdjęcie? Kiedy? Jak? Reporterka podtyka wielki różowy mikrofon pod nos Lance'owi, Lance'owi Arnottowi, który przecież właśnie w tej chwili tańczy na parkiecie w Slade House – równocześnie rozmawiając z reporterką dwie mile stąd, i który mówi: „Tak, tak, widziałem ją na imprezie tuż zanim zniknęła i...”. Rybie usta Lance'a nadal się poruszają, ale ja już nic nie słyszę. Powinnam w tej chwili zapalać światło i krzyżeć: „NIE NIE NIE, ludzie, spójrzcie, zaszła jakaś idiotyczna pomyłka – to ja jestem Sally Timms, jestem tutaj, wszystko w porządku!”, ale boję się tego całego zamieszania, tego wstydu, że jestem w centrum wydarzeń, że mówią o mnie w wiadomościach,

więc siedzę cicho. W tym czasie Lance Arnott w telewizji robi minę pełną powątpiewania:

– Obawiam się, że tak. Miała poważne kłopoty z odnalezieniem się na studiach. Była w pewnym sensie postacią tragiczną. Bardzo wrażliwą osobą. Nie miała w sobie, jakby to ująć... życiowego sprytu i zaradności. Krążyły plotki, że zażywała narkotyki, że miała jakichś podejrzanych chłopaków i różne inne.

Teraz jestem zła, zła, ale i przestraszona, a w głowie mam wielki chaos. Jak Lance śmie opowiadać o mnie takie rzeczy na żywo w telewizji? Za to, że mi się nie podobał, zrobił teraz ze mnie „tragiczną, wrażliwą narkomankę”? Reporterka odwraca się do kamery.

– Wyłania się zatem dość klarowny obraz zaginionej studentki jako nieszczęśliwej, samotnej, walczącej z nadwagą dziewczyny, która miała problemy z dostosowaniem się do prawdziwego życia po latach spędzonych w prywatnych szkołach w Singapurze i Great Malvern. Po znalezieniu dziś jej lusterka na, mmm... – reporterka przerzuca notatki – na Slade Alley, przyjaciele i rodzina Sally Timms, choć nie tracą nadziei na szczęśliwe zakończenie sprawy, wraz z upływem kolejnych godzin muszą obawiać się najgorszego. Na żywo, dla South Today, Jessica Killingley.

Bóg jeden wie, co Freya, mama i tata muszą teraz myśleć.

Właściwie to wiem, co myślą – myślą, że mnie zamordowano. Muszą się natychmiast dowiedzieć, że jestem cała i zdrowa, a policja musi odwołać poszukiwania, ale ja nie mogę teraz tak po prostu tego tutaj ogłosić. Cofam się od wilkołaka i wpadam na kredens. Moja dłoń dotyka czegoś gumowego: maski Miss Piggy. Przez Isolde Delahunty i spótkę mam złe skojarzenia ze świniami, ale jeśli nie założę tej maski, lada moment ktoś mnie zobaczy, pokaże palcem i zacznie krzyczeć, więc zarzucam przyczepiony do

gumy sznurek na szyję i zakrywam maską twarz. Dobrze. Mogę spokojniej odetchnąć. Co ta reporterka mówiła o moim lusterku? Użyłam go w kuchni, zaraz po tym, jak odszedł Todd. Prawda? Sprawdzam w torebce...

...Nie ma. Normalnie wróciłabym tam, tak jak przyszłam, i wytropiłabym zgubę, ale ja chcę się wydostać ze Slade House nawet bardziej niż odzyskać prezent od Frei. Ona mnie zrozumie. Będzie musiała. Todd będzie wiedział, co robić. Todd nigdy nie traci zimnej krwi. Wymkniemy się stąd i jakoś załatwimy wszystko co trzeba. On i ja.

\* \* \*

U dołu schodów najprawdopodobniej Hinduska w srebrnym kostiumie Blaszanego Drwala pyta:

– Słyszałaś o Sally Timms, o tej zaginionej dziewczynie?

– Tak, słyszałam. – Usiłuję ją wyminąć, ale ona blokuje mi przejście.

– Dobrze znałaś tę Sally? – pyta Blaszana Drwalica.

– Nie bardzo – odpowiadam i przemykam koło niej schodami w górę.

Balustrada ślizga się pod czubkami moich palców, a gwar z korytarza powoli cichnie, jakbym wspinała się w coraz gęstszą mgłę i ciszę. Chodnik na schodach jest biały jak śnieg, ściany są wyłożone drewnem i wiszą na nich portrety, a wyżej widać małe kwadratowe półpiętro, którego strzeże stary zegar. Biały chodnik i stary zegar aż się proszą o kłopoty w domu zamieszkanym przez studentów, nieważne, że na stypendiach Erasmusa. Pierwszy obraz przedstawia piegowatą dziewczynę, która wygląda naprawdę jak żywa. Następny wisi portret starego żołnierza z nawoskowanym wąsem, takiego, co na pewno mówił: „tajest, domnie, ognia”. Dostaję zadyszki. Ale przecież dopiero weszłam na te schody.

Muszę się zapisać na siłownię. W końcu docieram do zegara. Na jego tarczy nie ma wskazówek, widzę tylko słowa: CZAS JEST, CZAS BYŁ, CZASU NIE MA. Wysoce metafizyczne, głęboko nieprzydatne. Z lewej strony są drzwi, też obite drewnem, jak ściany. Z prawej dalej biegną schody, obok kolejnych portretów, aż do jasnych drzwi. Czy to jest ta świetlica? Pukam do obitych drewnem drzwi.

Słyszę tylko zardzewiałe, naoliwione serce zegara.

Pukam znowu, ale głośniej. Nic...

...tylko rytmiczne chrząkanie trybików.

No to przekręć gałkę w drzwiach. Otwórz je. Uchyl na cal. Zajrzyj do środka.

\* \* \*

Pokój ma kształt igloo, oświetla go lampka nocna, nie ma tu okien ani dywanu, jest za to wielkie łoże z baldachimem i niewiele więcej. Brązowe zasłony wokół łóżka są zaciągnięte. Mechaniczne zgrzyty ucichły, wołam więc cicho:

– Todd? – na wypadek, gdyby leżał w tym łóżku. – Todd? To ja, Sal.

Nikt nie odpowiada, ale jeśli Todd zjadł brownie z haszem – czy też właściwie „Brownie bez Haszu” – może teraz spać. Śpi sobie słodko jak Złotowłosa, może na tym łóżku.

Zajrzę tylko za te zasłony. Przecież nic się nie stanie.

I tak nikt mnie nie rozpozna w masce Miss Piggy.

Podchodzę więc, cicho szurając po drewnianej podłodze, i odsuwam fałdę aksamitnej zasłony. Tylko na cal.

– Miss Piggy! – wykrzykuje jakiś facet – Axel? – zlany potem, od którego całe jego ciało błyszczy w tym kokonie ze światła barwy krwi, i ja też nie potrafię do końca stłumić krzyku.

Całe łóżko zajmuje groteskowa konstrukcja nagich kończyn,

torsów, piersi, pachwin, ramion, stóp, pośladków, sromów i moszn. Niemożliwa do narysowania struktura kostna, krosno z mięsa, gra w Twistera z kilkoma syjamskimi ciałami, rozerwanymi i sprasowanymi razem, tutaj głowa Angeliki z jej matowymi niebieskimi włosami, widzę też jej przebity ćwiekiem język, tam głowa Axla, a w samym środku widzę ich pneumatyczne organy płciowe, nabrzmiące i ogromne, i purpurowe od tarcia, jak z jakiegoś porno-koszmaru Francisca Bacona. Smród zepsutej ryby przyprawia o mdłości, a głowa Axla szczyrzy się do mnie przez rozcięcie w zasłonie, przez otwór na oko w mojej masce Miss Piggy, i przemawia, ale słowa wydobywają się z ust Axla głosem Angeliki:

– Czy – Chru – ma – ma – o – cho – tę – pod – grzać – so – bie – be – kon?

A głowa Angeliki, połączona z flakowatym udem, z przegubami dłoni w miejscu uszu, burczy na to:

– Nie – bądź – złoś – li – wy – Sal – ly – nie – cier – pi – kie – dy – ktoś – tak – do – niej – mó – wi.

Drobnymi kroczkami uciekam do obitych drewnem drzwi i zatraskuję je za sobą, dygocząc z obrzydzenia, pełna wątpliwości, roztrzęsiona... Stary zegar stoi spokojny i niewzruszony. Daleko, daleko w dole, w wyłożonym czarno-białymi płytkami holu też panuje spokój. Na górze czekają jasne drzwi. To zły trip po kwasie. Słyszałam o takich tripach. Piers, mój pierwszy nie-chłopak raz taki złapał i było podobnie. Axel i Angelica uprawiali seks, ale ja widziałam to przez kalejdoskopowe okulary z narkotykowym filtrem. Muszę odnaleźć Todda, żeby mnie pilnował. Wchodzę po schodach, mijając dwa portrety. Na jednym jest chłopak w typie rockabilly z przyznanymi pomadą włosami, w koszuli rozpiętej do połowy. Kolejny przedstawia kobietę z grubymi kreskami wokół oczu jak u Kleopatry i z wielkim tapirem na głowie w stylu Marthy

and the Vandellas. Ale przy następnym portrecie staję jak wryta. Widzę na nim chłopca w szkolnym mundurku, a już raz go dzisiaj widziałam. Z kieszeni kurtki wyjmuję kartkę A4 od Axla i porównuję z obrazem. To Nathan Bishop. Nogi prowadzą mnie w górę do kolejnego portretu. Widzę na nim Pana Szlafroka, poznanego wcześniej. Z kartki Axla wiem, jak się nazywa: Gordon Edmonds. Z którym rozmawiałam na zimnej kanapie, zaledwie chwilę temu. Czy może mi się przyśniło, że z nim rozmawiałam? Nie wiem, co jest prawdą. I nie wiem nawet, czy aż tak bardzo wielki szok wywołuje we mnie Sally Timms, która patrzy na mnie z ostatniego portretu, w kurtce Zizzi Hikaru, z maoryskim wisiorkiem od Frei na szyi. Wygląda identycznie jak na zdjęciu, które pokazali w telewizji. Tylko że moje oczy są przerażającymi pustymi miejscami na skórze, a Sally Timms marszczy brwi, jakbym nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle nic nie widzę, i kiedy tak patrzę, jeden z jej palców wskazujących podnosi się, żeby zapukać w wewnętrzną stronę płótna... Na pół krztuszę się, na pół krzyczę, na pół się potykam, na pół przewracam na podest na samym szczycie schodów, a ratuje mnie własna dłoń, która gwałtownym ruchem chwyta lśniącą gałkę w jasnych drzwiach...

...a one otwierają się pod moim ciężarem i nagle widzę Todda, który stoi za nimi i patrzy na mnie jak rażony gromem i blady jak trup. Pytam:

– Todd?

On odskakuje, a ja zdaję sobie sprawę, że to przez moją maskę, więc ją zrywam z głowy i powtarzam jego imię, a Todd mówi:

– Sal, Sal, dzięki Bogu, że cię znalazłem.

I nagle się przytulamy. Todd jest kościsty i chudy, ale ma mięśnie jak ze stali, chociaż jego ciało jest chłodne, jakby właśnie wrócił do domu ze spaceru po wieczornym mrozie. Za nim widzę spadzisty strop ciemnego strychu. Todd odkleja się z naszego

uścisku i zamyka jasne drzwi.

– Coś złego się dzieje w tym domu, Sal. Musimy się stąd wydostać.

Oboje mówimy szeptem.

– Tak, wiem, ktoś dosypał nam coś do drinków. Ja widzę różne rzeczy, które... nie mają prawa istnieć, na przykład... – Od czego mam zacząć? – Todd, w telewizji mówili, że od pięciu dni jestem zaginiona. Zaginiona! To niemożliwe. I patrz. – Wskazuję na mój portret bez oczu, który teraz przestał się ruszać. – To ja, na tym obrazie, to ja. I mam na sobie to – podnoszę mój prawdziwy wisiołek, żeby Todd lepiej go widział – a dostałam to zaledwie dzisiaj rano. To jakiś obłąd.

Todd przełyka ślinę.

– Obawiam się, że to coś dużo gorszego niż trip po kwasie, Sal.

Widzę, że mówi poważnie. Przebiegam myślą ewentualne znaczenia jego słów.

– Czyli co teraz?

– Wstąpiliśmy do Towarzystwa Zjawisk Paranormalnych dla zjawisk paranormalnych. Oto one. I nie są przyjazne ani dobrotliwe. Będą usiłowały powstrzymać nas przed ucieczką.

Czuję, że skóra mnie parzy i mrozi.

– Kto będzie próbował nas powstrzymać?

Todd ogląda się w tył, na jasne drzwi.

– Nasi gospodarze. Bliźniacy. Przed chwilą... uspiłem ich, ale niedługo się obudzą. Wściekli i głodni.

– Bliźniacy? Jacy bliźniacy? Czego chcą?

Todd mówi cichym, równym głosem:

– Pożreć twoją duszę.

Czekam, aż powie, że to żart. Czekam. Czekam.

Todd trzyma mnie za łokcie.

– Slade House to machina do podtrzymywania ich przy życiu,

Sal, ale zasilana duszami, i to nie wszystko jedno jakimi. Jak z grupami krwi – typ, którego potrzebują, jest bardzo rzadki, a twoja dusza jest właśnie tego rzadkiego typu. Musimy cię stąd wydostać. I to w tej chwili. Zejdziemy na dół, wymkniemy się przez kuchnię, przejdziemy przez ogród i kiedy będziemy już na Slade Alley, chyba powinniśmy być bezpieczni. W każdym razie bezpieczniejsi.

Czuję oddech Todda na czole.

– Widziałam wielką bramę wychodzącą na Cranbury Avenue. I drugie małe czarne żelazne drzwi w korytarzu.

Todd kręci głową.

– To tapeta, żeby cię zmylić. Jedyne wyjście stąd prowadzi tą samą drogą, którą się tu dostaliśmy – przez Szczelinę.

– A co z Fern, Lance'em, Axlem, Angelicą?

W policzku Todda napręża się mięsień.

– Im nie potrafię pomóc.

– Jak to? Co się z nimi stanie?

Todd waha się.

– Ty jesteś soczystym mięszem owocu. Oni są włóknami, pestką i skórką. Zostali odrzuceni jako niepotrzebni.

– Ale... – wskazuję w dół schodów (czy nagle przybyło stopni?) na kwadratowy podest, gdzie drzwi do pokoju w kształcie igloo nagle zniknęły – widziałam Axla i Angelicę... tam... W pewnym sensie.

– Widziałas cielesne polaroidy 3D z Axlem i Angelicą, które nie wytrzymałyby uważnych oględzin z bliska. Posłuchaj. – Todd chwytą mnie za dłoń. – Posłuchaj bardzo uważnie. Kiedy będziemy stąd wychodzić, z nikim nie rozmawiaj, nikomu nie odpowiadaj, nikomu nie patrz w oczy. Nie przyjmuj niczego, nie jedz niczego, niczego nie pij. Ta wersja Slade House jest grą cieni, w którą tchnięto życie. Jeśli wejdziesz z nią w kontakt, bliźnięta cię wyczują. Obudzą się. Wyciągną z ciebie duszę. Zrozumiałaś?



Chyba. Tak. Nie.

– Kim ty jesteś?

– Kimś w rodzaju... ochroniarza. Wyjaśnię ci wszystko w domu u rodziców. Teraz musimy stąd iść, Sal, albo już nigdy się stąd nie wydostaniemy. Pamiętaj: ani pary z ust, wzrok spuszczone, nie puszczaj mojej dłoni. Oślonię nas najlepiej, jak zdołam. I załóż z powrotem tę maskę. Może dodatkowo ich zmyli.

\* \* \*

Todd trzyma moją rękę w swojej chłodnej dłoni, a ja skupiam całą uwagę na własnych butach, żeby uniknąć patrzenia na portrety. Czas upływa, stopnie schodów przemijają pod naszymi stopami, aż docieramy do starego zegara. Swoim *tink-tank* tyka we wszystkich muzycznych tempach naraz. Obitych drewnem drzwi do pokoju igloo już nie ma.

– Tu były drzwi – szepczę. – Tylko mi się przyśniły?

– To samo pytanie zadają sobie szczyry w labiryncie z ruchomych ścian – odpowiada cicho Todd.

Kiedy jesteśmy w połowie dolnej części schodów, w korytarzu zaczynają pojawiać się studenci, plotkując, żywo dyskutując, paląc, flirtując. Z każdym naszym krokiem w dół robi się coraz głośniejsze.

– Czyli go znalazłaś. – Blaszana Drwalica się uśmiecha, przyciskając czarną szklankę z drinkiem do srebrnego policzka. – Jestem Urvashi. A ty jak masz na imię?

Todd ściska mi dłoń, ostrzegając mnie, żebym nie odpowiadała. Czuję się, jakbym grała w „Nie mów tak, nie mów nie”. Tata grywał w to kiedyś ze mną i z Freją podczas podróży samochodem, ale tutaj nie wolno dać się podpuścić i powiedzieć choćby słowa. Blaszana Drwalica Urvashi przysuwa twarz bardzo blisko mojej:

– Hej, Miss Piggy! Odpowiedz, albo zostaniesz Miss Piggy już na zawsze! Hej!

Ale Todd ciągnie mnie dalej i Urvashi ginie w niewyraźnym tłumie twarzy, masek, ciał i za chwilę jesteśmy już z powrotem w kuchni. Z kolumn leci „Caught by the Fuzz” Supergrass. Todd prowadzi mnie przy ścianie i wszystko idzie dobrze, aż zaledwie o kilka cali mijamy Todda Cosgrove’a i Sally Timms siedzących obok siebie w kącie przy piekarniku z głośnym termoobiegiem. Zatrzymuję się. Fałszywy Todd pije indyjskie piwo z butelki, a Fałszywa Ja czerwone kocie szczyny z plastikowego kubka. Fałszywy Todd pyta:

– Siostra jest od ciebie starsza, jak się domyślam?

A Fałszywa Sally kiwa głową:

– Zgadujesz w ciemno? Czy naprawdę się domyślasz?

Słyszę Todda – Todda Prawdziwego – jak mówi w moim kanale słuchowym: „Idź dalej, Sal, to przynęta”. Ramieniem objął mnie w talii i pcha mnie do przodu, mijamy stół zastawiony butelkami, puszkami, misą z ponczem i dwiema etażerkami z porcelany Wedgewood pełnymi brownie. Przechodzimy pod łukiem drzwi do jakiegoś pomieszczenia gospodarczego, od drzwi wejściowych dzieli nas jeszcze kilkanaście osób, w tym wykopany z grobu trup, mumia z rozwijającym się bandażem, tuba pasty Colgate z czerwonym wiadrem w roli nakrętki i Lance Arnott, który blokuje mi drogę i wygląda jak zagubiona dusza na starym malowidle przedstawiającym piekło:

– Tu jest coś bardzo złego!

„To nie on” – mówi Todd wewnątrz mojego ucha, ale Lance chwytą mnie za kłapy kurtki i to jest on, czuję odór jego ciała, pachnie drożdżami.

– Proszę, Sal, wiem, że byłem fiutem, ale błagam, nie zostawiaj mnie. Błagam!

– Dobrze. Okej – odpowiadam szeptem. – Zabierzemy cię.

W jednej chwili z Lance’a spływa twarz, ukazując pod spodem

coś bardziej kościstego, wygłodniałego i szczerzącego kły. Usiłuję krzyknąć, ale mam całkowicie zaciśnięte gardło. Todd wchodzi pomiędzy nas i zaczyna kreślić jakieś znaki w powietrzu – przez ułamek sekundy niemal widzę żywe czarne linie, zanim znikają – a wtedy ten prawdziwy stwór, który nosi przebranie Lance’a Arnotta, znika w błyskach, pojawia się, znika... aż ginie na dobre.

Gwałtownie chwytam powietrze.

– Co to było?

*Wyłączyłem modem*, wyjaśnia Todd. Wyjaśnia telepatycznie, co uświadamiam sobie chwilę później. *Ale rodzeństwo się budzi*. W kuchni panuje cisza.

Serce wali mi jak młotem, a żyła w mojej szyi miarowo pulsuje. Niektórzy z imprezowiczów zwracają się w naszą stronę, wyczuwając, że jesteśmy tu obcy. *Zachowuj się normalnie*, nakazuje głos Todda, *nie pokazuj strachu*. Todd prowadzi mnie do tylnych drzwi. Zamkniętych na klucz. Usiłuję nie pokazywać po sobie strachu, ale go czuję. Strach jak wąż wślizguje się do mnie i oplata całe moje ciało, tuż pod skórą. Todd wykonuje palcami ruchy, jakby ciągnął jakąś nić, i drzwi się otwierają. Przepycha nas przez nie. *Zamknę je za nami*, mówi i odwraca się, żeby nakreślić jakiś symbol na drzwiach. Na zewnątrz jest ciemno.

Na drugim końcu ogrodu ledwo, ledwo odnajduję wzrokiem mur wzdłuż Slade Alley, za rzędem krzewów. Zjawia się Fern Penhaligon, wygląda na zachwyconą.

– Sał, zostawiłaś to na sofie, łap!

Rzuca mi lusterko Tiffany’ego, prezent od Frei, a ja je łapię...

\* \* \*

Czarne fajerwerki przecięły zygzakiem marmurowe niebo. Zygzaki tręcały struny harf, a ja unosiłam się na Morzu Martwym

i mogłabym tak zostać już na zawsze, ale fala bólu uniosła mnie wysoko, na wysokość iglic wież, a potem cisnęła mną w dół na kamienie u stóp Slade House. Tuż przed oczami widzę przerażoną twarz Todda.

– Sal! Słyszysz mnie? Sal!

Skóra pęka mi jak folia bąbelkowa, a ja wyduszam z siebie stłumione:

– Tak.

– Antyfona imploduje – możesz chodzić?

Zanim zdążę odpowiedzieć, Todd ciągnie mnie, podnosząc do pionu, nogi mam ciężkie i uginają się pode mną, a do tego następuję na coś, co trzaska, pęka mi pod butem – moje lustro Tiffany’ego – ale zataczając się, ruszamy dalej przez trawnik. Dochodzimy do treliazu z glicynią, gdzie dopada nas fala uderzeniowa i turla nami przez przyszczyżony trawnik pokryty maleńkimi listkami jak wachlarze. Chcę tam leżeć już zawsze, ale Todd znowu podciąga mnie w górę, żebym wstała, a Slade House w nocnym mroku migocze w promieniach odbitych czy załamanych – raz wydaje się wąski, raz szeroki. Wtedy widzę, że w tym migoczącym świetle ruszają w naszą stronę jakieś postaci. Idą szpalerami, zbite w grupy, spokojnym krokiem, jakby wiedziały, że nie muszą się śpieszyć. Ich sylwetki są niewyraźne, ale widzę twarz Axla; Angeliki; widzę wszystkich z mojego seminarium o Chaucerze; moich nauczycieli z Great Malvern; Isolde Delahunty i jej pluton Barbie; mamę, tatę, Freyę. Todd mnie ciągnie.

– Biegnij, Sal!

I próbujemy, Bóg jeden wie, że próbujemy biec, ale to jak bieganie w głębokiej wodzie. Kolce róż drapią mnie po oczach. Potykamy się na wierzgającej ścieżce. Gałęzie śliw wczepiają w nas pazury. Rząd krzewów rozdyma się i usiłuje opleść korzeniami

nasze kostki. Ale oto są już małe czarne żelazne drzwi. Zupełnie bezmyślnie oglądam się za siebie, czego nigdy nie powinno się robić w baśniach. Postaci migoczą coraz bliżej. Widzę Piersa, który powiedział, że w nocy z Chrumą czuł się tak, jakby się pieprzył z wyrzuconym na plażę wielkim zdechłym kaszalotem, tylko bardziej śmierdziało.

Todd mówi:

– Musisz otworzyć Szczelinę, Sal.

Ma na myśli małe czarne żelazne drzwi. Jak?

– Co mam robić?

– Otwórz je, jak przedtem! Ja nie potrafię.

Rozmazane postaci są już coraz bliżej.

Cała się trzęsę.

– A jak otworzyłam je przedtem?

– Nacisnęłaś na nie. Dłonią!

Naciskam więc na małe czarne żelazne drzwi –

– a one naciskają moją dłoń z równą siłą.

– Dlaczego nie działa?

– Jesteś zbyt przerażona, i to blokuje twój woltaż.

Oglądam się. Są już kilka jardów od nas. Mają nas.

Todd błaga:

– Nie myśl o strachu, Sal. Błagam.

– Nie potrafię.

– Potrafisz!

– Nie potrafię!

Todd przyciska dłoń do mojego policzka, delikatnie, ale mocno, całuje mnie w usta i szepcze:

– Proszę, Sal.

Nadal się boję, ale coś się otworzyło i coś używa właśnie mojej dłoni jak miedzianego drutu, i drzwi się otwierają, a Todd pcha mnie przez nie...

...w bezgwiezdną, bezcielesną, bezbolesną, beczasową czerń. Nie wiem, jak długo już tu jestem. Kilka minut, kilka lat, po prostu nie wiem. Przeszłam fazę, kiedy myślałam, że nie żyję, ale mój umysł żyje, nawet jeśli nie potrafię stwierdzić, czy jestem we własnym ciele, czy nie. Modliłam się do Boga o pomoc, albo choćby o jakieś światło, przepraszając, że w niego nie wierzę, i usiłując z całych sił nie myśleć o tym, jakim socjopatycznym bigotem jest w Starym Testamencie i w Apokalipsie św. Jana, ale nie nadeszła żadna odpowiedź. Myślałam o Frei, o mamie i tacie, i próbowałam przypomnieć sobie, jakie były moje ostatnie słowa do każdego z nich, ale nie udawało mi się. Myślałam o Toddzie. Jeśli przeżył, pomagał policji w poszukiwaniach, chociaż wątpię, czy przebywam w miejscu, które psy potrafią wywęszyć. Miałam nadzieję, że Todd nie jest na mnie zły za to, że zareagowałam na zaczepkę Fałszywej Fern i za to, że złapałam lusterko. Czy to był zgubny błąd, jak ten Orfeusza, kiedy obejrzał się za siebie? Jeśli tak, to była to podstępna sztuczka. Moje ręce po prostu wyciągnęły się odruchowo, żeby ocalić lusterko. Ale legendy i opowieści są pełne podstępnych sztuczek, jak samo życie, i choć czas mija, nic się nie zmieniło, a mnie zostały wyłącznie wspomnienia – najjaśniejszym z nich jest pośpieszny pocałunek Todda – żebym nie zwariowała w tej bezgwiezdnej, bezcielesnej, beczasowej czerni.

\* \* \*

Coś się wydarza. Pojawia się nikły punkcik światła. Już się bałam, że zupełnie straciłam wzrok, jak mama Todda. Kilka sekund lub kilka lat później punkcik rozszerza się do płomienia, płomienia świecy, świecy na dziwnym świeczniku, który stoi przed nami na gołych deskach podłogi. Płomień jest absolutnie nieruchomy. Nie na tyle jasny, żeby oświetlić zbyt wiele w tym pomieszczeniu – na

strychu? – ale w jego świetle widzę trzy twarze. Ta z prawej strony należy do Kate Childs, Złej Czarownicy z Zachodu, ubranej w szare okrycie w stylu arabskim, ale teraz Kate Childs ma już po trzydziestce. Naprawdę byłam tu tak długo? Naprawdę ukradli mi te wszystkie lata? Z lewej strony widzę drugą twarz, którą skądś znam... Jezu, to Mike z Melbourn. Teraz jest w tym samym wieku, co Kate Childs, i też siedzi nieruchomo, w pozycji Buddy, i też ma na sobie szare jak popiół okrycie. Widzę teraz ich oboje w jednym polu widzenia i uświadamiam sobie, że to bliźnięta. Trzecia twarz należy do Miss Piggy, przyglądającej mi się znad świecy, jakieś sześć kroków ode mnie, dokładnie na wprost. Czy też raczej twarz należy do klęczącej dziewczyny w masce Miss Piggy. Do dziewczyny w kurtce Zizzi Hikaru, z maoryskim wisiorkiem na tłusciutkiej szyi. Do mnie, czy raczej do mojego odbicia. Usiłuję się poruszyć, coś powiedzieć, choćby zabelkotać, ale moje ciało już nie reaguje. Mój mózg działa, moje oczy działają, ale to by było wszystko. Jak u tego Francuza z książki, którą przysłała mi Freya, *Skafander i motyl*... To się nazywa zespół zamknięcia. Ale ten Francuz mógł mrugać jedną powieką, właśnie w ten sposób napisał książkę. Ja nie potrafię nawet tego. Z lewej strony lustro widzę jasne drzwi ze złotą gałką. Wspomnienie tych drzwi powoli krystalizuje się w mojej głowie... Pokój na szczycie schodów Slade House. „Świetlica”. Czy nas troje otumaniono narkotykami i tutaj przywleczono? Kto? I gdzie jest Todd?

– Cosgrove’a odesłano razem z resztą bezpańskich kundli, których tu ze sobą przywlekłaś – mówi Kate Childs. Płomień świecy drży. Amerykański akcent Kate gdzieś się ulotnił, zastąpił go chłodny akcent z angielskich wyższych sfer, podobny do tego, jakim mówi moja matka. – Jesteś tutaj, w Slade House, na życzenie mojego brata. Mam na imię Nora, a to jest Jonah.

Usiłuję zapytać: „Co masz na myśli, mówiąc, że

Cosgrove'a odesłano?", ale moje usta nie pracują, ani trochę.

– Jest już trupem. Nie cierpiał. Nie rozpaczaj po nim. Przez ostatnie kilka tygodni, których kulminacją jest dzisiejsze przedstawienie, był lalką mojego brata-brzuchomowcy, wypowiadającego te czułe słówka i słodkie kłamstewka, które tak bardzo chciałaś usłyszeć.

Usiłuję powiedzieć tej całej Norze, że jest niespełna rozumu. Bo wiem, że Todd mnie kocha.

– Powiedz jej – zwraca się Nora do Mike'a z Melbourne, czy do Jonah – bo inaczej będzie miała sacharynowy, mączny smak.

Jonah, jeśli tak ma naprawdę na imię, uśmiecha się do mnie szyderczo.

– To wszystko prawda, kochanie. Każde słowo.

Jego australijski akcent gdzieś zniknął – teraz ów Jonah mówi w sposób afektowany, jak uczeń prywatnej szkoły.

– Siedziałem w głowie Todda Cosgrove'a i przyrzekam, Sally Timms była dla niego równie podniecająca jak pudełko smalcu zapomniane gdzieś z tyłu lodówki. Brzydził się tobą.

*Kłamiesz! Todd mnie pocałował. Todd próbował mi pomóc w ucieczce.*

– Pozwól, że przetłumaczę to na chrumowy dla debili. Wszystko, co wydarzyło się od pubu do Szczeliny na Slade Alley było prawdziwe. Ten strych też jest prawdziwy, a to są nasze prawdziwe ciała. Między żelaznymi drzwiami, jednakże, a momentem, kiedy się tu obudziłaś, zaszło coś, co my nazywamy antyfoną: inscenizacja w 3D na żywo projektowana w czasie z tej Luki – Jonah bębni palcami o deski podłogi – przez moją nieprzyzwoicie utalentowaną siostrę. Obraz na podstawie przygotowanego scenariusza. Ja też w nim byłem – czy też ściślej mówiąc, moja dusza. Poruszałem ciałem Todda, wypowiadałem wszelkie jego kwestie, ale wszystko pozostałe – ludzie, których poznałaś, pokoje,



przez które przechodziłaś, smaki, które czułaś na podniebieniu – było rzeczywistością lokalną powołaną do istnienia przez moją siostrę. Kiedy z Toddem biegliscie ku wolności, ten wasz ekscytujący bieg odbywał się w kolejnej części naszego labiryntu dla szcurów, przez który was przeganialiśmy, był antyfoną wewnątrz antyfony. Taki twór nazywamy subantyfoną. Musimy jednak znaleźć dla niej jakieś lepsze określenie. Poprosiłbym cię, żebyś pomyślała nad odpowiednim słowem, ale właśnie umierasz.

Moje uparte Ja niezmiennie zaprzecza: *Kłamiesz, to wszystko to tylko złe halucynacje po kwasie.*

– Nie – Jonah wydaje się rozczarowany – naprawdę umierasz. Twój układ oddechowy. Bez mięśni. Pomyśl. To też są złe halucynacje po kwasie?

Ku mojemu przerażeniu uświadamiam sobie, że Jonah ma rację. Nie mogę złapać powietrza, ani się przewrócić, ani zrobić czegokolwiek, mogę tylko klęczeć i powoli umierać przez uduszenie. Rodzeństwo teraz jakby traciło mną zainteresowanie.

– Aż zaniemówiłem z podziwu, siostró – mówi Jonah.

– Nie zaniemówiłaś ani razu przez sto lat – odpowiada Nora.

– Jeśli przyznawaliby Oscary w kategorii „Najlepsza Antyfony”, wygrałabyś w cuglach. To było prawdziwe arcydzieło. Kubistyczne, postmodernistyczne, po prostu brak mi słów, by wyrazić najwyższe uznanie.

– Tak, tak, jesteśmy geniuszami, ale co z tym policjantem? Jego pozostałość była na tyle cielesna, że wręcz mogła mówić do naszego gościa. A Szczelina, pojawiająca się, gdzie chce, ot tak, i do tego otwarta? Dziewczyna o mały włos by stąd wyrwała.

– Ale nie wyrwała. A dlaczego? Bo Amor mocno zacisnął pętlę na jej szyi. Rola Todda Cosgrove’a była trudniejsza do odegrania niż rola Chloe Chetwynd, zgodzisz się chyba. Pan posterunkowy posuwałby nawet rozcięty kawał surowej wątroby, natomiast nasza

świnka potrzebowała odpowiednich miłosnych zaklęć.

W normalnych okolicznościach po takich słowach polałaby się krew, ale w tej chwili martwię się tylko o to, ile zdołam wytrzymać bez tlenu. Trzy minuty?

Nora Grayer obraca głową, jakby wkręcała ją w nagwintowany otwór.

– Tradycyjnie nie dociera do ciebie sedno sprawy, bracie. Z każdym Dniem Otwartym te odstępstwa stają się coraz poważniejsze.

Jonah zgina i prostuje pająkowate palce.

– Tradycyjnie, siostró, serwujesz mi jakiś paranoiczny bełkot. Kolejny raz kolację podano bez najmniejszych zakłóceń i nikt nie dostał czkawki. Kolejny raz nasz Operandi został naładowany na pełen cykl. Osobiście całe to rozbuchane teatrum składam na karb twojego pobytu w Hollywood. Naoglądałaś się zbyt wiele włochatych pośladeków aktorów w zbyt wielu lustrach na suficie.

Nora szepcze, cedząc słowa:

– Zwracanie się do mnie tym tonem naprawdę nie leży w twoim interesie, bracie.

– Ach tak? Znowu weźmiesz niezapowiedziany urlop i wyprawisz się w chilijskie Andy, żeby odkrywać sens metażycia? Ależ jedź, proszę. Dobrze ci to zrobi. Opętaj sobie jakiegoś bażanta albo alpaka. Po kolacji odwiozę cię na lotnisko. Wrócisz. I ja też wrócę. Żadne z nas nie przeżyje solowego numeru. Operandi jest siłą większą niż my oboje razem wzięci, kochanie.

– Operandi ma sześćdziesiąt lat. To, że odcięliśmy się od Drogi Cienia...

– Unikamy przez to zwracania na siebie uwagi jedynych istot na Ziemi, które mogłyby przysporzyć nam kłopotów. Jesteśmy półbogami, nie mamy nad sobą panów. Czy możemy się postarać, żeby tak zostało, bardzo cię proszę?

– Naszym panem jest ta absurdalna pantomima co dziewięć lat – odpowiada cierpko Nora. – Jesteśmy niewolnikami tych przyrodzonych powłok – wskazuje swoje ciało z obrzydzeniem – które kotwiczą nasze dusze w świecie Dnia. Jesteśmy niewolnikami ślepego trafu, który decyduje o tym, czy wszystko się uda.

Nadal nie oddycham i czuję, że moja czaszka zaczyna się zapadać. Desperacko, z całych sił myślę słowo: *Pomocy!*

– Czy możemy, proszę, zasiąść do kolacji? Chyba że w przypiływie złości planujesz zabić Operandi.

Czaszka mi pulsuje, a moje ciało jęczy, zebrząc o tlen. *Błagam! Nie mogę oddychać...*

Nora wydętymi ustami wypuszcza powietrze, jak humorzasta nastolatka, i niechętnie kiwa głową na znak zgody. Dłonie rodzeństwa Grayerów zaczynają teraz tkać powietrze, jak wcześniej robił to Todd Cosgrove, zostawiając w mroku ślady, które chwilę potem nikną. Usta bliźniąt poruszają się i słychać coraz głośniejsze buczenie, a w tym czasie nad świecą coś przyjmuje kształt, komórka po komórce. Jakiś rodzaj mięsistej meduzy, pulsującej czerwonymi i fioletowymi rozbłyskami. Byłaby nawet ładna, gdyby nie pochodziła z koszmaru. Z meduzy wyrastają macki, a z macek mniejsze macki. Niektóre wiją się w powietrzu, pełznąc w moją stronę, a jedna zatrzymuje się na moment o cal od mojego oka. Widzę na jej czubku maleńki otwór, który otwiera się i zamyka jak u karpia. A chwilę potem macka gwałtownie rzuca się ku mnie i wciska się w moją lewą dziurkę od nosa. Na szczęście prawie jej nie czuję, ani pozostałych, które wwiercają mi się do ust, do mojej prawej dziurki od nosa, do moich uszu. Na czole czuję niewielki punkt bólu, jakby od wiertła, i w lustrze naprzeciwko widzę coś migoczącego, co sączy się powoli z jednego z otworów na oczy w mojej masce. To coś formuje się w niewielką kulę przed moją

twarzą. W jej wnętrzu unosi się drobny świecący plankton. Czyli dusze istnieją naprawdę.

Moja dusza jest najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałam.

Ale teraz rodzeństwo Grayerów już zbliża się z obu stron.

*Nie! Nie wolno wam! Jest moja! Proszę! Nienienie...*

Bliźnięta ściągają wargi, jakby chciały zagwizdać.

*Ratunku ratunku ratunku Freya Freya ktokolwiek ratunku pomocy muszę...*

Bliźnięta wdychają powietrze, rozciągając moją duszę w owal.

*Ktośwaskiedyspowstrzymabędzieciecierpiećzapłacie...*

Moja dusza rozdziela się na pół. Nora wdycha jedną połówkę, Jonah drugą.

Mają miny jak Piers tamtej nocy, w Malvern...

...i już jest po wszystkim. Znowu siedzą na tych miejscach, gdzie wcześniej.

To coś jakby macki zniknęło. Tej pulsującej meduzy też już nie ma.

Rodzeństwo siedzi nieruchomo jak dwie rzeźby. Nieruchomy jest też płomień świecy.

W lustrze maska Miss Piggy spada z płaskiem na podłogę.

**Ty artysto,  
kto by pomyślał**

2006

Odjechałam w drzemkę na wystarczająco długo, żeby przeszła w stresujący sen. Śniło mi się, że obleciał mnie strach przed spotkaniem z Fredem Pinkiem tutaj, dziś wieczorem. Idąc przez zimny park, w połowie drogi zawróciłam, ale biegacz w czarnopomarańczowym dresie opryskał mi twarz inhalatorem na astmę. Wtedy zobaczyłam kobietę na wózku inwalidzkim, który pchał Tom Cruise. Jej twarz była ukryta pod kapturem nieprzemakalnego płaszcza, a Tom Cruise powiedział: „No, śmiało, zobacz”. Więc podniosłam ten kaptur, i to byłam ja. Potem szliśmy jakąś uliczką i ktoś powiedział: „Opłacasz armię przez tysiąc dni, żeby użyć jej jednego”. Na końcu był czarny monolit, jak te czarne monolity z 2001: *Odysei kosmicznej* i kiedy kamień się otworzył, usłyszałam, że Sally mówi: „Musisz się obudzić”, więc się obudziłam, i oto jestem tutaj, sama, w górnej salce The Fox and Hounds. Zgodnie z ustaleniami. Jest tu bardziej obskurnie, niż pamiętam, jak wyglądało to miejsce w dziewięćdziesiątym siódmym roku. Stoły są pokancerowane, krzesła się chyboczą, tapety odłóżą ze ścian, a wykładzina ma kolor zaschłych wymiotów. Mój sok pomidorowy stoi przede mną w wybrudzonej szklance, równie apetyczny jak zmiksowana w blenderze padlina. The Fox and Hounds ewidentnie dogorywa. W barze na dole siedzi tylko sześcioro gości, a jednym z nich jest pies-przewodnik niewidomego mężczyzny – i to w sobotni wieczór. Ponury nastrój usiłuje rozweselić jedynie szklawiona reklama Guinnessa przykręcona do ściany nad zasłoniętym kominkiem. Krasnal przygrywa na skrzypkach tańczącemu tukanowi. Zastanawiam się, czy dziewięć lat temu ten krasnal

zwrócił uwagę na Sally i czy ona zauważyła jego. Siedzieli tam całą „Szóstką z Archiwum X”. Kilkoro świadków ich widziało, ale nie mogło dojść do zgody, przy którym stoliku.

Przyciskam czoło do okiennej szyby. Na ulicy Fred Pink nadal „wita się szybciotko z panami Bensonem i Hedgesem”. Słońce zapada się gdzieś za chmurami w kolorze asfaltu, nad jednokierunkowymi labiryntami z ceglanych budynków, gazowni, błotnistych kanałów, starych fabryk, niekochanych bloków mieszkalnych z lat sześćdziesiątych, wielopiętrowych parkingów z lat siedemdziesiątych, zapuszczonych domków z lat osiemdziesiątych, neonowych multipleksów z lat dziewięćdziesiątych. Ślepych ulic, obwodnic, buspasów, wiaduktów. Szkoda, że ostatnie znane miejsce pobytu Sally jest takie brzydkie. Podobnie jak milion razy wcześniej, zastanawiam się czy Sally nadal żyje i tkwi gdzieś na strychu, zamknięta przez jakiegoś szaleńca, modląc się, żebyśmy nie przestawali jej szukać, żebyśmy się nie poddali. Ta myśl nigdy mnie nie opuszcza. Czasem, kiedy widuję w telewizji zapłakanych rodziców osób, których śmierć stwierdzono bez żadnych wątpliwości, zazdroszczę im. Taka strata, owszem, boli jak amputacja, ale nadzieja jest jak nieuleczalna hemofilia: człowiek krwawi i krwawi, i krwawi. Jakby kota Schrödingera ktoś umieścił w pojemniku, którego nigdy nie da się otworzyć. I tak jak milion razy wcześniej, zżymam się, że latem tamtego roku zgrabnie wymigałam się od zaproszenia mojej siostry do Nowego Jorku, nim zaczęła tutaj studia na uczelni. Wiedziałam, że Sally chciała mnie odwiedzić, ale pracowałam wtedy w agencji fotograficznej, przyjaźniłam się z fashionistkami, dostawałam zaproszenia na prywatne pokazy i właśnie zaczęłam się umawiać z kobietami. To był dziwny okres. Odkrywanie Prawdziwej Mnie i do tego jednocześnie niańczenie mojej grubej, nieco dziwnej, nerwowej siostry, tego już by było dla mnie za

dużo. Więc ściemniłam coś Sal, że muszę najpierw pewniej stanąć na nogi, a ona udała, że mi wierzy, ale ja nigdy sobie tego nie wybaczę. Avril mówi, że nawet Bóg nie może zmienić przeszłości. To prawda, tylko że ja i tak nie potrafię sobie wybaczyć. Wyjmuję komórkę i wysyłam do Avril esemesa:

Jestem w pubie. Mordownia. FP na razie nie swiruje, ale zobaczymy. Za chwile zaczynamy. Bede w domu najszybciej jak sie da. Calus.

WYŚLIJ. Avril pewnie niedługo odgrzeje wczorajsze lazanie, otworzy butelkę wina, zasiądzie do odcinka albo nawet trzech *Prawa ulicy*. Szkoda, że mnie z nią nie ma. Widywałam już kostnice mocniej tętniące życiem niż The Fox and Hounds. Kiedy weszliśmy, barmanka usiłowała błysnąć dowcipem: „Dobry wieczór, kochanie, pewnie jesteś najnowszą dziewczyną naszego Freda? Fred, ty artysto, kto by pomyślał – z którego czasopisma ją zamówiłeś, co?”. Powinnam była powiedzieć: „Z »Gorących Lesb z Ukrainy«”. Kiedy barmanka dowiedziała się, że jestem dziennikarką i interesuję się Slade Alley, zrobiła się nagle lodowata, a jej „kochanie” obrosło kolcami:

– Według ciebie na tym właśnie polega rola mediów, tak? Dlaczego niby miałabyś zostawić sprawę w spokoju, skoro nadal można bić wokół niej pianę? Prawda?

Na schodach słycać ciężkie kroki.

Wyjmuję cyfrowy dyktafon Sony, prezent od taty i Sook, znanej również jako pani Timmsowa III, i kładę go na stole.

Na salę wchodzi Fred Pink, siwy pan o twarzy pooranej zmarszczkami, w złachanym brązowym palcie, ze skórzaną torbą na ramię, która wygląda, jakby miała dobre pięćdziesiąt lat.

– Przepraszam, że musiała pani czekać. Naprawdę muszę od



czasu do czasu nakarmić płuco. – Ma chropawy, przyjacielski głos, któremu chce się ufać.

– Żaden problem – zapewniam. – Ten stolik pasuje?

– Najlepszy w całym lokalu, rzekłbym. – Stawia na stole swoje piwo, siada jak starszy pan, którym przecież jest, i zaciera chude kościste dłonie powleczone pergaminem skóry. Twarz ma obwisłą, dziobatą i zarośniętą ostrą szczeciną. Okulary ma sklezione brązową taśmą. – Niezły ziąb dziś na dworze. Ten cały zakaz palenia wpędzi nas wszystkich do grobu, mówię pani. Jak nie rak, to obustronne zapalenie płuc. Ciągłe nie mogę pojąć, jak można nie palić, i do tego w pubie? Polityczna poprawność doprowadzona do absurdu, a zaordynowana przez rząd labourzystów. Przeprowadzała pani kiedyś wywiad z Tonym Blairem albo z Gordonem Brownem, czy tam innym z ich klikki? Jest pani dziennikarką.

– Najwyżej zadawałam im pytania na konferencjach prasowych. Musiałabym być naprawdę sławną, wpływową dziennikarką, żeby dostać prywatną audiencję. Czy mogę nagrywać naszą rozmowę? Wtedy będę się mogła skupić na tym, co pan mówi, a nie na notowaniu.

– Ależ śmiało. – Nie dodaje „i mówmy sobie po imieniu”, więc ja też zachowuję formę „pan”.

Naciskam NAGRYWANIE i mówię do mikrofonu:

– Rozmowa z Fredem Pinkiem w pubie The Fox and Hounds, sobota, dwudziesty siódmy października dwa tysiące szóstego roku, godzina dziewiętnasta dwadzieścia. – Przekręcam dyktafon, żeby mikrofon był skierowany w jego stronę. – Może pan już mówić, kiedy pan chce.

Starszy pan bierze głęboki wdech.

– Cóż. Kiedy człowiek był już raz leczony na oddziale psychiatrycznym, nikt nie da mu kredytu zaufania. Łatwiej

poprawić słabą wiarygodność kredytową niż po prostu słabą wiarygodność. – Fred Pink ostrożnie dobiera słowa, jakby zapisywał je niezmywalnym tuszem. – Ale niezależnie od tego, czy mi pani wierzy, czy nie, to moja wina. Moja. Bo widzi pani, to ja opowiedziałem mojemu siostrzeńcowi Alanowi o Slade Alley, o Gordonie Edmondsie, o Nathanie i Ricie Bishopach, o dziewięcioletnim cyklu. To przeze mnie nabierał coraz większej ochoty na te poszukiwania. Z tym że Alan powiedział mi, że w tym jego klubie było ze dwadzieścia czy trzydzieści osób, więc myślałem, że w takiej liczbie są bezpieczni. Bo widzi pani, Atemporalni boją się ujawnienia. Owszem, sześcioro zaginionych studentów to też była sensacja, ale dwadzieścia czy trzydzieści osób? Nigdy by się nie ośmielili. Zaraz zjawiłoby się tu MI7, a gdyby zaginęli jacyś Amerykanie, to również FBI, no i mój druh David Icke, i cała ta hałastrza zaraz by się rzuciła na Slade House jak stado sępów. Gdybym wiedział, że w grupie Alana jest ich tylko sześcioro, powiedziałbym mu: „Za duże ryzyko, odpuść”. A gdybym tak wtedy powiedział, mój siostrzeniec, pani siostra, Lance Arnott, Todd Cosgrove, Angelica Gibbons i Fern Penhaligon nadal byłiby wśród nas, żyliby sobie szczęśliwie, chodzili do pracy, mieli chłopaków, dziewczyny, kredyty mieszkaniowe. Kiedy o tym myślę, to dla mnie tortura, proszę pani. Tortura.

Fred Pink przelęka ślinę, zaciska zęby i zamyka oczy. W notesie zapisuje: „Atemporalni?” i „David Icke”, żeby dać mu czas się pozbierać.

– Przepraszam panią, tylko że...

– Ja też mam wielkie wyrzuty sumienia, jeśli chodzi o Sally – zapewniam. – Ale wydaje mi się, że jest pan dla siebie zbyt surowy.

Fred Pink ociera oczy starą chusteczką i wypija łyk piwa.

– W e-mailu wspomniał pan o jakiejś historii w tle – mówię.

– Owszem. Właśnie po to chciałem się z panią dziś spotkać, żeby ją pani osobiście opowiedzieć, twarzą w twarz. Przez telefon by się pani rozłączyła. Miejscami będzie pani myśleć: „Rany boskie, staremu piernikowi chyba się zwój obluźował”. Ale proszę wysłuchać mnie do końca. Ta opowieść prowadzi do Sally. Niech mi pani zaufa.

– Jestem dziennikarką. Wiem, że rzeczywistość bywa złożona. – Pamiętam, że Avril powiedziała dokładnie tak samo – „stary piernik” – kiedy przeczytała jego pierwszy e-mail dwa tygodnie temu. Ale ja odpowiadam starszemu panu: – Słucham.

– Historia zaczyna się ponad sto lat temu, w okolicach Ely w hrabstwie Norfolk, w okazałej rezydencji zwanej Swaffham Manor. Dzisiaj jej właścicielem jest kumpel księcia Karola z Arabii Saudyjskiej, ale wtedy była to dziedziczna siedziba rodu Chetwyndów-Pittów, znajdzie ich pani nawet w Domesday Book. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku w Swaffham Manor urodziły się bliźnięta, dziewczynka i chłopiec. Ale nie w tej wielkiej rezydencji, zaznaczam, tylko w chacie gajowego na skraju posiadłości. Ich ojcem był Gabriel Grayer, a matką jego żona, Nellie Grayer. Bliźniętom nadano imiona Nora i Jonah. Nigdy nie poznały dobrze swojego ojca, bo trzy lata później Gabriela Grayera zastrzelił jakiś arystokrata, który pomylił wieśniaka z szarakiem. Lord i Lady Chetwyndowie-Pittowie czuli się winni temu wypadkowi, więc pozwolili Nellie Grayer i jej dzieciom zostać w chacie gajowego. Co więcej, zajęli się wykształceniem Nory i Jonah, a kiedy Nellie Grayer umarła na gorączkę reumatyczną w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku, osierocone rodzeństwo przeniosło się do rezydencji Swaffham Manor.

– Dokładnie zbadał pan sprawę – przyznaję.

– To moje, poniekąd, hobby. Cóż, tak naprawdę to całe moje

życie. Powinna pani zobaczyć moje mieszkanie. Wszędzie papiery i teczki. Dobrze, teraz tak, pewnie słyszała pani różne opowieści o zjawisku empatii między bliźniętami. Na przykład, kiedy jedno wpadnie pod autobus w Stambule, drugie dokładnie w tym samym momencie przewraca się na chodniku w Londynie. Ale czy wie pani, że bliźniaki czasami mówią językiem, który tylko one rozumieją, szczególnie kiedy ciągle jeszcze uczą się mówić?

– A to akurat wiem. Kiedy mieszkałam na Manhattanie, opiekowałam się małymi trojaczkami, które porozumiewały się swoim prywatnym dialektem. To było niesamowite.

– No a w Swaffham Manor zaszły wydarzenia, które pozwalają przypuszczać, że Nora i Jonah połączyli obie swoje umiejętności. Nazywając rzecz po imieniu: w grę wchodziła telepatia. – Fred Pink patrzy na mnie badawczo. – Mamy jakiś problem z telepatią, proszę pani?

W moim wykrywaczu świrów zapala się żółta lampka.

– Jestem raczej zwolenniczką solidnych dowodów.

– Ależ ja też. Ja też. Albertina Chetwynd-Pitt, jej łaskawość, w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym wydała wspomnienia pod tytułem *Rzeki dawne i utracone*. Jest w nich opisane wszystko, o czym teraz pani opowiadam: bliźnięta, ich wychowanie, wszystko. Lady Chetwynd-Pitt pisze, jak to pewnego wieczoru w Swaffham, w styczniu tysiąc dziewięćset dziesiątego roku ona, jej córki oraz Nora Grayer grały w karty w salonie. I nagle Nora krzyknęła, upuściła karty i powiedziała, że Arthur, najstarszy syn Chetwyndów-Pittów, spadł z konia przy strumieniu Poole, ponad milę od rezydencji, i nie może się ruszać. Trzeba natychmiast sprowadzić nosze i lekarza. Lady Albertina wręcz nie mogła uwierzyć, że Nora wygaduje takie bezpodstawne bujdy. Ale Nora błagała ją, żeby lady wysłała pomoc, bo, cytuję, „z paniczem Arthurem jest Jonah i wszystko mi opowiada”. Teraz już

przestraszone były też dziewczynki Chetwyndów-Pittów, więc wbrew zdrowemu rozsądkowi lady Albertina posłała służącego, który na miejscu zastał dokładnie taką scenę, jaką opisała Nora, zgadzał się każdy szczegół.

Sięgam po sok pomidorowy, ale nadal wygląda jak zmiksowana padlina, więc zmieniam zdanie.

– To wszystko zgrabna anegdota, ale gdzie tu „dowód”?

Fred Pink wyjmuje paczkę bensonów & hedgesów, przypomina sobie o zakazie palenia i rozdrażniony odkłada papierosy.

– Następnego dnia lord i lady Chetwyndowie-Pittowie wzięli rodzeństwo na rozmowę, w której brał też udział ich przyjaciel Grimond, dziekan katedry w Ely. Dziekan Grimond był trzeźwo myślącym Szkotem, człowiekiem lubiącym konkrety, służył jako kapelan w armii w wojnie krymskiej i nie miał ani krzty zamiłowania do fantazji. Kazał bliźniakom, żeby powiedziały, w jaki sposób Nora dowiedziała się, że Arthur spadł z konia przy strumieniu Poole. Więc bliźnięta wyznały, że od lat potrafią wysyłać sobie w myślach „telegramy”, ale trzymały to w tajemnicy, bo zauważyły już, że ludzie się tego boją, a one nie chciały zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. Podobnie jak pani dzisiaj, lord Chetwynd-Pitt chciał mieć twarde dowody, więc zorganizował eksperyment. Dał Norze ołówek i kartkę papieru, zaprowadził Jonah do sali bilardowej w rezydencji Swaffham i odczytał mu przypadkowy wiersz z *Księgi dżungli*. Następnie jego lordowska mość poprosił Jonah, żeby wysłał to zdanie „telegramem” do Nory, do biblioteki. Jonah na kilka sekund zamknął oczy, po czym oznajmił, że już wykonał polecenie. Wtedy obaj wrócili do biblioteki, a tam zobaczyli, że Nora zapisała na kartce właśnie to zdanie z Kiplinga. – Fred Pink patrzy na mnie, jakby teraz sprawa była już wyjaśniona ponad wszelką wątpliwość.

– Niezwykłe – mówię, ale w myślach dodaję: „Jeśli rzeczywiście

tak było”.

– Następnie dziekan Grimond kazał Norze przesłać do Jonah „telegram” z wersetem z Ewangelii według Świętego Jana. – Fred Pink zamyka oczy. – „Kto idzie za Mną nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia”<sup>3</sup>. Z tym właśnie wersetem. W sali bilardowej Jonah zapisał go na kartce, słowo po słowie. Na koniec chciała spróbować eksperymentu lady Albertina. Kazała Jonah wysłać „telegram” z fragmentem wierszyka dla dzieci po niemiecku. Nora zapisała dokładnie każde słowo, chociaż z błędami w pisowni, bo żadne z bliźniąt nie znało ani słowa po niemiecku. – Fred Pink pociąga łyk piwa i ociera spękane usta postrzępionym rękawem kurtki. – Dziekan Grimond powiedział rodzeństwu, że niektórych z Bożych darów lepiej nie zgłębiać i że nie powinni wspominać o swoich „telegramach” przy ludziach, „żeby nie wodzić na pokuszenie osób lubiących sensację”. Nora i Jonah obiecali, że nie będą. Dziekan Grimond dał jednemu i drugiemu po miętówce i wrócił do siebie, do katedry. Zadanie wykonane. Bułka z masłem.

Od schodów z telewizora na dole dobiega fala rozczarowanego jęku. Sprawdzam, czy mój Sony nadal działa, i pytam:

– A skąd pan wie, że lady Albertina stanowi wiarygodne źródło?

Fred Pink pociera czaszkę, z której opadają płatki łupieżu.

– Chyba stąd, że umiem oceniać źródła, tak samo jak pani ocenia swoje. Trzeba mieć nosa do kłamstw, ucho do farmazonów i oko do teatrów. Prawda? W swojej książce lady Chetwynd-Pitt ze szczegółami opisuje sytuacje, po których byle oszust po prostu by się prześlizgnął, natomiast te, które by ubarwił, lady Albertina podaje zdawkowo. Poza tym po co miałyby kłamać? Nie dla pieniędzy – spała na nich. Nie dla rozgłosu – kazała wydrukować tylko sto egzemplarzy swoich wspomnień, a kiedy je w końcu

---

3 J, 8:12, Biblia Tysiąclecia (przyp. tłum.).

wydano, żyła już w zasadzie jak pustelnica.

Obracam na palcu złoty pierścionek od Avril.

– W dziennikarstwie, jeżeli twierdzenia informatora wydają się kontrowersyjne, staramy się znaleźć dla nich potwierdzenie z wielu źródeł.

– „Potwierdzenie z wielu źródeł”. Dobrze ujęte. Zapamiętam. Czas, żeby poznała pani doktora Léona Cantillona. – Fred Pink otwiera zamek swojej torby, wyjmuje skoroszyt pełen kartek z pozaginanymi rogami i kładzie na stole wydruk skanu starej ręcznie kolorowanej fotografii, przedstawiającej mężczyznę w wieku około lat czterdziestu. Ma na sobie mundur francuskiej Legii Cudzoziemskiej, uśmiecha się nonszalancko, na piersi ma dwa medale, a wokół szyi zawiesił stetoskop. Podpis pod zdjęciem głosi: „*Le docteur L. Cantillon, Légion étrangère, Ordre national de la Légion d'honneur, Croix de guerre*”. – Léon Cantillon. Barwna postać, rzec można. Urodzony w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku w Dublinie, w starej rodzinie francuskich hugenotów. Dorastał, mówiąc po francusku. Studiował medycynę na Trinity College, ale ponieważ miał w sobie wrodzoną porywczosć, był zmuszony opuścić Irlandię, kiedy zastrzelił w pojedynku nie kogo innego, jak syna deputowanego do parlamentu. Pach, prosto między oczy. Chłopak już nie żył, kiedy upadał na ziemię. Kilka miesięcy później Cantillon wstąpił do Legii Cudzoziemskiej – teraz jesteśmy już w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku – i służył jako lekarz w wojnach z plemionami Mandinka na Wybrzeżu Kości Słoniowej, a później w kampanii umacniającej kontrolę Francji na terenach na południe od Oranu. Brudne to były wojenki w rozparcelowanej Afryce – nawet Francuzi już dziś o nich zapomnieli. Cantillon miał też talent do języków. Kiedy nie doktorował ani nie wojakował, uczył się arabskiego i utrzymuje, że mówił w tym

języku płynnie już w tysiąc dziewięćset piątym roku, kiedy to dostał intratną posadkę w szpitalu Legii w Algierze. I jak sam pisze, to właśnie w Algierze zaczął interesować się okultyzmem. Obracał się wśród pruskich teozofów, ormiańskich spirytystów, szamanów ibadytów, chasydzkich kabalistów, ale szczególne wrażenie wywarł na nim pewien mistyk, który żył na południe od Algieru, u podnóża gór Atlas. Znany jest jako Sajjid Albinos z Aït Arif i stopniowo zaczął odgrywać wielką rolę w życiu rodzeństwa Grayerów.

To wszystko brzmi dla mnie jak z *Kodu Leonarda da Vinci*.

– Skąd pan to wszystko wie, z jakiego źródła? Z książki lady Albertiny?

– Nie. Léon Cantillon też napisał wspomnienia. *Wielkie wyjawienie*. Mój własny egzemplarz jest jednym z zaledwie dziesięciu, o których wiadomo, że jeszcze istnieją, i to właśnie ta książka stanowi, że tak powiem, źródło potwierdzające opowieść lady Albertiny. – Fred Pink odwraca się, żeby chwilowo ulżyć płucom palacza i wykaszleć się w zgięty łokieć. Trochę to trwa. – Czyli tak. Doktor Cantillon poznał lorda Chetwynda-Pitta wczesnym latem tysiąc dziewięćset piętnastego roku w domu ich wspólnych przyjaciół w Londynie. Po kilku kieliszkach porto jego lordowska mość zaczął opowiadać wojskowemu doktorowi o „chronicznej hysterii” lady Albertiny. Biedna kobieta była już wtedy w strasznym stanie. W kwietniu tysiąc dziewięćset piętnastego roku, w tym samym tygodniu, wszystkich trzech synów lordostwa Chetwyndów-Pittów zagazowano, wysadzono w powietrze czy też rozstrzelano z karabinów maszynowych pod Ypres. Wszystkich trzech. Proszę sobie tylko wyobrazić: w poniedziałek ma pani trzech synów, a w piątek żadnego. Lady Albertina po prostu, wie pani, zapadła się w sobie. Fizycznie, psychicznie, duchowo, głęboka depresja. Jej mąż miał nadzieję, że



Léon Cantillon, jako pełen zrozumienia spirytysta i lekarz, może okazać się człowiekiem, który pomoże, gdy wszyscy inni zawiedli, i wydobędzie jego żonę z zapaści.

Sylwetkę Freda Pinka okala okienna futryna. Zapada zmrok.

– Czyli Chetwyndowie-Pittowie parali się spirytyzmem jeszcze przed „incydentem z telegramem”, tak?

– Owszem, proszę pani, owszem. Wtedy wybuchła już moda na seanse spirytystyczne i nawet osobistości takie jak sir Arthur Conan-Doyle twierdziły, że spirytyzm ma oparcie w nauce. Bez wątpienia nie brakowało krętaczy, którzy tylko zacierali ręce, mając nadzieję, że na tym szale sporo zarobią, ale dzięki Norze i Jonah Chetwyndowie-Pittowie wiedzieli, że przynajmniej niektóre zjawiska parapsychologiczne są prawdziwe. W istocie lord Chetwynd-Pitt sprowadził do Ely kilka osób podających się za medium, żeby za ich pośrednictwem skomunikować się z duchami zmarłych synów, ale żadne z owych „mediów” nie okazało się wiele warte i z każdą zawiedzioną nadzieją zdrowie psychiczne lady Albertiny brało kolejne ciężki.

Podnoszę do ust moją szklanekę soku pomidorowego, ale nadal wygląda jak słoik z próbką z banku krwi.

– A doktor Cantillon potrafił pomóc?

Fred Pink gładzi się po grubej szczecinie.

– Cóż, jak się okazało, potrafił, chociaż nigdy nie twierdził, że jest medium. Po zbadaniu lady Albertiny Cantillon stwierdził, że żałoba i rozpacz przerwały eteryczną strunę łączącą ją z duchowym przewodnikiem. Przeprowadził rytuał, którego nauczył się od szamana w górach Rif, i przepisał pewien „eliksir”. W swojej książce lady Albertina wyjawiała, że po wypiciu owego eliksiru doznała wizji „anioła, który odwała kamień z jej grobowca”, i ujrziała swoich trzech synów bytujących szczęśliwie w wyższej sferze egzystencji. Natomiast Cantillon w swojej książce

wspomina, że ów eliksir zawierał nowy cudowny lek zwany kokainą, więc niech sobie pani sama dośpiewa resztę. Dodałbym do tego również korzyści płynące po prostu ze szczerzej rozmowy z drugim człowiekiem. Dla damy z czasów edwardiańskich okazja do wyrzucenia z siebie przy zaufanej osobie wszystkiego, co jej leży na sercu, i do wylania żalów na Boga, króla i ojczyznę musiała mieć, delikatnie rzecz ujmując, działanie terapeutyczne. Jak dzisiaj terapia osób w żałobie. Na tym etapie wydaje się, że doktor Cantillon był z pewnością gościem, na jakiego długo czekali.

W mojej torebce brzęczy telefon. Chyba Avril mi odpisała, ale ignoruję jej esemesa.

– A jaka jest w tym wszystkim rola rodzeństwa Grayerów?

– Ano właśnie. Jonah terminował na sekretarza w kancelarii Swaffham Manor. Krótkowzroczność i kłopoty z serduchem oszczędziły go przed okopami. Ponieważ jednak te przypadłości już nie dokuczały mu później w życiu, zastanawiam się, czy nie były aby wymyślone. Nora mieszkała w internacie, w szkole dla młodych dam w Cambridge, żeby zwiększyć swoje szanse na dobre zamążpójście. Léon Cantillon słyszał już oczywiście od Chetwyndów-Pittów o „telegramach” bliźniąt, więc przy pierwszej nadarzącej się okazji poprosił o pokaz. Odbył się on w pierwszy weekend pobytu doktora w Swaffham Manor. Cantillon był pod wrażeniem. Pod wielkim wrażeniem. Nazwał to potem „Zwiastowaniem Nowej Ery Człowieka”. Dwa tygodnie później doktor złożył swoim gospodarzom propozycję. Jeśli „użyczą” mu Nory i Jonah, pod warunkiem, że rodzeństwo będzie chętne, „zapewni im edukację parapsychiczną na miarę ich talentów”. Powiedział, że zna pewnego nauczyciela okultyzmu, który wyszkoli rodzeństwo w przekazywaniu energii duchowej. Dodał, że kiedy Nora i Jonah opanują już tę umiejętność, lady Albertina będzie mogła swobodnie rozmawiać z synami w ich wyższej sferze

egzystencji, bez obaw, że nabierają ją kanciarze.

Teraz to ja wyczuwam kant.

– Ile prawdy było w tych zapewnieniach doktora Cantillona?

Starszy pan trze zaczerwienioną powiekę oka, które ma kolor wodnistego błękitu, i głośno wzdycha w zamyśleniu.

– Chetwyndowie-Pittowie mu wierzyli, a dla tej opowieści to najważniejsze. Zgodzili się na jego propozycję, by szkolić Norę i Jonah, chociaż w tym właśnie punkcie relacja doktora zaczyna się rozmiąć z wersją lady Albertiny. Według spisanych przez nią wspomnień Léon Cantillon przyrzekł, że zabierze rodzeństwo tylko na kilka miesięcy. Natomiast Cantillon twierdzi, że Chetwyndowie-Pittowie oddali mu bliźnięta pod kuratelę bez żadnych doprecyzowanych terminów czy ograniczeń geograficznych. Które z nich mówi prawdę? Tego nie wiem. Prawda zwykle zmienia się już po fakcie, nie uważa pani? Wiemy natomiast na pewno, że Léon Cantillon zabrał rodzeństwo najpierw do Dover, stamtąd przepłynął z nimi do Calais, przejechał przez ogarniętą wojną Paryż, udał się dalej do Marsylii, a potem popłynął parowcem do Algieru. Lady Albertina mówi o tej podróży: „porwanie, ni mniej, ni więcej”, ale kiedy z mężem odkryli, jak się sprawy mają, było już, że tak powiem, po ptakach. Repatriacja niepełnoletnich nawet dzisiaj jest piekielnie trudna. A w tamtych czasach, kiedy szesnastolatki uważani byli w większości spraw za dorosłych, i kiedy do tego wojna światowa właśnie weszła w apogeum, a na dodatek w grę wchodziło francuskie prawodawstwo, można było zapomnieć. Rodzeństwo Grayerów przepadło.

Jednego nie rozumiem.

– Cantillon zabrał ich wbrew ich woli?

Mina Freda Pinka mówi: „Raczej mało prawdopodobne”.

– Co by pani wybrała? Życie sieroty z gminu na rządzonych przez

Torysów mokradłach Fens w ogarniętej wojną Anglii czy życie ucznia sztuk okultyzmu pod gwiazdami algierskiego nieba?

– To zależy, czy wierzyłabym w okultyzm.

– Oni wierzyli. – Fred Pink popija swoje piwo. – Sally też.

I gdyby nie wierzyła, myślę, nie bawiłaby się nocą w pogromczynię duchów w nieznanym odludnym zaułku. I cokolwiek się z nią stało, nie stałoby się. Ale albo ugryzę się w język, albo rozmowę już szlag trafił.

– Czyli rodzeństwo zostało w Algierii?

– Owszem, zostało. Nora i Jonah już wcześniej znali telepatię. Jakie inne moce mogli teraz osiąść odpowiednio pokierowani? Z Léona Cantillona był niezły cwaniak, nie ma co do tego wątpliwości, ale niezły cwaniak może odwalić kawał dobrej roboty. – Fred Pink znowu spogląda na zdjęcie Cantillona. – Zabrał bliźniaki do Sajjida Albinosa z Aït Arif. Już o nim wcześniej wspominałem. Sajjid był wyznawcą gałęzi okultyzmu zwanej *la Voie Ombragée*, Droga Cienia, i mieszkał w „siedlisku o wielu izbach” nad wartkim strumieniem w „przesmyku tajemnej doliny”, jeden dzień drogi od Algieru. I to w zasadzie wszystkie informacje, jakich udziela nam Cantillon. Sajjid przyjął tę parę dziwnych bliźniaków z obcego kraju – którzy, niech pani nie zapomina, nie mówili jeszcze wtedy słowa po arabsku – jako uczniów w swoim domu, musiał więc coś w nich dostrzec. Cantillon zaś powrócił do swoich obowiązków w szpitalu Legii Cudzoziemskiej w Algierze, chociaż raz na dwa tygodnie wyprawiał się do Sajjida, żeby sprawdzać stan postępów swoich młodych podopiecznych.

Pod oknami pubu jakaś kobieta wrzeszczy:

– Najpierw włącza się kierunkowskaz, pajacu! – I samochód odjeżdża.

– Panie Pink – mówię – jeśli mam być szczerą, ta historia wydaje

się bardzo odległa od sprawy zniknięcia mojej siostry.

Fred Pink potwierdza skinieniem głowy i marszczy brwi, patrząc na zegar na ścianie: dwudziesta czternaście.

– Proszę dać mi czas do dziewiątej. Jeśli do dziewiątej nie połączę tego wszystkiego z pani Sally i moim Alanem, zamówię pani taksówkę. Słowo.

Chociaż nie uważam Freda Pinka za oszusta, to jednak jestem przekonana, że wymyśla niestworzone historie. Z drugiej strony moje własne poszukiwania przyczyny zniknięcia Sally doprowadziły mnie donikąd, po tylu latach prób. Może sam fakt, że Fred Pink mnie wyśledził, to podpowiedź, że muszę szukać tropów w miejscach mniej oczywistych. I że muszę zacząć już teraz.

– Zgoda. Do dziewiątej. Czy przekazywanie energii od duchów osób zmarłych znalazło się w programie nauczania Sajjida, jak Cantillon obiecał lady Albertinie?

– Ma pani talent do zadawania pytań, które trafiają w sedno. Brawo. – Fred Pink wyjmuje paczkę miętowych tic taców, wytrząsa trzy, proponuje mi jednego – odmawiam – i wrzuca wszystkie trzy do ust. – Nie. Léon Cantillon skłamał Chetwyndom-Pittom o seansach spirytystycznych. Myślę, że doskonale wiedział, że seanse są niemal zawsze zwykłym kantem. Kiedy człowiek umiera, jego dusza przekracza Zmierzch między życiem a Morzem Pustym. Podróż zajmuje czterdzieści dziewięć dni, ale nie ma tam, że tak powiem, Wi-Fi, więc nie można przesyłać żadnych komunikatów. W żadną stronę. Osoby podające się za medium mogą same siebie przekonywać, że słyszą głosy zmarłych, ale nie słyszą. To niemożliwe.

To już jakiś bełkot.

– Bardzo dokładna liczba. Czterdzieści dziewięć dni?

Fred Pink wzrusza ramionami.

– Prędkość dźwięku też jest bardzo dokładną liczbą. Podobnie

jak liczba  $\pi$ . I jak wzory chemiczne. – Fred Pink rozgryza tic taki. – Była pani kiedyś w górach Atlas w północnej Afryce? – Kręcę głową. – Ja byłem, proszę mi wierzyć lub nie, zaledwie kilka lat temu. Dzięki trzem tysiącom funtów, które wygrałem na zdrapcę. W Algierii trzy tysiące funtów wystarczają na baaaardzo długo, jeśli człowiek uważa na drobnych złodziei i naciągaczy, którzy tylko czekają, żeby go orznąć. Te wypiętrzone skalne masywy, suche niebo, gorący wiatr... och, cały Atlas... Ta jego inność, że tak powiem. Nigdy tego nie zapomnę. Coś przestawia się człowiekowi w głowie, kiedy siedzi tam dostatecznie długo. Nic dziwnego, że hipisi i im podobni w latach sześćdziesiątych jeździli tłumnie do miejsc takich jak Marrakesz. Miejsca zmieniają ludzi, pani Timms, a nas, ludzi północy, pustynia zmienia tak bardzo, że nie rozpoznałyby nas własne matki. Dzień po dniu angielskość rodzeństwa powoli zanikała. Nauczyli się trochę arabskiego od innych uczniów Sajjida. Jedli chubz, humus i figi. Jonah zapuścił brodę. Nora nosiła chustę na głowie jak porządna muzułmańska dziewczyna. A sandały i dżalabija wydawały się im tam bardziej sensowne niż trzewiki, spinki do mankietów, halki i Bóg wie co jeszcze. Jak pisze Cantillon, kalendarz przestał mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Minał rok, dwa lata, trzy. Posiedli arkana okultyzmu i tajemne nauki, na które nie ma angielskiej nazwy, sprawy, których nie zgłębi nawet jeden umysł na sto tysięcy, czy też nie mógłby ich zgłębić, nawet gdyby była po temu okazja. Jedynym źródłem kontaktu z innym światem był dla rodzeństwa doktor Cantillon, ale kiedy przynosił Norze i Jonah wieści z tego innego świata – o rzeziach we Flandrii, na Gallipoli, w Mezopotamii; o politycznych decyzjach Westminsteru i Berlina; o zatonięciu „Lusitanii” – to wszystko brzmiało jak wydarzenia, o których czytali gdzieś, przed wieloma laty. Nierzeczywiste. Dla bliźniąt prawdziwym domem była ich

dolina. Ich ojczyzną była Droga Cienia. – Fred Pink drapie się po swędzącej szyi, cierpi na łagodną łuszczycę, i jego wzrok biegnie gdzieś za moją głowę, aż do oświetlonego księżycowym blaskiem siedliska w górach Atlas.

Zegar z popękana tarczą mówi: dwudziesta osiemnaście.

– Jak długo tam byli?

– Do kwietnia tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Ich pobyt zakończył się równie nagle, jak się zaczął. Pewnego dnia Cantillon odwiedził Sajjida i mistrz powiedział mu, że przekazał bliźniętom całą wiedzę, którą mógł się podzielić. Według Sajjida nadszedł czas, by cały wielki świat był odtąd ich mistrzem. Ale co to dokładnie znaczyło? Wielki świat, czyli co? Anglia niespecjalnie ciągnęła którekolwiek z ich trójki. Z pewnością Chetwyndowie-Pittowie nie przywitaliby ich serdecznie w Swaffham Manor. Irlandia rodziła się w bólach i szykowała do straszliwej wojny domowej. Francja padła na kolana, jak większość Europy, złote lata Algierii jako wojennego portu już minęły, a Léon Cantillon, któremu zdecydowanie łatwiej przychodziło wydawanie pieniędzy niż ich zarabianie, teraz nagle musiał wszędzie ciągnąć za sobą ogon w postaci dziwnego rodzeństwa Anglików na wpół zmienionych w Arabów. Jak by tu z ich znajomości okultyzmu zacząć czerpać środki na luksusowy styl życia? Nad tym właśnie głowił się nasz doktor. I co wymyślił? Stany Zjednoczone Ameryki, to wymyślił. W lipcu całą trójką popłynęli do Nowego Jorku, drugą klasą. Cantillon podawał się za wuja bliźniaków. Nora i Jonah byli głodni wielkiego świata, jak dzisiaj młodzież, która po maturze robi sobie rok przerwy od nauki i objeżdża nieznane kraje. Wynajęli kamienicę na Klinker Street w Greenwich Village.

– Znam tę ulicę bardzo dobrze – mówię. – Na Klinker Street mieści się nowojorska redakcja „Spyglassa”.

- Co pani powie? – Fred Pink wypija łyk piwa i tłumii beknięcie.
  - Przepraszam. Świat jest mały.
  - W jaki sposób zarabiali w Ameryce na życie?
- Fred Pink patrzy na mnie znacząco.
- Organizowali seanse spirytystyczne.
  - Ale sam pan powiedział, że seanse to jedno wielkie oszustwo.
  - Owszem, zgadza się. I choć nie zamierzam tutaj bronić Cantillona ani bliźniaków, szanowna pani, to jednak nie wciskali ludziom swoich usług jak zwykli nagabywacze. Bo Nora i Jonah umieli czytać w myślach, czy też je „podśluchiwać” u większości spotkanych ludzi. A to już nie było zwykłą oszukańczą sztuczką. To był ten ich szósty zmysł, jakby wyjątkowo wrażliwy słuch. Potrafili przetrząsać myśli swoich klientów i widzieli to, o czym sami klienci w zasadzie nie mieli pojęcia. Nora i Jonah wiedzieli, co pogrążeni w żalobie najbardziej chcą usłyszeć i jakie słowa najlepiej ukoją ich ból – i właśnie to im mówili. Zmyślali tylko, że słowa te pochodziły od ich ukochanych zmarłych. Można by się upierać, że to wręcz jeszcze większa podłość, a nie jakiegokolwiek usprawiedliwienie, i może to racja. Ale czy to, co robili, naprawdę aż tak się różni od dzisiejszych praktyk psychiatrów, psychoterapeutów i psycho-Bóg wie kogo jeszcze? Przez tę małą nowojorską kamienicę na Klinker Street przewinęło się mnóstwo, naprawdę mnóstwo ludzi nieszczęśliwych, zrozpaczonych, może nawet rozważających samobójstwo, a wychodzili z niej pewni, że ich ukochane osoby znajdują się teraz w lepszym miejscu, że sprawują nad nimi pieczę i że któregoś dnia znowu będą razem. Przecież właśnie to daje ludziom religia, czy mam rację? Czy potępi pani w czambuł każdego księdza, imama i rabina za to, że robi dokładnie to samo? Owszem, seanse spirytystyczne rodzeństwa Grayerów nie były prawdziwe, ale nadzieja, którą dawały, już tak. A czy to nie jest ważniejsze?



Oszustwo to oszustwo, myślę, ale odpowiadam tylko oszczędnym kiwnięciem głowy.

– Czyli występy w Nowym Jorku poszły dobrze?

Fred Pink również kiwa głową.

– Cantillon był obrotnym menadżerem. Kiedy Grayerowie już wyrobili sobie nazwisko, zmienił taktykę na dyskretne wizyty w domach zamożnych klientów. Żadnych rekwizytów, żadnego dymu, luster, ektoplazmy, planszy do wywoływania duchów, żadnych durnych głosów. Żadnych występów publicznych, nic prostackiego, żadnego teatrum. Po prostu cicha, spokojna, rzeczowa ulga w żałobie, rzecz by można. „Pana syn przekazuje to” i „Pani siostra przekazuje tamto”. Kiedy tylko Cantillon wyczuwał, że potencjalny klient wyłącznie szuka wrażeń, natychmiast mu odmawiał. A w każdym razie tak twierdził.

Z telewizora na dole dobiega meczowa przyśpiewka kibiców. Faluje, uspokaja, jest jakby z innego świata.

– Jeżeli rodzeństwo rzeczywiście miało tyle paranormalnych mocy, dlaczego zadowalało się sprzedawaniem bredni, żeby pocieszać bogatych Amerykanów?

Fred Pink pokazuje, że nie ma pojęcia – podnosi dłonie i chowa szyję w ramionach jak jakiś francuski komik.

– Mogę się domyślać, co kierowało Cantillonem – pieniądze – ale Nora i Jonah nie zostawili żadnych spisanych wspomnień, więc ktoś może wiedzieć? Może lubili myśleć, że są analitykami ludzkości, a seanse pozwalały im na dogłębne studia badawcze? Mieli też zamiłowanie do włóczęgi, a ich, nazwijmy to, „usługi spirytystyczne” stanowiły paszport ważny w dowolnym miejscu świata. Osobiste rekomendacje mogły wiele zdziałać i wuj Léon wraz z siostrzeńcem i siostrzenicą już nigdy więcej nie podróżowali drugą klasą. Wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego roku przenieśli się do Bostonu, jesienią już byli w Charlestonie, potem

w Nowym Orleanie, potem w San Francisco. Dlaczego mieliby na tym poprzestać? Wsiedli na liniowiec na Hawaje, stamtąd do Jokohamy, jakiś czas spędzili w Japonii, potem za cel obrali Pekin, potem Mandżurię, Szanghaj, Hongkong, Makau, Cejlon. W tym okresie zatrzymywali się w najlepszych hotelach i rezydencjach wdzięcznych bogaczy. Bombaj, Delhi. Rok czy dwa w Indiach Brytyjskich, czemu nie? Wakacje w górskich kurortach Indii. Potem Aden, Suez, Kair, Cypr, Konstantynopol, Ateny. Zima w Rzymie, wiosna w Wiedniu, lato w Berlinie, Boże Narodzenie w Paryżu. W swojej książce Cantillon opisuje, jak bliźnięta poznawały świat i doskonaliły w podróżach swoją sztukę, „jak egzotyczne ptaki zatrzymując się na krótki pobyt wśród mieszkańców tego miasta, czy wioski, dokąd akurat trafiły” – Nora odrzuciła ni mniej, ni więcej, tylko sześć propozycji małżeństwa, a i jej brat bez wątpienia zabawiał się własnymi romansami i podbojami – zawsze jednak w podróży zmierzali ku zachodowi, aż pewnego deszczowego dnia w maju tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku pociąg z Dover wjechał na Victoria Station. Grayerowie i ich opiekun pojechali stamtąd taksówką do pewnego domu przy Queen’s Gardens, eleganckiej zielonej ulicy w dzielnicy Bayswater.

– Na seansach spirytystycznych zarobili na pięć lat luksusowych podróży po świecie?

– Zdywersyfikowali nieco portfolio po wyjeździe ze Stanów. Jako uczniowie Drogi Cienia posiadli sztukę swazji. Pospolicie zwaną również „kontrolą umysłu”. Być może domyśla się pani, co robić, żeby taka umiejętność przynosiła zyski...

Udaję, że przyjmuję jego słowa na wiarę:

– Gdyby „swazja” naprawdę istniała jako sztuka, można by poprosić pierwszego z brzegu milionera, żeby wypłacił dla nas sporą sumę z banku.

Mina Freda Pinka mówi, że zgadłam.

– A potem wykorzystać kolejną sztukę Drogi Cienia – redakcję – żeby wymazać z pamięci hojnego dobroczyńcy każdy wystawiony na nas czek. Jedni nazywają to zbrodnią doskonałą, inni sztuką przetrwania, socjalista określiłby to jako redystrybucję dóbr. – Fred Pink wstaje. – Mogę skoczyć do toalety? Piwo to był błąd. Moja prostytutka pierwszą młodość ma już za sobą...

Wskazuję drzwi.

– Nigdzie się nie ruszam. – Na razie, dodaję w myślach.

– Nie pije pani swojego soku?

Patrzę na czerwoną breję.

– Jakoś... nie smakuje mi.

– Przyniosę pani coś innego. Słuchanie wysusza organizm.

Popędzam go ruchem dłoni, żeby już poszedł.

– Nie, nie ma potrzeby.

Fred Pink udaje, że robi smutną minę.

– Oj, nalegam.

– Trochę później.

Kiedy już zniknął, wyłączam cyfrowy dyktafon. Wszystko jest na nim nagrane – chociaż nie sądzę, żebym chciała to kiedyś jeszcze raz przesłuchać. Tylko jakiś żalosny zwolennik teorii spiskowych albo ktoś chory psychicznie mógłby uważać, że ta transpacyficzna opowieść o Norfolku, Dublinie, Algierii, Ameryce i Tajemniczym Oriencie łączy się logicznie z sześciorgiem studentów, którzy zniknęli w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku. Boże, kusi mnie, żeby się wymknąć, teraz, kiedy jeszcze mam dużo pociągów do Londynu. Tak naprawdę, co by mi Fred Pink zrobił, gdybym teraz związała? Wysłałby mi wkurzonego maila? Jestem dziennikarką, dostaję dwadzieścia wkurzonych maili na godzinę. Fred Pink przebywał przez dziewięć lat w stanie śpiączki, jeszcze więcej czasu spędził na zamkniętym oddziale gdzieś pod Slough,

i najwyraźniej wierzy w czarną magię. Ma zrypany mózg. Ale nie. Dałam mu słowo, że zostanę do dziewiątej, więc zostaję. Teraz jest dwudziesta dwadzieścia siedem. Ostatni esemes był od Avril, tak jak myślałam.

Normalnie światowe życie! Ale serio mam nadzieje, że pan P. to nie strata czasu. Daj znak, jeśli będziesz pilnie potrzebowała pomocy w zakończeniu spotkania.

Odpowiadam:

Jeszcze nie wiem, co myśleć o panu P, pewnie wroce pociągiem ok. 21:30. O 22 na Paddingtonie, w domu przed 23, mam nadzieje. Buzi. F.

WYŚLIJ. Nie pamiętam, żebym jadła kolację, więc pewnie nie jadłam. Schodzę na dół do baru, żeby zobaczyć, czy jest cokolwiek do jedzenia. Bar wygląda jak scenografia, i to do filmu z dość niskim budżetem. Po wyjściu niewidomego gościa z psem populacja The Fox and Hounds spadła do czterech osób. Na plazmowym ekranie telewizora czerwona drużyna gra z niebieską, ale nie wiem, kto z kim. Avril wie, że MUN to Manchester United, a ARS to Arsenal, ale ja jestem w tym beznadziejna. Akurat wykonują rzut różny i barmanka czeka kilka sekund, żeby zobaczyć, jak strzelą – gol nie pada – zanim nieśpiesznie przechodzi na mój koniec baru. Pytam, czy dostanę jakieś chipsy albo orzeszki, na co ona robi teatralnie długą pauzę, żeby zilustrować swoją pogardę dla lesb z londyńskich mediów.

– Chipsy solone albo serowo-cebulowe, prażone orzeszki ziemne albo nerkowce w miodzie. To wszystko.

Boże, czuję się rozpieszczana.

– Dwie paczki nerkowców i tonik light z cytryną proszę.

– Mamy tylko prawdziwy tonik. Nie light.

– W takim razie prawdziwy tonik. Bardzo dziękuję.

Barmanka zrywa paczkę orzeszków ze stojaka, chwyta butelkę toniku z półki niżej, otwiera ją, bierze szklankę, wrzuca do niej podeschniętą cząstkę cytryny i nabija sumę na kasę.

– Trzy funty czterdzieści pięć pensów. – Podaję jej pieniądze. – Ona pyta: – Do jakiej gazety pani pisze?

– Do „Spyglassa”. To czasopismo, nie gazeta.

– Pierwsze słyszę.

– W Stanach jest bardziej popularny niż tutaj.

– Coś jak „Private Eye”, tak? Taki satyryczny?

– Nie, nie bardzo – odpowiadam. – Nie aż tak bardzo satyryczny.

– A co Amerykanów w ogóle obchodzi szóstka studentów, którzy zniknęli dziewięć lat temu w małym miasteczku w Anglii?

– Nie jestem pewna, czy ich obchodzi. O tym zadecyduje moja wydawczyni. Ale mnie ciekawi ta historia. – Zastanawiam się, czy powiedzieć barmance o Sally, jednak postanawiam nie mówić. – Ciekawość świata to mój zawód.

– To wszystko wydarzyło się już tak dawno. – Barmanka wzdycha, rzuca wzrokiem w stronę męskiej toalety i nachyla się na tyle blisko, że pod warstwą podkładu widzę na jej twarzy dowody wyczerpującego życia. – Rozmowa z panią nie robi Fredowi dobrze. Takie rozdrapywanie ran. On się czuje winny zniknięcia Alana, a to naprawdę dowodzi już u niego jakiejś choroby mózgu. Fred spędził sześć lat w szpitalu Dawkinsa zamknięty ze świrami, wiedziała pani o tym?

– Pan Pink otwarcie mi powiedział o swoich chorobach, owszem.

Szczęka barmanki żuje fantomową gumę.

– Ale na razie myśli, że jest inspektorem Morseem, który rozwiąże

wielką zagadkę i może odnajdzie gdzieś żywych Alana i całą Szóstkę z Archiwum X. A to już trzeba być nie wiem jakim świrem. „Szóstka z Archiwum X”, jakby to wszystko wydarzyło się w jakimś idiotycznym serialu. Ale nie, to się wydarzyło naprawdę. I cały czas boli. Lepiej zostawić to w spokoju. Od Freda odeszła żona. Z Jackie była święta kobieta, ale kiedy Fred pojechał sobie do Algierii, tego już nie wytrzymała i przeniosła się z powrotem na Isle of Man. Teraz Fred snuje te wszystkie teorie o Illuminati, o Świętym Graalu, o Atlantydzie i co tydzień o innej bzdurze. A pani – barmanka splota na piersi muskularne ręce, a w tym samym momencie Fred wychodzi z męskiej toalety w rogu sali – pani na tym wszystkim żeruje. I tylko dolewa oliwy do ognia. Fred! – Prostuje się i uśmiecha do Freda Pinka, jak gdyby nigdy nic. – Twoja nowa przyjaciółka opowiadała mi właśnie, jakimi gnidami potrafią być dziennikarze i do czego się zniżą, żeby zdobyć temat. A rzucić ich w cholerę piraniom na pożarcie. Niech jedno ścierwo je drugie. Może lampkę brandy, co?

\* \* \*

– Przepraszam panią za Maggs – mówi Fred Pink, kiedy siedzimy z powrotem na piętrze. – Nie powinienem jej mówić, że jest pani z prasy. Tutejsi miejscowi woleliby zapomnieć o Szóstce z Archiwum X. Od tej sprawy za bardzo wieje horrorem czy Trójkątem Bermudzkim. Spadają ceny domów.

Rozgryzam garść nerkowców w miodowej polewie. Jezu, jakie pyszne.

– „Gnida” to jedna z przyjemniejszych nazw, jakimi mnie obdarzono, proszę mi wierzyć. Ale wróćmy do doktora Cantillona i rodzeństwa Grayerów. Po całych latach podróży po świecie zamieszkali w londyńskim Bayswater.

Fred Pink kręci kieliszkiem brandy, rozlewając trunek po

ściankach.

– Tak, mamy rok tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty. Nora i Jonah mają dwadzieścia sześć lat, a „wuj Léon” pięćdziesiąt. Przez jedenaście lat Cantillon był ich agentem, opiekunem, PR-owcem, księgowym. Teraz chce zostać ich biografem, czy też nawet kimś więcej – ich Janem Chrzcicielem. Bo widzi pani, powziął decyzję, że już czas publicznie zabrać głos i przekonać świat, że spirytyzm i nauka mogą z pełnym szacunkiem kroczyć ramię w ramię. Pieniądze i wygodne życie już mu nie wystarczają. Jego nową ambicją jest powołanie do życia nowej dyscypliny nauk – psychozoteryki – która za swojego Darwina, swojego Freuda, swojego Newtona będzie miała właśnie doktora Léona Cantillona. To jednak poważnie poróżniło go z Norą i Jonah. Bo widzi pani, oni już się opili wielkiego nieznanego świata. Teraz chcieli się ukryć w jakimś spokojnym miejscu i zbadać, które ślepe zaułki na Drodze Cienia mogą okazać się mimo wszystko nie takie ślepe. Więc zapowiedzieli Cantillonowi, że nie, nie będzie żadnej biografii, żadnego wielkiego wyjawienia i żadnych więcej publicznych występów. Posłuszny wuj Léon zapewnił rodzeństwo: „Wszystko będzie absolutnie w zgodzie z waszą wolą”. Ale posłuszny wuj Léon łgał jak pies. Większą część kolejnych dwóch lat spędził na pisaniu swojego exposé, *Wielkiego wyjawienia*. I nie zamierzał przy tym tradycyjnie odkurzać Europejskiej Listy Wiedźm i Czarowników, jak to czyniła większość książek o okultyzmie z tamtego okresu. Księga Léona Cantillona miała trzy części. W początkowej dokonywał pierwszego w dziejach spisania historii Drogi Cienia, od jej źródeł w wieku piętnastym po wiek dwudziesty. Część druga stanowiła biografię rodzeństwa Grayerów od lat w Swaffham Manor do powrotu bliźniąt do Anglii. Część trzecia była manifestem Międzynarodowego Towarzystwa Psychozoterycznego, które miało zostać utworzone

w Londynie, a w fotelu jego prezesa miał zasiąść doktor niech-pani-zgadnie-który.

W torebce byczy mój telefon. Na pewno Avril przysłała esemesa na moją odpowiedź. Jest dwudziesta czterdzieści pięć, zaczekam.

– Dlaczego Cantillon sprzeciwił się życzeniu Nory i Jonah?

– Nikt do końca nie wie. Jak podejrzewam, obrachował sobie, że kiedy wszystko już wyjdzie na jaw, kiedy wujek Tom Cobley i wszyscy inni będą obwieszczali początek Ery Psychozoteryki, bliźnięta zobaczą, że miał rację, i przystąpią do Towarzystwa. Jeśli tak właśnie sobie wykoncypował – Fred Pink wytrzępuje spomiędzy włosów kolejną porcję łupieżu – był w błędzie. W wielkim, tragicznym błędzie. Dwudziestego dziewiątego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku drukarze dostarczyli mu dziesięć skrzyń *Wielkiego wyjawienia*. Trzydziestego marca wysłał pocztą około siedemdziesięciu egzemplarzy do przeróżnych teozofów, filozofów, okultystów i stałych klientów w Anglii i za granicą. Mój egzemplarz książki – trzymam go w sejfie w miejscu, którego nikomu nie zdradzam – jest jednym z tych siedemdziesięciu. Wczesnym rankiem następnego dnia, trzydziestego pierwszego marca, policjant niby przypadkiem patrolujący tę okolicę szedł Queen's Gardens. Zobaczył, jak Léon Cantillon otwiera okno, nagusieńki jak niemowlak wychodzi na zewnętrzny parapet i krzyczy: „Umysł jest dla siebie Siedzibą, może sam w sobie przemienić Piekło w Niebiosa, a Niebiosa w Piekło”<sup>4</sup> – z Johna Milтона, jeśli jest pani ciekawa – po czym wyskoczył. Mógłby przeżyć, ale wylądował na ostro zakończonych prętach ogrodzenia. Może sobie pani wyobrazić tę masakrę. Niezła sensacja się z tego zrobiła. Koroner w orzeczeniu stwierdził śmierć za przyczyną niepoczytalności umysłowej, a „Westminster

---

4 John Milton, *Raj utracony*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (przyp. tłum.).



Gazette” relacjonowała potem uroczystości pogrzebowe. Jonah odczytał mowę pożegnalną, a Nora, „wzór skromnej dziewczyny w żałobie, ubrana w sięgającą do kostek suknię z czarnej krepy” – tak, nauczyłem się na pamięć – płakała z żalu po stracie opiekuna. Jonah powiedział reporterowi, że modlił się, by „dziwaczne urojenia” doktora Cantillona uzmysłowiły światu, jak niebezpieczne jest paranie się Czarną Magią. Dziekan Grimond byłby z niego bardzo dumny. Mijały tygodnie, tragiczna śmierć byłego lekarza z Legii Cudzoziemskiej przestała być prasową sensacją, a duży nakład niewysłanych nikomu *Wielkich wyjawień* egzemplarz po egzemplarzu spłonął w kominku Grayerów przy Queen’s Gardens.

Zastanawia mnie pewien zwrot:

– „Policjant niby przypadkiem patrolujący tę okolicę”?

Fred Pink popija swoją brandy.

– Strzeż się umiejętnego swazjonera.

Aby móc podążać za Fredem Pinkiem tym tropem rozrzuconych okruszków, trzeba całkiem wyłączyć własną przytomność umysłu.

– To znaczy, że swazjoner potrafi nakłonić człowieka do samobójczego skoku?

– Właśnie tak.

– Ale Cantillon, według pana opowieści, był dla Nory i Jonah lojalnym przyjacielem i opiekunem.

– „Był”. Czas przeszły. Ale potem zaczął zagrażać. Do tego był kimś w rodzaju apostaty. Okultyzmem rządzą takie same zasady jak każdym innym zakonem religijnym – czy też, tak naprawdę, jak każdą grupą ekstremistów. Wszystko ładnie, pięknie i „jesteśmy jedną wielką rodziną”, póki człowiek jest posłuszny, ale kiedy zacznie myśleć niezależnie, albo wygłaszać sądy niezgodne z nauką, czar pryska, kończy się bajka i zaczyna brutalna gra. Niezależnie od tego, czy Cantillona zmuszono do skoku, czy też

skoczył sam, ślad po rodzeństwie Grayerów zaciera się po artykule w „Westminster Gazette” i pozostaje niewyraźny przez cztery lata. Opuścili dom w Bayswater w maju tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku – odtworzyłem datę na podstawie relacji ich praczek – ale potem następuje wielka pusta przerwa. Dowiedziałem się, że być może widziano ich raz w Sainte-Agnès w Alpach Nadmorskich, w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku, znalazłem też jedną wzmiankę o „czytającym w myślach” rodzeństwie bliźniąt z Anglii w Rodezji w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku oraz niejaką „Miss Nore” i jej brata bliźniaka, wzmiankowanych w liście miłosnym napisanym na Fidżi w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym, ale nie znalazłem – jak to pani ujęła? – potwierdzenia z wielu źródeł. – Fred Pink bębni palcami o pękatą torbę. – Była pani bardzo cierpliwa, więc przeskoczę szybko do roli pani siostry, zanim zegar wybije dziewiątą.

– O dziewiątej będę musiała już iść.

– W sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku, zgodnie z katastrem lokalnego urzędu, Mr Jonah Grayer oraz jego siostra Miss Nora Grayer kupili Slade House znajdujący się niecałe dwieście jardów od tego pubu. W osiemnastym wieku Slade House był probostwem parafii Świętej Brianny. Dawno, dawno temu otaczały go lasy i pola, chociaż kiedy wprowadzili się do niego Grayerowie, Slade House był już otoczoną murami fortecą wśród morza domów z cegły w fabrycznym mieście, przez które, że tak to ujmę, więcej ludzi przejeżdżało, niż się chciało w nim zatrzymać. W okolicy było pełno robotników, wielodzietnych rodzin, Irlandczyków i osób podróżujących za pracą po kraju, pełno ludzi, którzy przyjeżdżali, wyjeżdżali i wyprowadzali się cichaczem w środku nocy. Dla Nory i Jonah taka sytuacja była idealna.

– Dlaczego?

– Bo potrzebowali szczurów do swoich eksperymentów.

Widzę, jak wskazówka w wykrywaczu świrów przesuwana się coraz bliżej czerwonego pola.

– Szczurów... do jakich znowu eksperymentów?

Okulary Freda Pinka odbijają i zaginają brudną jarzeniówkę.

– Któregoś dnia, całkiem niedługo, umrę. Mam siedemdziesiąt dziewięć lat. Palę jak smok, ciśnienie mam fatalne. Maggs też umrze. Ktokolwiek przysłała pani te esemesy, też umrze. I pani umrze. Śmierć to jedyne, co w życiu pewne, prawda? Wszyscy o tym wiemy, ale mamy w genach zakodowany lęk przed śmiercią. Ten lęk stanowi nasz instynkt samozachowawczy i dobrze nam służy, kiedy jesteśmy młodzi, na starość jednak niestety jest dla nas przekleństwem.

– Niewątpliwie ma pan rację. I co w związku z tym?

– Nora i Jonah Grayerowie nie chcieli umierać. Przenigdy.

Akurat, jakby na sygnał, w telewizorze na dole pada gol i radosne wycie kibiców przypomina głośne gwizdanie czajnika. Zachowuję poważną, profesjonalną minę.

– Jak my wszyscy.

– Owszem. Marzenie stare jak świat, prawda? Życie wieczne. – Fred Pink zdejmując okulary i wyciera je o koszulę. – Dlatego wynaleziono religię i dlatego religia się utrzymuje na świecie. Czy jest coś cenniejszego niż wieczne życie? Władza? Złoto? Seks? Milion funtów? Miliard? Tryliard? Tak naprawdę? Za to wszystko nie kupi się nawet jednej dodatkowej minuty, kiedy na człowieka przychodzi kolej. Nie, wymigiwanie się od śmierci, od starzenia się, od domu starców, oszukiwanie lustra i unikanie twarzy odkopanego trupa, jak moja, którą pani też kiedyś zobaczy w lustrze, i to szybciej, niż się pani wydaje – to dopiero jest gra warta świeczki. Jedyna warta prawdziwego wysiłku. A czego

chcemy, o tym stale marzymy. Przez wieki zmieniają się sceniczne rekwizyty, ale marzenie pozostaje niezmiennie: kamień filozoficzny; magiczne źródła w odludnych dolinach Tybetu; porosty, które spowalniają rozkład naszych komórek; zbiorniki płynnego czegoś tam, co zamrozi nas na kilka wieków; komputery, które już do końca czasu przechowują naszą osobowość jako system zer i jedynek. Nazywając rzecz po imieniu: nieśmiertelność.

Wskazówka ściwiometru utknęła na „11”.

– Rozumiem.

Kiedy Fred Pink się uśmiecha, wykrzywia usta do dołu.

– Tylko szkopał w tym, że nieśmiertelność to humbug, tak?

Upijam łyk mojego toniku w wersji nie-light.

– Skoro już pan pyta, owszem, tak uważam.

Fred Pink zakłada z powrotem okulary.

– A jeśli czasem, bardzo rzadko, może być prawdą?

I tak oto Fred Pink udowadnia tym samym, że wziął rozwód nie tylko ze swoją żoną, ale również z rzeczywistością. Dwudziesta pięćdziesiąt dwie.

– Gdyby ktokolwiek odkrył, jak nie umrzeć, nie sądzę, by ta wiedza zdołała się długo utrzymać w tajemnicy.

Teraz z kolei Fred zachowuje się, jakby próbował mnie ułagodzić.

– Ach tak? A dlaczego?

Tłumię zirytowane westchnięcie.

– Dlatego że wynalazcy czy badacze pragnęliby sławy, uznania przez świat ich dokonań, nagród Nobla.

– Nie. Pragnęliby nie umierać. A nie spełniliby pragnień, gdyby upublicznili swój triumf. Niech pani pomyśli: co dzisiaj podsyca wojny na świecie? – Fred Pink wylicza na palcach: – Ropa i diamenty w Afryce Zachodniej; spory co do prawowitych

dziedziców Proroka na Śliskim Wschodzie; oraz żądza władzy rosyjskiego cara, który zasiada na Kremlu w zasadzie nagi. Proszę bardzo, to już trzy przyczyny. Jeśli ludzie z tak lichych powodów wyrzynają ochoczo dziesiątki tysięcy istnień, to czegoż nie zrobiliby watażkowie, oligarchowie i elity, żeby zagarnąć dla siebie ów ograniczony zapas Wiecznego Życia? Rozpętałiby, proszę szanownej pani, trzecią wojnę światową. Naszego dzielnego wynalazcę zastrzeliliby maniacy, zginąłby przysypany gruzem w bunkrach albo w wojnie jądrowej. A jeśli zapasy Wiecznego Życia nie są ograniczone, perspektywy stają się jeszcze mroczniejsze. Owszem, wszyscy przestalibyśmy umierać, ale nie przestalibyśmy się rozmnażać. Prawda? Ludzie są jak psy, proszę pani – pani akurat o tym wie. Za dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt lat na naszej zapomnianej przez Boga planecie tłoczyłoby się nas trzydzieści, czterdzieści, sto miliardów. Tonęlibyśmy we własnym gównie, chociaż nadal walczylibyśmy ze sobą o ostatni Gorący Kubek w ostatnim supermarkecie. Rozumie pani? Tak czy tak, sprawa przegrana. Jeśli ktoś jest na tyle bystry, żeby odkryć nieśmiertelność, jest też na tyle bystry, żeby zapewnić sobie jej własne źródółko i nie puszczać pary z gęby. Tak jak rodzeństwo Grayerów, na strychu, niedaleko stąd, osiemdziesiąt lat temu. – Fred Pink odchyła się na krześle, jak człowiek, który dowiódł, że ma rację.

Jego wiara jest niezachwiana i przerażająca. Uważnie dobieram słowa.

– W jaki sposób rodzeństwo Grayerów osiągnęło to, do czego według pana doszło?

– Dzięki czterem przełomowym zdobyczom psychoterapii. Najpierw udoskonalili Lukę. Luka to niewielka przestrzeń, na którą nie oddziałuje czas, dlatego świeca nigdy się tam nie wypala, a ciało nie starzeje. Po drugie, udoskonalili trawersję, której

nauczył ich Sajjid, a którą newage'owe błazny nazywają projekcją astralną – żeby mogli wychodzić poza własne ciało na tak długo, jak chcą. Po trzecie, opanowali długotrwałą sważę, żeby ich dusze mogły przenosić się do ciała obcej osoby i je zajmować. Co oznacza, że rodzeństwo Grayerów mogło teraz swobodnie opuszczać swoje ciała, zostawiając je w Luce, którą stworzyło na strychu Slade House, i zamieszkiwać ciała obcych ludzi w świecie zewnętrznym. Na razie podąża pani za tym, co mówię?

Tak, Fred Pink jest totalnym czubem.

– Zakładając, że dusze istnieją.

– Dusze istnieją w takim samym stopniu jak woreczki żółciowe, proszę pani. Niech mi pani wierzy.

– Dlaczego w takim razie nikt do tej pory nie trzymał duszy w rękach ani żadnej nie prześwietlił rentgenem?

– A czy da się prześwietlić umysł? Głód? Zazdrość? Czas?

– Rozumiem. Czyli dusze mogą sobie latać jak Dzwoneczek z Piotrusia Pana?

W ścianie bulgocze coś w rurze.

– Pod warunkiem, że dusza jest duszą osoby Obdarowanej.

– Jakiej?

– Obdarowanej. Z umiejętnościami parapsychoicznymi albo z ich potencjałem. I w pewnym sensie tak, jak Dzwoneczek, ale jak Dzwoneczek, która, jeśli ma kaprys, może przez wiele lat żyć w pani umyśle bez pani zgody, która włamie się do pani mózgu, przejmie kontrolę nad wszystkim, co pani robi, i będzie się zabawiać pani wspomnieniami. Albo panią zabije.

Mój telefon znowu wibruje.

– Czyli rodzeństwo Grayerów to para globtroterów, którzy łapią sobie stopa w ciałach gospodarzy, a w tym czasie ich własne ciała pozostają w hibernacji w jakiejś bańce w Slade House, gdzie niezmiennie obowiązuje rok tysiąc dziewięćset trzydziesty

pierwszy?

Fred Pink wychyla brandy do końca.

– Tysiąc dziewięćset trzydziesty piąty. Udoskonalenie ich modus operandi wymagało kilku lat – oraz kilku szurów laboratoryjnych, że tak powiem. Istnieje jednak pewien haczyk. Ten system nie może działać bez prądu. Działa zasilany psychowoltażem. Psychowoltażem Obdarowanych. Co dziewięć lat rodzeństwo Grayerów musi system doładowywać. Muszą zwabiać gościa odpowiedniego typu do... swego rodzaju bańki rzeczywistości, którą nazywają antyfoną. O właśnie, antyfona jest ich czwartą przełomową zdobyczą. Kiedy już zwabiają sobie gościa, muszą nakłonić go do zjedzenia albo wypicia destruktinu. Destructin to związek chemiczny, który obkurcza i kruszy sznur łączący duszę z ciałem, żeby duszę można było wyekstrahować tuż przed śmiercią ciała.

Co mam powiedzieć staremu człowiekowi, który ma urojenia i który oczekuje, że będę wstrząśnięta historyczną odlotowością jego objawień?

– To wszystko brzmi bardzo zawile.

– O, rodzeństwo sprawia, że to wszystko staje się łatwe. To forma sztuki.

Pieprzenie oszołoma, nie forma sztuki. Dwudziesta pięćdziesiąt sześć.

– Ale co to ma wspólnego z moją siostrą?

– Była Obdarowana, proszę pani. Rodzeństwo Grayerów zabiło ją dla jej psychowoltażu.

A jednak. Czuję się tak, jakby przywalił mi pięścią. Chcę mu oddać. Fred Pink wciągnął Sally w swoją fantazję pojeba.

– Wiem, że nie chodziło im o Alana – ciągnie mój rozmówca – poznałem też rodzeństwo pozostałej czwórki i nikt nie miał tej poświaty. Pani ją ma, więc wiem, że chodziło im o Sally.

Czuję wiele emocji naraz, zbyt splątanych ze sobą, żeby je dobrze rozpoznać, jak przeróżne składniki wirujące w blenderze.

– Nigdy nawet nie poznał pan Sally.

– O, ale jej przypadek nie pozostawia wątpliwości. Kiedy przeczytałem, co napisał jej lekarz z Singapuru, wiedziałem, że jej potencjał parapsychiczny...

– Hola, hola, kiedy co pan przeczytał?

– W Singapurze chodziła na terapię. Przecież musiała pani o tym wiedzieć.

– Oczywiście, że wiedziałam, ale pan, pan czytał raporty jej psychiatry?

– Owszem. – Fred Pink wydaje się zaskoczony moim zdenerwowaniem. – Musiałem je przeczytać.

– Kto dał panu prawo do czytania dokumentacji medycznej Sally? I skąd miał pan do niej dostęp?

Fred Pink spogląda w stronę drzwi i ścisza głos:

– Dotarłem do niej z wielkim trudem, przyznaję, ale sumienie mam czyste. Gdyby ktoś powstrzymał Grayerów dziesięć lat wcześniej, proszę pani, mój Alan i pani Sally nadal by żyli. Ale nikt rodzeństwa nie powstrzymał. Bo nikt nie znał tej historii. Natomiast teraz ja ją znam i ja próbuję ich powstrzymać. To jest wojna. Na wojnie cel uświęca środki. Wojna jest celem uświęcającym środki. I proszę mi wierzyć lub nie, ja w tej niewidzialnej wojnie jestem tajemnym wojownikiem. Zatem tak – kropelka śliny leci na mnie z jego ust – nie mam najmniejszych wyrzutów sumienia, że grzebałem w zapiskach lekarzy Sally, z Singapuru i z Great Malvern. I dopiero łącząc jedno z drugimi...

Zaraz.

– Sally w Malvern nie chodziła do terapeuty. Uwielbiała Malvern.

Politowanie na jego twarzy jest niepokojąco szczere.



– Była tam nieszczęśliwa, droga pani. Dręczono ją bez litości. Chciała umrzeć.

– Nie – zaprzeczam – to absolutnie nieprawda. Powiedziałyby mi. Jesteśmy rodziną.

Fred Pink drapie się po udzie.

– O naprawdę poważnych sprawach rodzina często dowiaduje się ostatnia. Prawda, że zgodzi się pani ze mną?

Nie mam pewności, czy nie pije do mojej złożonej orientacji seksualnej. Freda Pinka może sporadycznie ogarniać szaleństwo, ale nie jest głupi. Biorę szklankę, żeby napić się toniku, ale szklanka jest już prawie pusta. Dwudziesta pięćdziesiąt siedem. Powinam się stąd zbierać. Już, w tej chwili. Naprawdę.

– Pani też jest Obdarowana. – Fred Pink wpatruje się w moje czoło. – Może to pani nazwać aurą, może nazwać przecuciem, ale psychowoltaż w pani aż huczy. Dlatego spotkaliśmy się tutaj, a nie na Slade Alley. Na Slade Alley otwiera się Szczelina Grayerów, która prowadzi do ich antyfony. Wyczuliby panią.

Poznałam już wystarczająco wiele osób z urojeniami, żeby wiedzieć, że tacy ludzie mają odpowiedź na każde logiczne zastrzeżenie – dlatego właśnie to urojenia – pytam jednak:

– Jeśli tym „wampirom duszy” chodziło tylko o Sally, po co porwały pozostałą piątkę? Gdzie jest Alan i reszta?

– Grayerowie nie chcieli mieć żadnych świadków. Alan i reszta zostali po prostu... – Fred Pink marszczy czoło, a grymas na jego twarzy dowodzi przeżywanego bólu. – Zgaszeni. Ich ciała wyrzucono w odstęp między antyfoną i naszym światem. Jak worki na śmieci zrzucone do zsypu. Jedyne, co w tym dobre, to że ich dusze mogły pójść dalej, podczas gdy dusza Sally została... przetworzona. Zjedzona.

Może w jakiejś części uważam, że logika potrafi jeszcze ocalić Pinka, a może jestem chorobliwie ciekawa jego psychozy. A może

i jedno, i drugie.

– Dlaczego policjanci nigdy nie przeszukali tego całego Slade House, jeżeli stoi tak niedaleko miejsca zniknięcia Sally i Alana?

– Po bombardowaniach w tysiąc dziewięćset czterdziestym ze Slade House zostały tylko gruzy. Niemiecka bomba spadła prosto na dom. Cranbury Avenue i Westwood Road odbudowano po wojnie.

Dwudziesta pięćdziesiąt dziewięć.

– A jak niby Sally „zwabiono” w dziewięćdziesiątym siódmym?

– Zwabiono ją do antyfony Slade House. Do jego kopii. Do teatrzyku cieni. Stworzonego na potrzeby preoperacji.

– A dlaczego zachowanych ciał Grayerów, spoczywających w Luce, nie zniszczyła bomba w czasie wojny?

– Ponieważ w samej Luce jest zawsze kilka minut po jedenastej wieczorem w sobotę dwudziestego szóstego października tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Czyli, że tak powiem, trwa tam sekunda, w której Luka zaczęła żyć. Gdyby mogła ją pani zobaczyć z zewnątrz, dla pani Grayerowie po prostu by przemknęli, pfuff, jakby widziani z pociągu przejeżdżającego z prędkością czasu. Jednak wewnątrz Luki ten moment trwa wiecznie. Jest tam bezpieczniej niż w najgłębszym schronie przeciwoatomowym w Górach Skalistych w Kolorado.

Barmanka Maggs ma rację. Karmię tylko szaleństwo smutnego, złamanego przez życie starszego człowieka. Mój telefon znowu brzęczy. Wskazówki zegara przesuwają się na dziewiątą. Słyszę, jak Maggs długo i głośno się śmieje. Jej śmiech przypomina dźwięk skrzypiec ze sceny dżgania pod prysznicem w *Psychozie*.

– No tak, to bez wątplenia teoria spójna i dopracowana w szczegółach. Ale...

– Ale to stek bredni, tak? – Fred Pink pstryka w kieliszek brandy. Szkło dźwięczy.

Wyłączam dyktafon.

– Nie wierzę w magię.

Fred Pink wydaje z siebie długi, rżący, głuchy charchot, który trwa, aż Fred opróżni płuca z tlenu.

– Szkoda, bo jest pani dziennikarką i w ogóle. Miałem nadzieję, że napisze pani wielki reportaż do „Spyglassa”. Zaalarmuje władze.

– Spogląda w mroczne okno. – Jaki dowód by panią przekonał?

– Dowód, który jest dowodem. A nie taki, który udaje dowód, a tak naprawdę jest tylko wiara.

– Aa. – Fred Pink bezmyślnie przygląda się swoim paznokciom poplamionym tuszem i tytoniem. To dobrze, że tak spokojnie przyjmuje odmowę. – Dowód, wiara. Takie słowa, tak?

– Przykro mi, że panu nie wierzę. Naprawdę. Ale nie wierzę, a teraz moja partnerka już czeka na mnie w domu.

Fred Pink kiwa głową.

– Cóż, obiecałem, że zamówię pani taksówkę, więc zamówię. Może i jest ze mnie świr, ale nadal jestem mężczyzną honorowym.

– Wstaje. – Wrócę migusiem. Niech pani przeczyta te esemesy. Ktoś się o panią martwi.

Już po wszystkim. Czuję pustkę. Avril przysłała co najmniej sześć esemesów.

Juz skonczylas, kocie?

Ugotowalam zupe z dyni

Zupa bedzie super, zanim pojde spac.

Kolejna wiadomość:

ostatni pociag do londynu:

00:12. Jedziesz nim?

To miłe, że Avril tak się troszczy, ale to trochę dziwne, wzięwszy pod uwagę, że jest dopiero dziewiąta. Chyba że to „jedziesz nim?” oznacza „czy nim pojedziesz?”. Otwieram trzecią wiadomość:

ok, teraz juz sie martwie, probowalam dzwonic  
komunikat POZA ZASIEGIEM. gdzie jestes?  
nocujesz w hotelu? ZADZWON. caluje

W hotelu? Avril generalnie nie widzi od razu wszystkiego w czarnych barwach. Dlaczego miałabym nocować w hotelu? A jeśli może przysyłać esemesy, dlaczego nie może zadzwonić? Czy coś się dzieje z siecią? W kolejnym esemesie czytam:

Kocie jest 3:00 rano, wiem ze jestes duza dzielna  
dziewczynka, ale ZADZWON i powiedz, ze nic ci nie jest,  
bo nie zasne.  
Jutro slub Lotty, pamietasz?

Trzecia rano? O czym ona mówi? Na mojej komórce widzę: 21:02. Popękany zegar pokazuje to samo. Avril nigdy się nie upija i nigdy nie pali trawy. Dzwonię na jej komórkę... i dostaję komunikat: POZA ZASIĘGIEM. Fantastycznie. W Vodafone pewnie musieli zacząć jakieś prace techniczne w sieci już po tym, jak przyszedł esemes od Avril. Przewijam w dół do piątej wiadomości.

Freya, gniewasz sie o cos? Jesli tak, nie rozumiem. sorry,  
nie moglam spac, nie moze myslec, strasznie sie martwie.  
Slub Lotty zaczyna sie w poludnie nie wiem, czy mam isc,  
czy dzwonic na policje. nie obchodzi mnie, co sie stalo  
i czy jestes z kims, tylko BLAGAM zadzwon.

Popieprzone dowcipy nie są w stylu Avril, ale jeśli to nie dowcip, to chyba miała zwarcie w głowie. „Czy jesteś z kimś”? Żyjemy w monogamii. Od pierwszego dnia. Avril doskonale o tym wie. Doskonale. Usiłuję zadzwonić do naszego sąsiada, Toma, ale ciągle jestem rzekomo POZA ZASIĘGIEM. Może w barze jest jakiś automat na kartę – w The Fox and Hounds nadal panują lata osiemdziesiąte. Albo zapytam humorzystą krowę Maggie, czy mogę skorzystać ze stacjonarnego, jeżeli zapłacę. Czytam ostatniego esemesa:

powiedziałam Lotcie, że masz mononukleozę i zostajemy w domu. dzwoniłam do nicka i beryl, ale nie mają od ciebie wieści. policja kaze czekać 48 godz zanim się zgłosi zaginięcie.

BLAGAM FREYA ZADZWON DO MNIE  
JESTEM W TOTALNEJ HISTERII!!!

Nic, co dziś usłyszałam od Freda Pinka, nie zaniepokoiło mnie tak jak te esemesy. To Avril jest zwykle tą przytomną i spokojną, to ona odgania moje koszmary, to ona, kiedy pęka mi żyłka, zakleja ją z powrotem. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że, owszem, Avril straciła rozum. Zbiegam po schodach do baru...

...a kiedy docieram na parter, schodzę ze schodów... do sali na piętrze, z której właśnie wyszłam... i stoję tam, z trudem łapiąc oddech, jakby właśnie ktoś oblał mnie kubłem lodowatej wody. Ręką chwytam się futryny w drzwiach. Te same stoły, te same krzesła, to samo okno, za którym panuje wieczorny mrok, ta sama szklwiona reklama Guinnessa z krasnałem grającym na skrzypkach. Górna salka w The Fox and Hounds. Schodząc na dół, weszłam na górę. Mój mózg upiera się, że tak się właśnie stało.

Mój mózg upiera się, że tak się stać nie mogło. Cyfrowy dyktafon nadal leży na stole, przy którym siedzieliśmy – w panice zapomniałam go zabrać – między szklanką niewypitego soku pomidorowego, pustą paczką nerkowców i kieliszkiem brandy Freda Pinka. Za moimi plecami schody prowadzą w dół i widzę podłogę baru na parterze, w okropną szachownicę. W telewizorze słyszę temat z *Have I Got News for You*. Oddychaj, Freya, zbierz myśli. To wszystko przez stres. Masz stresującą pracę. Zestresowały cię opowieści oszołoma, który wmawiał ci, że duszę twojej siostry przerobiono na ropę naftową. Zestresowały cię esemesy od Avril. Pamięć zawodzi nawet najlepszych, więc najwyraźniej – najwyraźniej – wyobraziłaś sobie z wyprzedzeniem, że schodzisz po schodach, ale tak naprawdę nie zeszłaś. Jeżeli zejdziesz znowu – to znaczy teraz – powoli, spokojnie, stopień po stopniu, jestem pewna, że...

Dzwoni mój telefon. Nerwowo wygrzebuję go w torebce. Na ekranie czytam: NUMER NIEZNANY. Odpalam żarliwą świecą modlitwę o to, żeby to była Avril, i odbieram z histerycznym „Halo?”.

Słyszę tylko nasilającą się elektromagnetyczną burzę piaskową.

Mówię więc w ten szum:

– Tu Freya Timms. Z kim rozmawiam?

Może kiedy stanę przy oknie, sygnał będzie mocniejszy.

Mówię głośno i wyraźnie:

– Avril? To ty?

Duże drzewa na Westwood Road zasłaniają latarnie.

Daleko, w głębi tego szumu, formują się słowa:

– Błagam! Nie mogę oddychać...

Sally. Sally. To Sally. Kucam na podłodze. Moja siostra.

To niemożliwe. Ale jednak tak. Posłuchaj!

– Nie możecie mi tego zrobić – nie możecie!

Moja siostra żyje! Obolała i przerażona, ale żyje! Słowa odblokowują się we mnie, a ściśnięte gardło otwiera się na tyle, żebym mogła powiedzieć:

– Tu Freya, Sal, gdzie jesteś? Sal! Gdzie jesteś?

W tym szumie coś wyje, dudni, zawodzi, łopocze i chłoszcze, aż słyszę:

– Ktoś waskiedyś powstrzyma będziecie ciecierpieć zapłacicie...

I nagle linia staje się głucha, na ekranie widzę BRAK SYGNAŁU, a w myślach krzyczę: „NIE!”, ale to nic nie pomoże, więc szukam w menu listy połączeń, ale klikam na GRY i niechcący uruchamiam Węża, a moja zasrana komórka nie pozwala mi wrócić do poprzedniego ekranu, zanim cała gra się nie ładuje, ale Sal żyje żyje żyje, powinnam zadzwonić teraz na policję, ale co, jeśli ona oddzwoni do mnie, kiedy ja będę rozmawiała z policją, albo co, jeśli od dziewięciu lat siedzi zamknięta w piwnicy przez jakiegoś psychola jak ta biedna Kampush w Austrii, która miesiąc temu uciekła od swojego oprawcy, albo jeśli...?

Moja komórka ćwierka i miga jej ekran. Odbieram:

– Sally!

– Nie, skarbie. Humorzysta krowa z dołu.

Maggs, barmanka?

– Zaraz do pani schodzę, potrzebuję...

– Już trochę za późno, żeby pomóc Sally, skarbie.

Słyszę raz jeszcze, jak powtarza to zdanie w mojej głowie.

Nie mogę mówić ani się ruszać, ani myśleć, ani zrobić dosłownie nic...

...w jarzeniówce obudziły się martwe muchy.

– To było tylko jej echo, skarbie. Jej pozostałość. Nazwij to sobie pocztą głosową czasu, sprzed dziewięciu lat. No dobrze, niech będzie: to mówił duch twojej siostry.

Strach odsuwa mnie w tył przez gęste powietrze.

– Kim pani jest?

Maggs brzmi, jakby się przyjaźnie droczyła:

– Jesteś jedną z najlepszych dziennikarek „Spyglassa”, musisz się przecież domyślać po tym wszystkim, co dziś usłyszałaś.

Czy coś mi umknęło?

– Może pani poprosić do telefonu pana Pinka?

– Fred nie żyje, zmarł już ładne kilka miesięcy temu, skarbie. Na raka prostaty. Potworna śmierć.

Biorę głęboki wdech, a haust tlenu rozdyma mi płuca. Czy jakiś autentyczny psychopata, który udaje zmarłych, zorganizował sobie fan club ześwirowanych pomocników – tych pozostałych gości w barze? Zamknięty pub; opuszczone rolety; morderstwo. Morderstwo. Podchodzę do okna. Jest podnoszone, ale ktoś je zablokował i nie mogę go otworzyć.

Głos barmanki trzeszczy w mojej nokii:

– Jesteś tam, skarbie? Coś przerywa?

Niech nie przestaje mówić.

– Niech mi pani powie, gdzie jest Sally. Na pewno...

– Sally nie ma nigdzie. Sally nie żyje. Nie żyje na śmierć.

Upuszczam telefon, ale nie schylam się po niego, tylko chwytam krzesło, bo chcę wybić szybę, wrzeszczeć ile sił w płucach, postawić na nogi całą ulicę i jakoś zejść po rynnie albo zeskoczyć, ale kiedy odwracam się, żeby walnąć w szybę – okna nie ma. Jest ściana. Okna nie ma. Jest ściana...

Odwracam się do schodów. Schody zniknęły. Są za to jasne drzwi z wytartą złotą gałką. Za drzwiami jest barmanka. To ona to robi. Nie wiem jak, ale to robi i jest w mojej głowie. Czy też zaraz, zaraz, zaraz...

To ja to robię. To ja mam psychozę, to ja się powinnam leczyć, nie Fred Pink.



Potrzebna mi karetka, a nie policyjny radiowóz. 999. Wybierz numer. Już.

Ale tak naprawdę, co jest bardziej prawdopodobne? Rozjazd praw fizyki, czy rozjazd zestresowanej dziennikarki? Podnoszę z podłogi komórkę, modląc się, żeby ta chwila przytomności umysłu trwała jak najdłużej. Od razu słyszę rzeczowy, konkretny kobiecy głos:

– Pogotowie słucham?

– Nazywam się... nazywam się Freya Timms. Chcę... tylko...

– Tak, Freya, słucham cię uważnie. – Telefonistka mówi jak moja mama, ale sprawniej. – Opisz mi sytuację, żebyśmy wiedzieli, jak ci pomóc.

Jeżeli opowiem o halucynacjach w pubie, zbędzie mnie, podając numer do jakiegoś telefonu zaufania. Muszę wymyślić coś bardziej dramatycznego.

– Zaczęłam rodzić, jestem sama, ale jeżdżę na wózku i potrzebuję karetki.

– Dobrze, Freya, o nic się nie martw. Gdzie teraz jesteś?

– W pubie, The Fox and Hounds, ale nie znam tej okolicy i...

– Wszystko w porządku, Freya, znam The Fox and Hounds. Z bratem mieszkamy tuż za rogiem.

Myślę: „Dzięki Bogu!”, ale wtedy nagle w jednej chwili wszystko rozumiem.

Rozumiem, co ją tak bawi.

Rozumiem, dlaczego nie ma stąd wyjścia.

– Lepiej późno niż wcale – mówi surowy głos w telefonie. – Odwróć się i spójrz na świecę na stole, za tobą. No, odwróć się.

Kiedy posłusznie się odwracam, w sali zapada półmrok. Świeca stoi na ozdobnym świeczniku, na którego nodze i podstawie wygrawerowane są runy. Płomień się chwieje.

– Patrz w płomień – nakazuje głos. – Patrz.

\* \* \*

Rzeczywistość się zagina, składa jak origami i ciemnieje do czerni. Nie czuję swojego ciała, ale klęczę, tak przynajmniej sędzę. Dołączają do mnie trzy twarze. Z lewej strony świecy unosi się twarz kobiety po trzydziestce. Znam ją. To barmanka Maggs, tylko dwadzieścia lat młodsza, szczuplejsza, bardziej blond, z gładszą cerą i zjawiskowo piękna. Z prawej strony świecy widzę mężczyznę w tym samym wieku, co kobieta, też blondyna i też skądś go znam... Kiedy mu się przyglądam, widzę w jego twarzy młodego Freda Pinka. Kobieta i mężczyzna są do siebie bliźniaczo podobni. Kim innym mogą być, jeśli nie Norą i Jonah Grayerami? Oboje są absolutnie nieruchomi, jak płomień tej świecy i jak trzecia twarz, która patrzy na mnie znad płomienia. Freya Timms wpatruje się we mnie z lustra. Usiłuję poruszyć ręką albo nogą, kciukiem, powieką, ale mój układ nerwowy całkowicie się wyłączył. Czy to właśnie stało się z Sal? Coś we mnie wie, że tak. Czy myślała o mnie? Czy chciała, żeby jej starsza siostra przysłała i ją wyratowała? Czy też może takie myśli już jej wtedy nie dotyczyły?

\* \* \*

– Niewiarygodne! – Grymas wściekłości na twarzy Nory Grayer drga i migocze w świetle świecy, której płomień wygina się to w jedną, to w drugą stronę. Może jestem tu od kilku minut, a może od wielu dni. Czas wymaga czasu, by można go mierzyć. – Jak śmiałeś?

– Siostrzyczko. – Jonah Grayer porusza zuchwą na boki, jakby źle pasowała. – O co ci znowu...

Natomiast ja... ja jestem sparaliżowana od gałek ocznych w dół.

– Opowiedziałeś tej zaszanej reporterce całą historię naszego życia!

– Fred Pink musiał się z nią podzielić niektórymi swoimi odkryciami, inaczej siostra Chrummy stwierdziłaby, że traci czas, i poszłaby sobie. Nie histeryzuj.

– A ty mi nie mów, czy mam histeryzować, czy nie! – Nad świecą latają kropelki wypluwanej śliny. – Za samo wypowiedzanie na głos nazwy Drogi Cienia Sajjid by cię skreślił. Z miejsca. I miałby rację!

– Och, chciałbym zobaczyć, jak próbuje, pokój z nim. A w ogóle czego tak się boisz? Historia naszego życia to feeria cudownych wydarzeń, a nigdy, przenigdy nie mamy okazji, żeby opowiadać ją jakiejś dyskretnej słuchaczce. Bo ona jest przecież dyskretna. Zapytamy ją, czy bardzo dyskretna? Zapytajmy. To cię uspokoi. – Jonah zwraca się do mnie: – Panno Timms, zamierza pani opublikować historię opowiedzianą przez Freda Pinka, w postaci, w jakiej usłyszała ją pani tego pamiętnego wieczoru?

Nie mogę ani pokręcić, ani kiwnąć głową nawet na milimetr.

– Uznajmy to za odpowiedź przeczącą, kochana siostró. Już wyluzuj.

– „Wyluzuj”? Czyli samo zachowywanie się jak nastolatek już ci nie wystarcza? Czy nie rozumiesz, że o mały włos nasza gościni by się nie zjawiła! Najpierw odmówiła destruktywu, a...

– Nie nie nie nie nie nie nie. Nie, Noro. Znowu to samo, sama się wpędzasz w histerię tymi wszystkimi „a gdyby”, zamiast spokojnie przeanalizować fakty i przyjrzeć się efektowi naszych działań.

Jakie fakty? Ze wszystkich sił chcę zapytać. Jakiemu efektowi?

– Fred Pink wszystko ci opowiedział, skarbie – Jonah drwiąco odwraca się w moją stronę – ale jeszcze raz ci powtórzę, bo posiadanie mózgu, jak również warstwy tłuszczu, ewidentnie przypadło w udziale twojej siostrze. Kiedy szłaś na spotkanie ze mną, ze mną w ciele przypadkowego starszego pana, którego zarekwirowałem jako Freda Pinka, stwierdziłaś, że to jednak strata

czasu. Wziąwszy pod uwagę zarówno to, jak i wszelkie inne ewentualności, kazałem cię śledzić. Dlatego w parku, koło amfiteatru, na zakręcie ukrytym przed wzrokiem osób postronnych, jeden z moich Blackwatermanów spryskał ci twarz pomysłową substancją. Biedactwo, natychmiast straciłaś przytomność. Dzięki drobiazgowo zaplanowanej akcji – spogląda na swoją siostrę – karetka ze szpitala Świętego Jana przyjechała już po minucie. Dostarczenie cię bezpiecznie do naszej Szczeliny, całej i zdrowej, przywiązanej do wózka inwalidzkiego, zajęło naszym dzielnym ochotnikom zaledwie pięć minut. Nawet ukryli ci twarz pod kapturem, żeby osłonić cię przed kroplami deszczu. I przed wścibskimi spojrzzeniami. Dostarczyli cię do naszej antyfony, którą uprzednio moja siostra szybciotko przekształciła w idealną kopię *The Fox and Hounds* – dokąd planowałeś dotrzeć – po czym zostałaś sprowadzona do samego serca antyfony, do Luki. Biorąc pod uwagę, jak trudno redagować pamięć w umyśle osoby Obdarowanej, wolałem nie ryzykować i wykasowałem ci cały dzień. To dlatego nie pamiętasz wyjazdu z Londynu. Kiedy się obudziłaś, zaserwowałem ci temat na tekst, za który dziennikarze daliby się zabić. Tak że tak. – Jonah przesuwając językiem po górnych zębach. – Nie usatysfakcjonował cię? A teraz czuję się jak detektyw objaśniający wszystkie fakty w finałowej scenie kryminału. Tak, tak, siostró – Jonah znowu zwraca się do Nory, która nadal ma wściekłą minę – skrzywiła się na sok pomidorowy, ale zdestrukcinowaliśmy ją nerkowcami. I owszem, zgoda, wyszedłem odrobinę poza scenariusz roli Freda Pinka i powiedziałem jej więcej, niż zamierzałem. Ale ona za dwie minuty straci życie, a dziennikarki, po tym, jak stracą życie, nie zapisują już usłyszanych informacji w folderze na desktopie.

Stracą życie? Powiedział: „Ona straci życie”? Zabiją mnie?

– Obawiam się, że tak – odpowiada Jonah. – Powinnaś była

wierzyć Fredowi Pinkowi.

– Byłeś głupim bufonem, bracie. – W ostrym głosie Nory słysząc gniew, ale do mnie jej słowa docierają tylko połowicznie. – Nigdy z nikim nie rozmawiaj o *la Voie Ombragée*. Ani o Ely, o Swaffham, o Cantillonie, ani o Aït Arif. Nigdy. Pod żadnym pozorem. Nigdy. Rozumiesz?

– Poprawię się, siostró droga. – Jonah wzdycha z udawaną skruchą.

Nora patrzy na niego z niesmakiem.

– Któraś dnia ta nonszalancja cię zgubi.

– Najpewniej masz rację, siostró.

– I tego właśnie dnia, jeśli będę mogła, siebie ocalę, a ciebie zostawię. Jeśli będę musiała.

Jonah już szykuje odpowiedź – być może przymilną – ale zmienia zdanie, jak również temat.

– Umieram z głodu, podobnie jak ty, nasz Operandi również umiera z głodu, a kolacja miło skwierczy i czeka. – Jonah obraca się całym ciałem w moją stronę i dodaje szeptem: – Zaczarowana, wystraszona i zdumiona<sup>5</sup>. Nie oddychasz, skarbie. Naprawdę nie zauważyłaś?

Chcę, żeby to było tylko pełne sadyzmu kłamstwo, ale to prawda – nie oddycham. Czyli tak. Nie zginęłam w strzelaninie ani w wypadku samochodowym, ani nie utonęłam w morzu, tylko zakończyłam życie tutaj, w tym... koszmarze, który nie może dziać się naprawdę, ale który jednak się dzieje. Rodzeństwo zaczyna trzącać palcami powietrze, jak harfistka struny, najpierw powoli, potem szybciej. Teraz jakby coś rysowali w powietrzu, jak supersprawni kaligrafowie. Ich wargi także się poruszają, ale nie wiem, czy to ich słyszę, czy też buczące echa mojego

---

5 „Bewitched, Bothered and Bewildered” – tytuł standardu muzycznego z lat 40. (przyp. tłum.).

niedotlenionego, wyłączającego się mózgu. Ponad świecą coś krzepnie w powietrzu. Jest wielkości zniekształconej głowy, ale bez twarzy. Jarzy się na czerwono, gaśnie z blasku do czerni, rozjaśnia się z czerni do blasku i wychodzą z tego czegoś sznurowate korzenie, mocując ten twór w mroku. Dłuższe korzenie wiją się w moją stronę. Usiłuję przekreślić głowę, albo zamknąć oczy, ale nie potrafię. Gdybym tylko mogła, wrzasnęłabym głośno, z całych sił, jak w jakimś telewizyjnym horrorze, ale nie potrafię. Korzenie wkręcają się w moje usta, w nos i w uszy, i wtedy czuję ukłucie bólu, jakby ktoś dźgnął mnie włócznią w miejscu, gdzie miałabym oko Cycklopa. Jakaś siła wyciąga coś przez ten punkt z mojej głowy. Przed moimi oczami unosi się teraz przezroczyta migocząca kula, mniejsza niż kula bilardowa, a jej wewnątrz wypełniają niezliczone gwiazdy. To prawdziwa ja. To moja dusza. Rodzeństwo Grayerów nachyla się.

Ściągają usta. I robią gwałtowny wdech.

Moja dusza odkształca się jak rozciągana klucha ciasta.

Jest moja, ona to ja, ale nie ma nadziei, nie ma nadziei, nie ma na...

Nagle zaledwie kilka cali ode mnie jakaś postać wypełnia wąski dystans między Grayerami, zasłaniając mi widok. To kobieta, w designerskiej kurtce. Jej pulchne ciało przesłania mi tę odrobinę światła ze świecy i ten sercomózgotwór powyżej. Z mojej prawej strony Nora Grayer gwałtownie odchyła się w tył, a na jej twarzy malują się skrajny szok i niedowierzanie. Jonah nie może się cofnąć, nawet gdyby chciał: ta postać, która tu wtargnęła, jedną drobną dłonią – widzę kobaltowobłękitne paznokcie – chwyta go za szyję, a drugą, gestem tak błyskawicznym, jakby mały ptaszek zatrzepotał skrzydłami, zatapia w jego tchawicy grubą sześciocalową szpilę, która wychodzi drugą stroną gardła, jak koktajlowa wykałaczka przekłuwająca bardzo dużą oliwkę. Z obu

nakłuć sączy się krew, która w tym mroku, na kamiennej szarości, wygląda jak czarna melasa. Jonah nie wierzy w to, co się dzieje, i aż mu oczy wychodzą na wierzch ze zdumienia, jego głowa i żuchwa opadają bezwładnie, a kiedy usiłuje wydać jakiś dźwięk, z dwupunktowej rany wydobywa się piana. Napastniczka uwalnia go, ale broń – spinka do włosów, jeśli się nie mylę – pozostaje wbita w jego szyję. Kiedy głowa Jonah się przechyla, widzę na czubku spinki srebrny lisi pysk z oczami z kamieni szlachetnych. Od strony Nory dobiegają mnie rwane krzyki, kilka stóp i całe lata świetlne ode mnie.

– Wynoś się stąd! Przeklęty duchu! WYNOŚ SIĘ!

Postać, która tu wtargnęła, powoli niknie – przez jej ciało widzę już płomień świecy. Moja rozciągnięta dusza powróciła już do pierwotnej postaci kuli i teraz również niknie. Ciało mam martwe, ale moja dusza została ocalona. Wisiorek wybawczyni kołysze się na tle mojej duszy, oświetlony podmorską zielenią przez ostatnie gwiazdziste atomy. Wieczność, jadeit, maoryski wisiorek, sama go wybrałam, zapakowałam i wysłałam do kogoś, kogo kocham.

# Astronauti

2015



iPhone Bombadila wibruje nad jego sercem. Jego zimnymi palcami wylawiam telefon z wielkiej kurtki narciarskiej, do której kupna nakłoniłam go wcześniej w pobliżu naszego ukrytego hotelu, kiedy zobaczyłam, jak złowieszczo wygląda niebo. Deszcz ze śniegiem zostawia na ekranie mokre cętki. Esemes jest od Blackwatermana:

goscini zaparkowała 50m od Westwood Road tuż przy alejce, granatowy VW tiguan.

Odpowiadam krótko:

ok.

Nasi agenci są mistrzami własnej sztuki walki i nie potrzebują dalszych komend. Trochę się bałam, że przez zimową aurę nasza gościni może się spóźnić, a wręcz w ogóle zrezygnować z podróży samochodem. Zorganizowanie pojawienia się kogoś, kto się nie pojawił, skomplikowałoby cały dzień i wprowadziłoby nieprzyjemne napięcie, ale nasza gościni jednak przyjechała i w dodatku kwadrans przed czasem, więc możemy chwilę odetchnąć. W spontanicznym odruchu wyszukuję na iPhone Bombadila muzykę Philipa Glassa z *The Truman Show* i słucham, żeby się odprężyć przed posiłkiem. Byliśmy na tym filmie z Jonah w jakimś małym kinie w St Tropez, na przełomie wieku. Poruszyło nas przerażenie głównego bohatera ogromem przepaści między jego życiem a normalnym światem. Lazurowe Wybrzeże byłoby

dobrym azylem dla Jonah, mógłby tam spędzić kilka tygodni po dziewięciu latach bezruchu w swoim poranionym ciele. Na Riwierze nie brakuje zamożnych hostów, w których ciałach Jonah mógłby się odprężyć, a ja też chętnie bym się porozkoszowała dotykiem słońca na skórze hosta po pięciu dniach tej absurdalnej pogody. U stóp Bombadila pojawia się księżycowoszary kot, miaucząc o jedzenie.

– Nie jesteś aż tak głodny jak my – zapewniam go.

Podmuchy wiatru na Slade Alley zacinają śniegiem z deszczem i tworzą wiry lepkiej mżawki. Zapinam kaptur Bombadila, by ochronić jego słuchawki, co ogranicza mi pole widzenia do obramowanego futrem owalu, i wspominam burze piaskowe w siedlisku Sajjida w górach Atlas. Jakże szybko przeminął ten wiek. Kot już stracił nadzieję, że się przy mnie pożywi. Bombadilowi zdrętwiały z zimna palce u nóg w tych jego cieniutkich sportowych bucikach, ale odmrożenie mu nie grozi – nie dożyje go. Nie mam wyrzutów sumienia.

\* \* \*

Niska, szczupła postać, wyglądająca masywniej w zimowym ubraniu, idzie Slade Alley, uliczką podświetloną przez wirującą mokrą zamieć. Doktor Iris Marinus-Levy jest psychiatrą z Toronto, aktualnie prowadzącą praktykę w szpitalu Dawkinsa na obrzeżach Slough. Dwa zrządenia losu skierowały ją na drogę, która wiedzie do naszej Szczeliny. Pierwsze to, że w dwa tysiące ósmym roku zdobyła notatniki Freda Pinka, byłego pacjenta szpitala Dawkinsa, który zmarł w dwa tysiące piątym. Na podstawie owych zeszytów napisała serię akademickich rozpraw na temat psychoz z urojeniami porwania, w których opisuje obsesję Pinka na punkcie Jonah i Nory Grayerów, pary dawno już nieżyjących „wampirów dusz”. Drugim zrządzeniem losu

natomiast jest fakt, że Iris Marinus-Levy, co było przepyszną niespodzianką, sama jest Obdarowana i dlatego stanowi dla nas odpowiednią ofiarę. Okazało się, że Podporę Psychiatrii dało się zwabić do nas absurdalnie łatwo. Teraz zatrzymuje się kilka kroków od Bombadila. Czarnoskóra lekarka dobiegająca czterdziestki – cera gładka, subsaharyjska, czarna jak czarna skórzana kurtka, co jeszcze bardziej podkreśla biel jej oczu i zębów. Marinus do pracy ubiera się byle jak, a nawet w sytuacjach prywatnych ukrywa figurę pod męskim ubraniem: kurtka-pilotka na kozuchu, wygniecione spodnie, trapery, zielono-bury beret, arabska chusta wokół szyi i jest prawie lub zupełnie bez makijażu. Kręcone druty włosów ma krótko obcięte. Pod pachą trzyma płócienną torbę w kolorze khaki. Spokojnym, chłodnym wzrokiem mierzy Bombadila, chudego białego dwudziestokilkuletniego mężczyznę z problemami skórnymi, niefortunnym ćwiekiem w języku, podbródkiem rekina, oddechem walącym żółtym serem i z zaczerwienionymi oczami. Mój host dosłownie tonie w swojej narciarskiej kurtce w rozmiarze XXL. Doktor Iris Marinus-Levy widzi temat swoich kolejnych badań, swojego Freda Pinka II, którego na dodatek teraz pozna osobiście. Odłączam Bombadila od jego słuchawek i każę mu zrobić minę będącą pytaniem: „Jakiś problem?”.

Marinus recytuje pierwszy wers hasła:

– Tak, szukam pubu, który nazywa się The Green Man. – Ma głęboki, dźwięczny głos i mówi z akcentem, który niegdyś nazywano „środkowoatlantyckim”.

Bombadil ma bełkotliwy, trudny do umiejscowienia akcent z okolic Londynu i postanawiam mu go nie zmieniać:

– Nie ma go. The Green Man podzielił los The Fox and Hounds.

Iris Marinus-Levy podaje odzianą w rękawiczkę dłoń:

– Bombadil?

Czuję igielki psychowoltażu nawet przez jej kaszmirową rękawiczkę.

– Doktor Iris Marinus-Levy?

– Aż dziewięć sylab, za długo. Wystarczy „Marinus”.

Zauważam, że błękitne wzory na jej arabskiej chuście są tak naprawdę półcentymetrowymi Gwiazdami Dawida. Sprytna symbolika. Nasze dłonie zwalniają uścisk.

– Ale „Marinus” będzie brzmieć tak, jakbym mówił do pani po nazwisku.

Podpora Psychiatrii przyjmuje do wiadomości moje uwrażliwienie w kwestii nomenklatury.

– Marinus to bardziej przydomek niż nazwisko.

Każę Bombadilowi wzruszyć ramionami.

– Witam z powrotem na Slade Alley, Marinus.

– Dziękuję, że się ze mną skontaktowałeś. – Dobrze wie, że lepiej nie pytać, jak się nazywam naprawdę. – Twoje e-maile były fascynujące.

– W sensie, tak myślałem, że obejrzenie prawdziwej antyfony na żywo poszerzy ci horyzonty.

– Jestem ciekawa, co zobaczymy, Bombadilu. Ależ strasznie ten wiatr zacina. Nie wolałbyś porozmawiać w jakimś bardziej zacisznym miejscu? Zaparkowałam tuż przy ulicy, mijałam też po drodze Starbucks. Jadłeś już może lunch? Ja stawiam.

– Nigdy nie rozmawiam w miejscu, którego nie przeszukałam pod kątem podsłuchu – odpowiadam.

Marinus odnotowuje te słowa w pamięci.

– Rozumiem.

Głową wskazuję alejkę.

– W sensie, wskoczmy od razu na głęboką wodę.

– Proponujesz, żebyśmy poszli od razu do antyfony?

– Owszem. Ciągłe tam jest. Wchodziłem tam wczoraj.  
– Czyli raz w czwartek i raz wczoraj? W sumie dwa razy?  
– Jeden plus jeden daje dwa. – Kiwam głową rozbawiona jej profesjonalną pozą. – Antyfony nie trafiają się zbyt często.  
– A drzwi do wewnątrz, ta „Szczelina”... nadal gdzieś tam jest? – Marinus spogląda w stronę klaustrofobicznej środkowej części Slade Alley.

– Wiadomo. Jest dokładnie tam, gdzie mówiłaś, że Fred Pink powiedział, że Gordon Edmonds mu powiedział, że ją znalazł. Wtedy, te ileś tam lat temu.

Marinus patrzy zadziwiona na tego gamoniowatego, sztywnego chłopaka, który czytuje „American Journal of Psychiatry”.

– Proszę, Marinus, prowadź.

Idziemy dwadzieścia kroków i zatrzymujemy się przy Szczelinie, a nasza gościni po raz pierwszy wygląda na zdumioną.

– Jest mała, jest czarna, jest z żelaza – bawię się wymianianiem spraw oczywistych. – Dokładnie, jak mówił Fred Pink.

Marinus dotyka drzwi.

– Trzy lata temu nie było ich tutaj.

– Nie było ich tutaj trzy dni temu. Ale kiedy wybrałem się na zwiad w czwartek o świcie – *voilà*.

Marinus rozgląda się po uliczce w lewo i w prawo, a potem kuca, by zbadać obrzeże drzwi.

– Wyglądają, jakby były tu od wielu lat. Mech, obłuczony beton...

– Szczeliny są jak kameleony. Zlewają się z otoczeniem.

Marinus patrzy na mnie. Jej wiara w logiczną argumentację na razie została zachwiana, ale jeszcze nie legła w gruzach.

– Co jest po drugiej stronie?

– O, to jest akurat fajne. Jak się spojrzy z drabiny nad murem, widać to... – Każę Bombadilowi wydobyć zdjęcie z wewnętrznej

kieszeni. – Tylnie podwórko za domem-bliźniakiem zbudowanym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku. W domu mieszkają Jamal i Sue al-Awi oraz ich dwoje koma cztery dzieci, dokładnie licząc, bo według dokumentacji szpitala Sue jest w drugim trymestrze ciąży. Ale kiedy się przejdzie przez Szczelinę – głucho bębnię kostkami dłoni o powierzchnię drzwi – widać tarasy ogrodu Slade House w stanie z lat trzydziestych zeszłego wieku, utrwalone w pewien mglisty, ale pogodny dzień.

Marinus patrzy na mnie badawczo.

– Mgła przy słonecznej pogodzie była totalnym zaskoczeniem – wyjaśniam.

Marinus żałuje, że tego wszystkiego nie nagrywa.

– Masz na myśli ten sam Slade House, który zrównały z ziemią naloły w czterdziestym roku?

– Dwudziestego grudnia czterdziestego roku. Akurat na Gwiazdkę. Owszem.

– Czyli twierdzisz, że te drzwi są rodzajem... portalu w czasie?

– Nie, nie, to klasyczna pomyłka. Szczelina jest portalem do antyfony. Do bańki rzeczywistości. Boże, szkoda, Marinus, że nie widzisz swojej miny.

Podpora Psychiatrii minę ma przebiegłą, ale też zaskoczoną.

– Wierzę, że ty wierzysz, Bombadilu, ale nauka wymaga dowodów. Jak sam dobrze wiesz.

– A dowód wymaga wiarygodnych świadków – każę Bombadilowi odpowiedzieć – najlepiej ze skrótem „dr” przed nazwiskiem.

Wiatr objął plastikową butelkę o chodnik i mury w alejce. Przesuwamy się pod ścianę, żeby butelka mogła nas minąć. Obok chwieją się wysokie chwasty.

Marinus stuka kostkami o Szczelinę.

– Przy jej dotknięciu nie powstaje dźwięk. Jest też ciepła. Jak się

ją otwiera? Nie ma tu dziurki od klucza.

Każę Bombadilowi uśmiechnąć się tajemniczo.

– Wolą umysłu.

Marinus czeka, aż jej to wyjaśnię, drząc z zimna mimo grubych zimowych ubrań.

– Wyobraź sobie tę dziurkę – wyjaśniam – wyobraź sobie klucz, wyobraź sobie, że Szczelina się otwiera. Jeśli zrobisz to odpowiednio, otworzy się.

Marinus kiwa głową, żeby zapewnić mnie, że to nie jest tak, że mi nie wierzy. Śmieszna jest ta kobieta.

– A kiedy wszedłeś do środka, co tam robiłeś?

– W czwartek nie odważyłem się wyjść poza krzaki. Nauczyłem się trochę ostrożności po ostatniej antyfonie w Nowym Meksyku. Więc tylko posiedziałem tam dziesięć minut, poobserwowałem, a potem wyszedłem z powrotem. Wczoraj bardziej się ośmieliłem. Podszedłem aż do dużego drzewa ginko – nie, żeby wiedział, co to było za drzewo, ale przyniosłem z powrotem liść i sprawdziłem w takiej jednej aplikacji.

Oczywiście Marinus pyta:

– Masz jeszcze ten liść?

Każę Bombadilowi wręczyć jej przezroczystą torebkę strunową.

Marinus podnosi ją na wysokość wzroku.

– Zgadza się, to liść ginko – potwierdza, nie dodając, że może pochodzić z dowolnego drzewa. – Zrobiłeś jakieś zdjęcia?

Wydymam przemarznięte policzki Bombadila.

– Próbowałem. W czwartek zrobiłem jakieś pięćdziesiąt, ale kiedy wyszedłem, wszystkie zniknęły. Wczoraj wziąłem mojego starego nikonu i wystrzelałem całą rolkę, ale kiedy wieczorem chciałem ją wywołać, nic, pusto. Szczerze mówiąc, niespecjalnie mnie to zaskoczyło: z pięciu astronautów, których poznałem, i którym wierzę, ani jeden nie miał nawet pół zdjęcia ani

nakręconego filmiku, żeby cokolwiek udowodnić. Coś takiego już jest z antyfonami.

– „Astronautów”?

– Tak się sami nazywamy. Żeby zmylić Internet. „Podróżnik po antyfonach”, czy coś podobnego, przyciągałoby niewłaściwych ludzi.

Marinus oddaje mi plastikową torebkę.

– Czyli astronauta mogą pobierać próbki roślin, ale nie mogą rejestrować obrazów?

Każę Bombadilowi wrzucić ramionami.

– Marinus, nie ja ustalam te prawa.

Za murem słyhać rytmiczne skoki na skrzypiącej trampolinie.

– Widziałeś jakieś oznaki życia wewnątrz tej antyfony? – pyta.

Podpora Psychiatrii nadal myśli, że bada przypadek psychiatryczny, nie ontologiczny. Umieć być cierpliwa, jeszcze się dowie prawdy.

– Ptaki. I wiewiórkę, śliczną, rudą, a nie szczirowatą szarą. I rybki w stawie. Ale żadnych ludzi. Okna w Slade House były cały czas zasłonięte, drzwi zamknięte i nikt nie używał Szczeliny od godziny czwartej w czwartek.

– Mówisz to z dużą pewnością siebie.

– Bo jestem tego pewny. – Dotykam cegły w murze na wprost Szczeliny. – Widzisz to?

Podpora Psychiatrii prostuje się i patrzy.

– To cegła.

Z trampoliny dobiega perlisty śmiech, a skoki nie ustają. Skacze jakiś chłopczyk.

– Nie. To przednia ścianka cegły spojona ze stalową skrzynką, w której schowana jest kamera internetowa, akumulator i czujnik przełączający kamerę na podczerwień. Wszystko, co kamera widzi przez ten dwumilimetrový otwór – wskazuję dziurkę – trafia



bezpośrednio na mój telefon. – Pokazuję Marinus mojego iPhone'a. Na jego ekranie widać mnie pokazującą Marinus mojego iPhone'a.

Marinus uprzejmie robi minę, która mówi, że jest pod wrażeniem.

– Sprytny zestaw. Sam go zrobiłeś?

– Tak, ale prawa autorskie należą się Izraelczykom, specyfikację zhakowałem od Mossadu. – Przyjaźnie poklepuję moją szpiegowską cegłę, zainstalowaną dziś rano przez Blackwatermanów, i odwracam się z powrotem do Szczeliny. – Czyli jak? Jesteśmy gotowi?

Marinus waha się, zastanawiając się, jak zareaguję, kiedy okaże się, że wyspa z moich fantazji nie chce się jednak zmaterializować. Ale naukowa ciekawość zwycięża nad ostrożnością.

– Będę szła za tobą, Bombadilu.

Kłękam przed Szczeliną i kładę na niej rękę. Na lodowatej dłoni Bombadila czuję przyjemne ciepło i teraz mogę już telegrafować do Jonah. *Bracie, przybyła nasza gościni – jak rozumiem, wszystko jest gotowe?*

*Proszę, kogóż to niesie! Jego sygnał jest słaby. Myślałem, że znowu się zawinęłaś i wyniosłaś do swojej „samotni” w Kirishimie...*

*Daj mi siłę. Nie, Jonah – jest Dzień Otwarty, a nasze metażycie zależą od tego, czy będę dziś tutaj, jak również od tego, czy ty przygotowałaś antyfonę i subantyfonę.*

Jonah telegraficznie sarka. *Cóż, bardzo miło z twojej strony, że chciało ci się odwiedzić uwięzionego brata.*

*Odwiedziłam cię wczoraj, przypominam mu. Na wycieczkę do Kirishimy pojechałam sześć lat temu – i nie było mnie tylko przez trzynaście miesięcy.*

Teraz następuje odęta pauza. *Trzynaście miesięcy to trzynaście razy wieczność dla kogoś skazanego na tkwienie w Luce. Ja nigdy bym cię tak*

*nie opuścił, gdybyś to ty była na moim miejscu.*

*Natychmiast się odcinam: Tak jak wtedy, kiedy nie opuściłeś mnie na Antarktyce na całe dwa lata? Dla „dowcipu”? Czy jak wtedy, kiedy nie zapomniałeś o mnie na Wyspach Towarzystwa, gdy popłynąłeś jachtem ze swoimi przyjaciółmi ze Scjentologii?*

*Kolejna odęta pauza. Twoje przyrodzone ciało nie miało gardła przebitego na wylot szpilką do włosów.*

*Po blisko stu dwudziestu latach razem wiem, że nie należy pozwalać bratu na zbytne rozżalenie się nad sobą. Twoje ciało też by nie miało przebitego gardła, gdybyś potraktował mnie serio, kiedy ostrzegałam o zaburzeniach w Operandi. Nasza gościni czeka, a ciało Bombadila drży z zimna. Liczę do trzech i otwieram Szczelinę, więc jeżeli nie chcesz w poczuciu urażonej dumy popełnić samobójstwa i siostrobójstwa, w tej chwili wyprojektuj ogród. Raz... dwa...*

\* \* \*

Najpierw przeciskam przez Szczelinę ciało Bombadila. Wszystko w porządku. Podpora Psychiatrii wchodzi za mną, spodziewając się ciasnawego podwóreczka na tyłach domu, a tymczasem staje w furtce długiego ogrodu ze stopniami zielonych tarasów, które wznoszą się aż do rysowanych na mgle murów Slade House. Doktor Iris Marinus-Levy powoli się prostuje, widać, że ten widok wprowadził ją w głębokie zadziwienie i osłupienie, bo aż otworzyła usta. Właśnie na to liczyłam. Każę Bombadilowi zachichotać w napięciu. Nasz Operandi jest już do cna wyczerpany, więc Jonah ma do dyspozycji dosłownie resztkę woltażu, by wyprojektować dzisiejszą antyfonę, ale dzisiaj przedstawienie nie musi olśniewać ani kusić jak tamta impreza na Halloween albo jak słodka pułapka na posterunkowego: ta antyfona po prostu istnieje i samo to już wystarcza, żeby Marinus zmiękla. Odchrząkuję gardłem Bombadila.

– Czy to wystarczający dowód, pani doktor?

Marinus może tylko słabo wskazać ręką na dom.

– Tak. Duży. Bardzo duży. I stoi tu naprawdę, jak ty i ja.

Odwraca się, żeby spojrzeć na Szczelinę ukrytą za kameliami.

– Spokojnie. Jest stabilna. Otwarta. Nie zostaniemy tu zatrzaśnięci.

Podpora Psychiatrii rozważnie kuca i wygląda z powrotem na Slade Alley. Trzymam w pogotowiu telefon, żeby zadzwonić do Blackwatermanów, ale nasza gościni jednak odwraca się od Szczeliny, zdejmuje z głowy beret, po czym wkłada go z powrotem, żeby jakoś zyskać na czasie, jak sędzę.

– W notatkach Freda Pinka znalazłam starą pocztówkę – mówi słabym głosem. – Był na niej Slade House. Czyli – spogląda na stare probostwo – ten dom. Ale... sprawdzałam w archiwach miejskich, w Urzędzie Kartograficznym, w Google Street View. Tego domu, Slade House, nie ma w żadnych dokumentach. A nawet gdyby był, między Westwood Road i Cranbury Avenue nie ma na niego nigdzie miejsca. Tego domu nie ma. Nie może być. A jednak tu stoi.

– Zgadzam się, niezła zagadka, chyba że Fred Pink... – szepczę – no wiesz... miał rację. I że jednak nie miał zrytego mózgu.

W gałęziach śliwy słychać gruchanie gołębia, ale samego ptaka nie widać.

Marinus patrzy na mnie, żeby sprawdzić, czy też słyszałam ptasie odgłosy.

Chcąc nie chcąc, każę Bombadilowi się uśmiechnąć.

– Gołąb.

Marinus zagryza kciuk i bada ślad po ugryzieniu.

– Daj już spokój. To nie sen. Obrażasz antyfonę.

Marinus zrywa liść kamelii, nagryza go i bada.

Rzuca kamykiem w zegar słoneczny. Kamyk uderza w cel

z głuchym stukiem.

Marinus przyciska dłoń do pokrytej rosą trawy. Jej ręka zostawia wgnieciony ślad.

– Cholera. – Marinus podnosi na mnie wzrok. – To jest naprawdę prawdziwe, prawda?

– Na skalę ograniczonej miejscowo, zamkniętej bańki, kieszonki w rzeczywistości, tak.

Podpora Psychiatrii znowu się prostuje, składa dłonie jak do modlitwy, na kilka sekund zakrywa nimi nos i usta, a potem gwałtownie wsuwa rękę do kurtki-pilotki.

– Moi pacjenci z Dawkinsa, z Toronto, z Vancouver... ci, którzy mieli urojenia o porwaniu... czy oni wszyscy tak naprawdę mieli słuszość? Czy za to, że przeżywali to, co ja teraz, podpisywałam dokumenty zakazujące im zbliżania się do innych osób i faszrowałam ich po czoło lekami antypsychotycznymi?

Weszłyśmy w delikatną fazę. Muszę zwabić Marinus do domu tak, żeby nie wyczuła pułapki, żeby nie przygniotły jej wyrzuty sumienia ani żeby nie wystraszyła się na tyle, by uciekać.

– Prawdziwe antyfony są rzadkie. Prawdziwi astronauta stanowią niecały jeden procent twoich pacjentów. Pozostali nimi nie są. I tacy potrzebowali leków, potrzebowali pomocy. Przestań się już, Marinus, samobiczować.

– To i tak za dużo. – Marinus zagryza dolną wargę i kręci głową. – Tyle wyszło z „Po pierwsze nie szkodzi”.

– Na uczelniach medycznych nie uczą o antyfonach. Oczywiście tej też nie będziesz mogła opisać w prasie fachowej, ale jeśli chcesz pomóc pacjentom, lepiej się rozejrzyj. Zbadaj to miejsce. Poprzyglądaj mu się. Umiesz nieszablonowo myśleć. Dlatego cię wybrałem.

Marinus zastanawia się nad tymi słowami. Przechodzi kilka kroków po trawniku, patrząc w puste, mokre, białe niebo.

– Fred Pink... którego jeszcze dwie minuty temu miałam za człowieka z urojeniami... Fred Pink uważał, że Slade House jest niebezpieczny. A jest?

Każę Bombadilowi rozpiąć suwak jego narciarskiej kurtki.

– Nie sądzę. Nie.

– Ale przecież – Jezu, nie wierzę, że to w ogóle mówię – właśnie wkroczyliśmy z naszej rzeczywistości do innego świata. Prawda?

Udaję lekkie rozczarowanie jej bojaźliwością.

– Jesteśmy astronautami. I owszem, to hobby obciążone większym ryzykiem niż zbieranie figurek Lego. Osobiście mam silne przypuszczenie, że Slade House jest w tej chwili opuszczoną antyfoną, która działa na autopilocie, ale jeśli chcesz wrócić do pracy w Dawkinsie, przepisywać przyszłym Fredom Pinkom izunoleton i odwiedzać ich w obitych filmem celach, bo tak będziesz się czuła pewniej, wiedząc przy tym, że jesteś pierwszym i ostatnim psychiatrą klinicznym, który stchórzył przed zbadaniem prawdziwej, żywej antyfony, cóż, nie można cię za to winić. W takim razie życzę szerokiej drogi. – To powiedziawszy, odchodzę w stronę zegara słonecznego.

– Bombadilu! – Kroki Marinus pośpiesznie podążają za mną. – Zaczekaj!

Poczucie odpowiedzialności wobec innych to jej obroża. A ja trzymam smycz.

\* \* \*

Kropelki mgły oblepiają lawendę. Zapach lawendy jest jednym ze szczęśliwszych wspomnień mojego i Jonah dzieciństwa w posiadłości Swaffham Manor w Norfolk, gdzie rolnicy, którzy dzierżawili ziemię od Chetwyndów-Pittów, uprawiali kilka akrów lawendy na potrzeby londyńskich perfumerii. Zatrzymuję się, kiedy Marinus zrywa gałązkę i ją wacha.

– Pachnie jak prawdziwa – zauważa – ale dlaczego wszystko zaczyna być czarno-białe? Kamelie były czerwone i różowe, ale ta lawenda jest szara. A te róże są całe zupełnie jednobarwne.

Wiem dokładnie dlaczego: po osiemnastu latach bez doładowania nasz Operandi jest zbyt wyczerpany, żeby podtrzymywać wiarygodne kolory.

– Rozkład – odpowiadam. – Moim zdaniem rodzeństwo Grayerów porzuciło tę antyfonę. Kolejnym dowodem jest ta mgła. Możemy się trochę odprężyć. Odwiedzamy ruinę.

Wyglądając na uspokojoną, Marinus odwija chustę z szyi.

– To miejsce naprawdę stworzyli ludzie? Każdy kamyk, każdą gałązkę, każdą kropelkę mgły, każde źdźbło trawy? Każdy atom? – Kręci głową.

– Na twoim miejscu zostawiłbym w spokoju fizykę cząstek. Ale owszem, to dzieło ludzi, nie bogów, jeśli o to ci chodziło. Może wygodniej będzie ci myśleć o nich jak o projektantach. Ostrożnie, zaczęłaś się o kolce.

Marinus odczepia kurtkę z uścisku cierni na krzaku.

– Kolce też są prawdziwe. W ilu takich miejscach już byłeś?

Czerpię inspirację z doświadczeń Bombadila.

– To jest trzecie. Pierwsze było na wyspie Iona na szkockich Hebrydach. Dość znana antyfona. Była super. I jest tam całkiem bezpiecznie i przyjemnie. Antyfoną jest apsyda w pewnym opactwie i pojawia się tylko wtedy, jeśli człowiek wie, gdzie i kiedy prześlizgnąć się pod pewnym łukiem. Ale za to rozbieżność w czasie była okropna. Kiedy wróciłem po zaledwie jednym dniu w antyfonie, tutaj minęły dwa lata i mama zdążyła drugi raz wyjść za mąż, za rozwiedzionego sprzedawcę z Microsoftu.

– To po prostu... – Podpora Psychiatrii szuka odpowiedniego słowa – ...niewiarygodne.

– No raczej! Z Microsoftu! Ale moja druga antyfona była bardziej

hardcorowa. Szczelina mieściła się w liceum sztuk plastycznych w Santa Fe. Wyśledził ją Yoyo, kumpel z Houston. Weszliśmy razem.

– A czym się różni hardcorowa antyfona – pyta Marinus – od tej na Ionie albo od tej tutaj?

– Brakiem happy endu. Yoyo już stamtąd nie wyszedł.

Marinus przystaje.

– Umarł tam?

– Nie, postanowił zostać. I ciągle tam jest, o ile wiem, z tym że w tamtej antyfonie przebywał jej twórca, który miał potężny kompleks Jehowy. Nazwał swój mały światek „Arkadią”. Kiedy w końcu chciałem wyjść, oskarżył mnie o apostazję i usiłował... usiłował mnie zabić. Ale to już inna historia. Natomiast tutaj – każę Bombadilowi wykonać nieokreślony gest – panuje miła cisza i spokój. O, proszę, poziomki. – Poziomki są destrukcinem, co uzgodniłam z Jonah. Jeśli zdołam namówić Marinus, żeby jedną teraz zjadła, oszczędzi nam to subantyfony na późniejszym etapie. Zrywam dwie dorodniejsze poziomki i wrzucam jedną do ust. – Pycha. Spróbuj.

Marinus już podnosi dłoń, ale ją opuszcza.

– Może nie.

Cholera. Żeby ją szlag trafił. Każę Bombadilowi się uśmiechnąć.

– Boisz się?

Marinus ma zmieszana minę.

– Jestem trochę przesadna. We wszelkich legendach i mitach podstawowa zasada zabrania jeść czegokolwiek, bo wszystko, co zostanie zjedzone lub wypite, pestki granatu, czarodziejskie wino, sprawi, że miejsce człowiekiem zawładnie.

W myślach miotam przekleństwo.

– „W mitach”? Mity to też nauka?

– Kiedy mam wątpliwości, tak jak teraz, zadaję sobie pytanie:

„Co by zrobił Carl Jung”. I idę za jego przykładem. Możesz to nazwać intuicją.

Jeśli będę jej wciskała destrukcin zbyt nachalnie, nabierze podejrzeń.

– Jak wolisz – odpowiadam i zjadam drugą poziomkę. Gdyby Marinus nie była tak Obdarowana, mogłabym ją po prostu zeswajzować, żeby coś zjadła, ale gdyby nie była tak Obdarowana, nie byłoby jej tutaj. – Pyszna.

\* \* \*

Splątane konary glicynii całe są obsypane kwieciami, chociaż w świecie na zewnątrz panuje październik. Ale kiedy Marinus wyciąga rękę, żeby dotknąć kwiatów, jej dłoń przechodzi przez nie jak przez powietrze. Jedynymi żywymi barwami w całej antyfonie są kolory ubrań, w których przyszliśmy. Ubrania... Dręczy mnie myśl, że coś mi umyka, coś jest nie tak. Co? Coś z ubraniami, rzeczami osobistymi, czymś jeszcze... Podobnie dręcząca myśl usiłowała mnie ostrzec, zanim Sally Timms zaatakowała Jonah dziewięć lat temu, ale nie słuchałam jej wystarczająco uważnie. Gdyby Jonah nie miał teraz problemów z projektowaniem antyfony, telegraficznie przekazałabym mu, żeby się na chwilę wstrzymał, bo chciałabym się nad tym zastanowić. Kiedy wchodzimy na górny trawnik, przez naszą ścieżkę przebiega czarno-biały paw i rozplywa się w powietrzu, zostawiając umierające echo *Kuku! Kuku! Kuku!* Jonah musi już działać na oparach Operandi. Na szczęście Marinus była zajęta przyglądaniem się, jak drzewo ginko wynurza się z mgły zbyt gwałtownie jak na spokojne tempo, jakim się do niego zbliżamy.

– Wczoraj podszedłem dotąd – oznajmiam i nagle staję jak wryta, bo opadłe liście lecą w górę, wszystkie naraz, i przyczepiają się do drzewa.



Marinus jest zachwycona tym widokiem, ale ja w brzuchu Bombadila czuję mdłości: to błąd w projekcji, nie uroczy kaprys natury. Jonah traci kontrolę.

– Tutaj jest jak we śnie – wzdycha Marinus.

Słyszę telegram od brata: *Srowadź ją do środka, antyfona się zapada.*

Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

– Zajrzyjmy do środka – proponuję.

– Tam? Do samego domu? Mówisz poważnie?

– Owszem – każę Bombadilowi odpowiedzieć. – A czemu nie?

Następuje nerwowa cisza, po której pada napięte pytanie:

– Po co?

Na szczęście wiem, jaka siła zdoła przełamać jej tchórzostwo.

– No dobrze, do tej pory nie chciałem ci robić fałszywych nadziei, ale jest szansa, że możemy tam znaleźć żywego Freda Pinka. – Patrzę w okna na najwyższym piętrze.

– Żywego? Po dziewięciu latach. Jesteś pewien?

*Jesteście już w środku, siostrze?* – telegrafuje Jonah. *Pośpiesz się!*

– Jeśli chodzi o antyfony, nigdy nie można mieć pewności – odpowiadam. – Ale w antyfonie na Ionie czas biegł inaczej, a w „Arkadii” można było zamieszkać, więc czy nie jesteśmy tego winni Fredowi Pinkowi? Żeby chociaż się tu rozejrzeć? To przecież jego trop, to jego cierpienie, jego prawda nas tutaj dziś sprowadziła.

Podpora Psychiatrii czuje się winna i chwyta przynętę.

– Dobrze, zgoda. Jeżeli istnieje chociaż cień szansy, że go odnajdziemy żywego, wejdźmy tam.

Marinus zdecydowanym krokiem rusza przez ostatni odcinek trawnika w stronę Slade House, ale kiedy się odwraca i patrzy gdzieś za moje plecy, jej oczy gwałtownie się rozszerzają.

– Bombadilu!

Odwracam się i widzę, że koniec ogrodu sam się wymazuje.

– Co się dzieje? Jak się stąd wydostać?

Zakrzywiona ściana nicości od-stwarza właśnie ogród i antyfona zapada się w sobie jak wypalona gwiazda. Myślałam, że jeśli znajdę gościnię tak bogatą woltaicznie jak Marinus i jeśli ją tu sprowadzę, tym samym w prosty sposób ocalę brata, naszą Lukę i Operandi. Ale jak widać, wcale nie jesteśmy na ostatniej prostej.

– To tylko mgła, spokojnie.

– Mgła? Ale przecież... To znaczy popatrz, jak szybko...

– Mgła w antyfonie zawsze tak wygląda. Na Ionie też widziałem to samo. – Nie chcę, żeby Marinus wykonała na sam koniec numer kurczaka z odrąbaną głową. Wymijam ją spokojnym krokiem. – Zaufaj mi, Marinus. Chodźmy. Hej, byłbym aż taki wyluzowany, gdybym czegoś się bał?

\* \* \*

Schody do Slade House są zarośnięte mchem i całe w plamach, niegdyś dumnie prezentujące się drzwi są zbutwiałe i obłazi z nich farba, a kołatkę prawie zżarły rdza i czas. Otwieram drzwi i pośpieszam Marinus do środka. Za naszymi plecami kopuła kurczącej się antyfony połyka drzewo ginko. Zamykam drzwi za nami i telegrafuję do Jonah. *Weszliśmy*. Słyszymy rumor, jakby ktoś głośno przesuwał ciężkie meble po podłodze, a w uszach zmienia mi się ciśnienie, kiedy antyfona oblepia swoją krawędzią sylwetkę Slade House. Gdy spoglądam znowu przez podzieloną deszczułkami szybę w drzwiach, z zewnątrz patrzy na mnie niebyt. Przerazająca pustka.

– Co to był za huk? – pyta szeptem Marinus.

– To grzmot. Pogodę tutaj przez wiele lat zaniedbywano i teraz wszystko się pomieszało. Mgła, burze. Następne będzie palące słońce.

– Aa – odpowiada niepewnie Podpora Psychiatrii.

Na szachownicy płytek podłogowych w przedpokoju leżą porozrzucane jesienne liście. Nasza dawna gospodyni z Czechosłowacji byłaby przerażona tą wersją Slade House, który za moich i Jonah cielesnych lat był przez nią wypucowany i lśniący. Rogi pod sufitem lepią się od pajęczyn, drzwi wiszą krzywo na urwanym zawiasie, a wypaczoną boazerię wzdłuż schodów na piętra wyzerają korniki.

– I co teraz? – pyta Podpora Psychiatrii. – Powinniśmy przeszukać parter czy...?

Tym razem grzmot wstrząsa ścianami.

Marinus dotyka uszu.

– Boże, czułeś to?

*Bracie, telegrafuję, jesteśmy już w środku – co się dzieje?*

*Operandi zdycha, to się dzieje! W głosie Jonah słyhać panikę. Dom się wygina. Sprowadź gościńię do Luki.*

– To zakłócenia atmosferyczne – uspokajam Marinus. – Całkiem normalne zjawisko.

*Zawołaj z góry na parter, instruuję Jonah.*

Pełna napięcia cisza, a potem: *Że co mam zrobić?*

*Udawaj, że jesteś Fredem Pinkiem, który tu utknął, i zawołaj do nas z góry.*

Kolejna cisza. Jonah pyta: *A jaki on miał głos, jak mówił?*

*Udawalesz go na ostatnim Dniu Otwartym! Mówił po angielsku, gburowato.*

– Jesteś pewien, że to normalne, Bombadilu? – Marinus ma zaniepokojoną minę.

– W Arkadii był barometr – improwizuję – który...

Coś słyszymy. Marinus unosi palec i patrzy w górę schodów, szepcząc:

– Słyszałam kogoś. A ty?

Robię niewiele mówiącą minę i obie słuchamy. Nic. Grube na miłą nic. Marinus już opuszcza palec, ale wtedy słyszymy starczy, trzęsący się głos Freda Pinka:

– Halo? Jest tam ktoś? Halo?

Nieustraszona Podpora Psychiatrii woła:

– Panie Pink?! To pan?!

– Tak... tak! Bo... bo... upadłem. Na piętrze. Proszę...

– Już do pana idziemy! – Bez chwili namysłu Marinus wbiega po schodach, po dwa stopnie naraz.

Po raz pierwszy od przejścia przez Szczelinę czuję, że prawie odzyskałam kontrolę nad sytuacją. Każę Bombadilowi ruszyć po schodach za Marinus i czuję ulgę, że władająca wieloma językami psychiatra z tytułem doktorskim przyznany z honorami na Uniwersytecie Stanowym w Columbus tak łatwo dała się nabrać mojemu bratu. Wykładzina na schodach jest mocno przetarta, kurz zbił się już w cienką skorupę. Kiedy dochodzimy do małego podestu, zegar stoi milcząco, a jego cyferblat jest tak pokryty parchem, że nic na nim nie widać. Podobnie portrety naszych wcześniejszych gości pokrywa trąd pleśni, ale zdenerwowana lekarka, oszołomiona wydarzeniami najdziwniejszej godziny w jej życiu, przebiega obok nich, nie rzucając malowidłom choćby przelotnego spojrzenia. Marinus widzi jasne drzwi na szczycie schodów i jeszcze przyśpiesza, nadeptując na zasuszonego trupa sowy. Gdy mijam portret Sally Timms, policzkuje ją, co jest gestem w równym stopniu małostkowym, jak nieskutecznym. To przez nią teraz mamy kłopoty, czy też raczej przez jej „ducha”. To ona przebiła gardło mojemu bratu w najważniejszym momencie, powstrzymała nas przed nakarmieniem Operandi duszą jej siostry i skazała nas na życie w psychowoltaicznej nędzy. Ale dzisiaj położymy temu kres! Wpadam na plecy Marinus, zaledwie kilka stopni od jasnych drzwi, tuż obok inkrustowanego brudem

portretu Frei Timms.

– Dlaczego się zatrzymałaś?

Marinus nasłuchuje.

– Skąd mamy wiedzieć, czy to tymi schodami?

Zaczynam tłumaczyć:

– Oczywiście, że tymi...

Z holu na dole dobiega nas trzask pękającego drewna. I słyszymy Jonah, który jako Fred Pink woła przez drzwi nad nami:

– Jestem tutaj, halo! Halo? Potrzebuję pomocy, jest tam ktoś? Proszę!

Jonah krzyczy za głośno, a jego gra aktorska jak zawsze trąci szmirą, ale Marinus po prostu chwyta fazowaną gałkę i znika. W każdym innym Dniu Otwartym uznałabym, że zadanie wykonane i gość został bezpiecznie dostarczony do naszej Luki na strychu, ale dzisiaj nie zakładam już niczego. Najpierw telegrafuję do Jonah: *Masz ją?*

Odpowiedzią jest huk pękających cegieł, kamieni, szkła i drewna, kiedy krawędź antyfony unicastwia szkielet Slade House. Ryk zniszczenia wdziera się w górę po schodach. Bombadil stoi sztywno na jednym ze stopni. Jego oczami patrzę, jak wściekły front nicości dociera do małego podestu, wymazuje go, unicastwia stojący zegar, a potem wezbrana fala nicości naciera na mojego chudego wytatuowanego hosta. Śmierć. Coś każe mi: *Skacz, już czas.* Ale nie, Operandi potrzebuje obu bliźniąt Grayerów i gdybym posłuchała impulsu, tym samym zabiłabym Jonah. Exodusuję, dosłownie kilka sekund przed zagładą, i patrzę, jak pokurczone ciało Bombadila spada po schodach, babach, babach, babach. Z gardła Bombadila wydobywa się urywany wrzask, zdolność samodzielnego odczuwania odzyskał zbyt późno, żeby złapać równowagę, a co dopiero, żeby zorientować się w sytuacji. A potem już go nie ma, nie ma jego kurtki narciarskiej,

odmrożeń, iPhone'a, uzależnienia od porno w Internecie, jego wspomnień z dzieciństwa, jego ciała – wszystko zniknęło, w mgnieniu oka. Ja-jako-dusza obracam się i trawersuję przez jasne drzwi.

\* \* \*

Wyłaniam się w dokładnej kopii prywatnej sali w szpitalu Royal Berkshire, gdzie spędziłam ostatnie tygodnie jako pacjentka, sporządzając drobiazgowo notatki. To prawda, Marinus nie jest salową z urazówki, tylko psychiatrą. To prawda, lepiej zna szpitale amerykańskie niż brytyjskie. Ale gdyby nasza gościni zauważyła teraz choć jedno odstępstwo, mogłaby wyczuć intrygę i odmówić przyjęcia destruktywu, a bez tego środka ekstrakcja jej duszy byłaby w najlepszym przypadku co najmniej kłopotliwa. Dlatego Jonah i ja odtworzyliśmy tę salę z fanatycznym wręcz realizmem: wiszący telewizor na ścianie; umywalka z obrotowym kranem; dwa krzesła obite zmywalnym skajem; szafka przy łóżku; wyszczerbiony wazonik; drzwi z płócienną zasłonką na szybce; zegar z dużymi cyframi, wskazujący 8:01, oraz opuszczone rolety, co ma sugerować ósmą wieczorem, nie rano. W powietrzu czuć zapach środka dezynfekującego na bazie chloru, a dźwiękowe tło szpitala obejmuje „dzyń” drzwi do windy, grzechot i stukot wózków oraz dzwonek telefonu, którego nikt nie odbiera. Doktor Iris Marinus-Levy leży nieprzytomna z kroplówką w ręce, a jej głowę i szyję opasuje ortopedyczny kołnierz. Wchodzi mój brat, wyglądający jak on sam, ubrany w biały lekarski fartuch. Jonah dostrzega moją duszę.

– Nora. Spóźniłaś się.

Patrzę na Jonah-jako-Jonah, ciesząc się jego radością, że znowu może się poruszać, nawet jeśli to ruch tak samo iluzoryczny jak ta szpitalna sala. Następnie stwarzam samą siebie jako starszą

stopniem lekarzę po czterdziestce i wracam do mojego własnego głosu:

– Były straszne korki.

– Gratulacje, siostrze. Jak wyglądam?

– Dodaj sobie cienie pod oczami, a na brodzie jakąś nieogoloną szczecinę. Również ci gratuluję.

Jonah wprowadza stosowne poprawki na twarzy i prezentuje się do oceny:

– Lepiej?

– Lepiej. Jak się mają nasze ciała?

– Twoje jest w stanie niczym niezakłóconej perfekcji, jak zawsze, moje nadal ma gardło przebite szpilką do włosów z lisim pyskiem. Ściany strychu są bezpieczne, ale z Operandi została już tylko reszteczka, siostrze. Daję mu kwadrans.

Odwracam się do Marinus.

– Zatem obudźmy naszą pacjentkę i dajmy jej lekarstwo. Najpierw doładujemy Operandi, a potem naprawimy twoje gardło, komórka po komórce.

Jonah patrzy na tę nieprzytomną kobietę i ma nieczyste myśli.

– Sądzisz, że będzie się bronić, siostrze?

– W ogrodzie odmówiła zjedzenia poziomki, cytując Carla Junga i powołując się na „intuicję”, rzeczywiście poziomka miała wtedy kolor surowej wątroby, ale teraz, kiedy się tutaj obudzi, nie będzie wiedziała, czy to majówka, Marrakesz, czy Monteverdi. Masz destrukcin?

Jonah wywołuje na swojej dłoni czerwono-białą tabletkę.

– Chyba w wystarczającym stopniu generyczna?

– Zmniejsz ją, by ją mogła bez problemu połknąć. I miej w pogotowiu szklankę wody. Nie daj jej najmniejszej szansy na zebranie myśli.

Jonah zmniejsza tabletkę, wrzuca ją do pojemniczka i wywołuje

szklanę oraz butelkę wody „Evian” na szafce przy łóżku.

– Posłuchaj, Nora, kiedy telegrafowałaś z alejki, nie byłem w najlepszym stanie i...

– Musiałaś się obywać bez doładowania psychowoltażem osiemnaście lat, Jonah. Ja bym już dawno zwariowała, a nie tylko „nie była w najlepszym stanie”.

– Nie, siostrze, daj mi dokończyć. To, co „mówiłem”, było... Już tak nie uważam. Próbuję ci teraz powiedzieć, że masz rację.

Moje wyprojektowane ja patrzy na wyprojektowane ja mojego brata.

– W jakiej sprawie?

– Masz rację, że przyzwyczajenie stępiło naszą czujność, masz rację, że nasza izolacja od *la Voie Ombragée* nie była aż tak idealna. I że... mamy wyższy cel. Czy to cię na razie zadowoli?

Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

– Czyżbym zabłądziła do jakiejś antyfony?

– Jeśli zamierzasz napawać się moją skrucą, siostrze, równie dobrze...

– Nie. Nie zamierzam się napawać, Jonah. Czekałam trzydzieści lat, aż usłyszę od ciebie te słowa. Pojedziemy na górę Shiranui. Na zachodzie Japonii jesienią jest bajecznie. Sensei Enomoto chce cię poznać. Zasugerowała kilkanaście sposobów udoskonalenia naszego Operandi.

Wyprojektowany Jonah rozmyśla nad końcem i początkiem.

– Dobrze. Zgoda. Postanowione.

Myślę o mnie i o moim bracie jako płodach dzielących macicę Nellie Grayer sto szesnaście lat temu. I o naszych przyrodzonych ciałach dzielących Lukę przez lat osiemdziesiąt. Obcy sobie ludzie to „Oni”, kochanek to najpierw „Ty”, a potem „My”, ale Jonah to połowa „Ja”. Z powrotem dyscyplinuję się wobec stojącego przed nami zadania, zanim niechcący powiem cokolwiek



sentymentalnego.

– Gardło będzie bolało jak jasna cholera, kiedy wyszarpnę ci z niego szpilkę, ale przyżegnę ranę i...

– Teraz albo nigdy, siostrzo. – Jonah kładzie lewy palec wskazujący na przednim oku czakry naszej gościni. Lewą dłonią glifuje, by ją wybudzić...

...i zrenice Iris Marinus-Levy rozszerzają się w niepewnym świetle antyfony.

– Proszę się nie ruszać, Iris – nakazuje Jonah swoim własnym głosem. – Miała pani wypadek, ale wszystko jest w porządku. Jest pani w szpitalu. Nic pani nie grozi.

Marinus jest słaba i wystraszona, co słyhać w jej głosie.

– Miałam wypadek?

– Gołoledź na M4 pod miastem. Pani volkswagen nadaje się do kasacji, ale nikt inny nie brał w wypadku udziału. A według nas pani obrażenia nie są aż tak poważne. Jest tu pani od rana. W szpitalu Royal Berkshire.

Marinus przetyka ślinę i wygląda na półprzytomną.

– Ale... Kim pan...?

– Tak, przedstawię się, doktor Gareth Bell, a to doktor Harriet Hayes. Konsylium medycznych szarlatanów. Iris, chcielibyśmy zadać pani kilka pytań, żeby doprecyzować diagnozę i postępowanie, myśli pani, że dałaby pani radę na nie odpowiedzieć?

– Och... – Skołowana Podpora Psychiatrii mruży oczy. – Tak... oczywiście. Proszę bardzo.

Teraz moja kolej.

– Dziękujemy, Iris, wspaniale. Po pierwsze, może nam pani powiedzieć, czy coś panią teraz boli?

Marinus sprawdza, czy może poruszać dłońmi, a potem stopami.

– Nie, tylko... chyba czuję pewne zdrętwienie. I trochę bolą mnie

stawy.

– A-ha. – Zapisuję coś na podkładce z klipsem. – Podajemy pani kroplówkę z lekami przeciwzapalnymi i przeciwbólowymi. Ma pani dość silne stłuczenia z lewej strony ciała. Po drugiej... ruchomość kończyn. Właśnie nam ją pani zademonstrowała, świetnie. I kto powiedział, że najgorsi pacjenci to lekarze?

– Może psychiatrzy są lepsi?

Uśmiecham się.

– Świetnie. Odhaczę kwadracik „przynależność plemienna”.

– Mam jakieś złamania? – pyta Marinus, usiłując się podnieść na łóżku.

– Zaraz, spokojnie! – powstrzymuje ją Jonah-jako-doktor Bell. – Iris, nie tak szybko. Kołnierz ortopedyczny to tylko środek ostrożności, niech się pani nie obawia. Nie zrobiliśmy pani jeszcze prześwietleń na wypadek, gdyby była pani w ciąży. Może być pani w ciąży?

– Nie, tydzień temu miałam okres. Zdecydowanie nie jestem.

– Doskonale – mówię – mniej więcej za godzinę zabierzemy panią na prześwietlenie. Teraz wzrok: ile palców trzymam w górze?

– Cztery – odpowiada Marinus.

– A teraz? – pytam.

– Żadnego – odpowiada Marinus.

– Czyli wzrok nie ucierpiał – stwierdza Jonah. – Chociaż mieliśmy trochę obaw o wstrząśnienie mózgu, ma pani wielkiego krwiaka z tyłu głowy. Zrobimy pani później tomografię, po wyprawie na rentgen, ale co pamięta pani z samego wypadku?

– Hm... – Marinus patrzy nieprzytomnie – hm...

Przysiadamy na jej łóżku.

– Pamięta pani, że jechała pani samochodem?

– Tak, ale... pamiętam, że trafiłam do celu.

– O-kej – odpowiada Jonah. – A do celu, czyli gdzie?

– Do uliczki, zaułka odchodzącego od Westwood Road, na obrzeżach miasta. Nazywa się Slade Alley. Pojechałam tam spotkać się z Bombadilem.

– Z „Bombadilem”? – dziwi się Jonah. – Ale chyba nie z tym leśnym krasnałem z *Władcy pierścieni*? Dziwne przezwisko.

– Hm... Nie... nie czytałam tego, ale mój Bombadil jest wyznawcą teorii spiskowych. Nie wiem, czy to jego prawdziwe nazwisko, czy też imię. Bombadil stanowi przedmiot moich badań. Piszę artykuł o fantazjach na temat porwań. On był... w tej uliczce... i były też drzwi w murze, których normalnie tam nie ma...

– Fascynujące – stwierdzam, czując lekką panikę. – Ale przyrzekam pani, Iris, że jedyne miejsce, do jakiego dzisiaj pani dojechała, to szpital Royal Berkshire.

– Wie pani lepiej od nas – przekonuje Jonah wesóło – że umysł lubi płać figle po przeżyciu traumy albo wypadku. Ale już nam pani powiedziała wszystko, co chcieliśmy wiedzieć. Teraz tylko proszę wziąć ten paracetamol, żeby zatamował ewentualny niewielki krwotok wewnętrzny. – Jonah podnosi opuszczany blat stolika przy łóżku i kładzie tabletkę na małym białym talerzyku. – Napiszę esemesa do Viva Singha w Dawkinsie, że jest pani przytomna i nie ma żadnych problemów z mówieniem. Bardzo się tam o panią denerwują.

– Dobrze, dziękuję... – Marinus przygląda się tabletkę w łatwej do połknięcia postaci.

Moje wyprojektowane serce w wyprojektowanym ciele bije odrobinę szybciej.

Oglądam się w tył. Jonah stawia przy talerzyku szklankę wody „Evian”.

– Dziękuję. – Nadal słabą dłonią Marinus bierze tabletkę.

Odwracam wzrok. *Połknij ją, myślę. Połknij ją całą.*

– Nie ma problemu – odpowiada spokojnym głosem Jonah, jakby nasze metażycie nie zależało od tego, czy ta nieprzewidywalna kobieta zrobi, o co ją prosimy. Jonah przelatuje swoje kontakty, mamrocząc: – Viv Singh...

– Czy... mogę zadać jedno pytanie? – pyta Marinus.

– Słuchamy – odpowiada Jonah, nie odrywając wzroku od iPhone'a.

– Dlaczego, na Boga o jedenastu tysiącach imion, miałbym posłuchać dwojga pasożytniczych morderców dusz i wypić ich truciznę?

\* \* \*

Zegar na ścianie zatrzymuje się. Na monitorach gasną diody LED. Nieodbierany telefon cichnie w oddali. A Jonah nieruchomieje, stojąc odwrócony plecami zarówno do Marinus, jak i do mnie. Cofam się chwiejnie, jakbym była chora. Mój mózg upiera się, że Marinus, gościni, nie może wiedzieć o nas więcej, niż Jonah i ja wiemy o niej. Że zwykła lekarka psychiatrii nie może leżeć w wyprojektowanym łóżku w naszej wewnętrznej antyfonie, patrząc na nas jak członkini komitetu na jakimś nudnym zebraniu. A jednak leży, a jednak patrzy.

– Ze wszystkich niedociągnięć waszego Operandi – ciągnie nasza gościni – największym jest wasz przestarzały „destrukcin”. No naprawdę! Środek duszoporonny tak niestabilny, że nie zadziała, o ile pacjentka go nie wypije lub nie zje z *własnej, nieprzymuszonej woli* – tak prymitywnej formuły nie obserwowaliśmy w praktykach Drogi Cienia od pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat. Gdzie mieliście rozum, państwo Greyer? Gdybyście tylko tę formułę uaktualnili, moglibyście wstrzyknąć mi ją do ciała chociażby teraz, w tej chwili. Albo przynajmniej spróbować.

*Siostro, telegrafuje Jonah, kim ona jest?*

Niebezpieczeństwem, odpowiadam telegramem. Zmianą. Walką. Końcem.

Zabijmy ją, ponagła Jonah. Zabijmy ją. Już. Razem.

Jeżeli ją zabijemy, stracimy jej duszę, wysyłam telegraficznie moje nieocenzurowane myśli, a jeśli stracimy jej duszę, nasz Operandi padnie – nie wytrzyma nawet dziewięciu godzin, a co dopiero kolejnych dziewięciu lat. A jeśli Operandi padnie, nie będzie już Luki.

– A bez Luki – odzywa się Marinus – zaleje was czas tego świata, wasze przyrodzone ciała sparcieją, a wtedy wasze dusze wyruszą do Zmierzchu, prawda? Sto szesnaście lat i game over.

Przerażona twarz Jonah wyraża również i moje emocje. Mój brat telegrafuje: *Ta kurwa wtargnęła tu bez pytania. Sądźisz, że teraz nas słyszy, siostró?*

Marinus cmoka z dezaprobatą.

– Panie Grayer! Słabo. „Kurwa” dzisiaj jest słowem zupełnie pozbawionym mocy i jako zniewaga boli tyle, co dźgnięcie – czy ja wiem? – łodygą selera. I „wtargnęłam tu bez pytania”? Zaprosiliście mnie tu dzisiaj, żeby wyssać moją duszę. Przyjęłam wasze zaproszenie, a wy mówicie, że tu „wtargnęłam”? Brzydko. – Jednym wykonanym od niechcienia glifem Marinus odprojektowuje kroplówkę i kołnierz ortopedyczny. Nie potrafimy ukryć zdumienia. – Tak, wiem o subantyfonach w antyfonach, o bańce w bańce, o strychu w Slade House. Całkiem niezłe odtworzony szpital. Ale woda „Evian”? W państwowej służbie zdrowia? Niech zgadnę, to był jego genialny pomysł, prawda? – Marinus patrzy na mnie, a ruchem głowy wskazuje mojego brata.

Nie odpowiadam. Ona bez pośpiechu wstaje z łóżka, a my oboje cofamy się o krok.

– Pani miałyby na tyle rozumu, żeby nie wyczarowywać drogiej francuskiej wody mineralnej po pani supertajnej misji

obserwacyjnej w szpitalu Dawkinsa. Widziałam panią, jak mnie pani obserwuje oczami Viva Singha. Ja pilnowałam pani, tak samo jak pani mnie. Towarzystwo wzajemnego pilnowania. Fajna piżama, ale... – Glifuje dłonią i nagle pojawia się jej własne ubranie. – Mam pewne przyzwyczajenia w kwestii ubrań.

Jonah pozwolił subantyfonie mocno przyblaknąć, żeby oszczędzić woltaż, co jest mądrym posunięciem. Atak na Marinus jednakże, przypuszczony z pełną mocą, a obawiam się, że Jonah taki planuje, nie byłby już tak zasadnym ruchem. Wyczuwam, że ona właśnie na taki atak liczy.

– Masz nad nami przewagę – mówię. – Kim jesteś?

– Jestem, kim jestem, panno Grayer. Urodziłam się jako Iris Levy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku w Baltimore. „Marinus” dodałam później, dziedziczny przydomek, ale to długa historia. Moja rodzina przeprowadziła się do Toronto. Studiowałam psychiatrię. I teraz jestem tutaj.

Badam dalej.

– Ale władasz telepatią, glifujesz... Wiesz, co to takiego? – Kieruję w jej stronę łagodną psychofałę, którą ona odiera przy butelce wody „Evian”. Fala załamuje się, przelewa przez krawędź stolika, ale znika, zanim zdąży spaść. – Popatrz tylko, Jonah – mówię. – Z naszą gością dobraliśmy się jak w psychozoterycznym korcu maku.

Żartobliwość Marinus znika.

– Nie mam nic wspólnego z waszym korcem. Ja nie wykorzystuję ludzkich istnień jak jednorazowych rękawiczek. Czy chociaż podziękowaliście temu biedakowi Markowi – „Bombadilowi” – zanim przed chwilą wyrzuciliście go do śmieci?

– Musisz mieć w sobie naprawdę masę boskiego współczucia – ironizuję – żeby troszczyć się o każdego człowieka z rozwrzeszczanych, zarzyganych, napalonych siedmiu miliardów.

– O, wy zawsze tak mówicie – kpi ta kobieta.

– Ach tak? – pytam. – A skąd wiesz, jak się nazywamy?

– A to akurat opowieść mniej więcej godzinna. – Z kieszeni kurtki Marinus wyjmuje jakiś gadżet i pokazuje go nam. Widzę napis SONY. – Przynajmniej jedno z was widziało już ten cyfrowy dyktafon, ale zgaduję, że to był pan Grayer... – Odwraca się do Jonah, który nachyla się bliżej. – Tak. Cyfrowy dyktafon. Zobaczmy, czy odświeży wam pamięć. – Marinus naciska PLAY i słyszymy głos pewnej siebie kobiety: – „Rozmowa z Fredem Pinkiem w pubie The Fox and Hounds, sobota, dwudziesty siódmy października dwa tysiące szóstego roku, godzina dziewiętnasta dwadzieścia”. – To Freya Timms. Marinus wciska STOP. Nietrudno odczytać wyraz naszych twarzy. – Było przed nią ciekawe życie – ciągnie. – Miała siostrę, którą kochała. – Jej gniew na razie jest pod kontrolą, ale wzbiera. – No proszę. Powiedźcie, jak się nazywała. Czy może za bardzo wam wstyd?

Jonah wygląda na zbyt przerażonego, by podać czyjekolwiek nazwisko. I dobrze mu tak, błaznowi. To jego bufonada, jego w roli Freda Pinka przed dziewięciu laty, kiedy bawił się z Freyą Timms w The Fox and Hounds w mojej antyfonie, stała się dla Marinus nicią Ariadny, po której trafiła do samego serca Operandi. A kiedy mój brat odzyskuje zdolność mowy, wykorzystuje ją do zadania niewłaściwego pytania:

– Skąd to masz?

Marinus ignoruje go i patrzy na mnie.

Wytrzymuję jej spojrzenie bez najmniejszego wstydu.

– To Freya Timms.

Marinus potwierdza skinieniem głowy, a potem wygląda przez na pół zblakłe rolety w widmach okien.

– Noce są ciemne w tych stronach. Jesteśmy na waszym strychu w Slade House, prawda?

Nie odpowiadam. Marinus ponownie zwraca się do Jonah z pytaniem:

– Wasze „krematorium” bardzo skutecznie pozbywa się ciał, ale pozostaje materia nieorganiczna. W dawnych czasach to w zasadzie nie miało znaczenia, tu guzik, tam spinka do włosów, ale w tym stuleciu – Marinus odwraca się do nas i waży w dłoni dyktafon – aniołowie naprawdę mieszczą się na czubkach szpilek, a życie tysięcy w pamięci USB. Jest nas niewielu, panno Grayer, ale mamy koneksje. Artefakty takie jak ten – wsuwa dyktafon do kieszeni – zwykle prędzej czy później do nas trafiają.

W głowie zaczyna mi powstawać pewna teoria. Sensei Enomoto mówiła o „samozwańczej straży” z wręcz patologicznym parciem do zabijania innych Atemporalnych.

– Kim jesteście? – żąda odpowiedzi Jonah.

– W głowie pańskiej siostry właśnie powstaje pewna teoria. Niech pan zapyta Norę. Ona częściej wychodzi z domu.

Nie spuszczam wzroku z Marinus.

– Ona jest z drugiej strony Schizmy.

– Ciepło.

– *Le Courant Profond* – zgaduję. – Głęboki Strumień.

Swobodne ręce Marinus mogą teraz glifować.

– Ciepłej.

Jakaś idiotyczna gra w zgadywanie.

– Jesteś Horolożką.

– Och, niech pani to powie z większym jadem. Proszę to potworne słowo wycedzić. – Marinus, podobnie jak Jonah, ma upodobanie do sarkazmu rodem z burleski. I podobnie jak Jonah, może się potknąć.

Oczywiście Jonah nie słyszał o Horologii jako tajnym stowarzyszeniu i pyta:

– Ona robi zegarki?



Śmiech Marinus brzmi szczerze.

– Panno Grayer, powiedzmy, że rozumiem, dlaczego toleruje pani tego leniwego trutnia, tego śmiechu wartego aktorkę, tego chudego ratlerka, który myśli, że jest wilkiem. Ale bądźmy szczerze, tak między nami dwiema, czy nie jest dla pani ciężarem? Kulą u nogi? Czy nie trafnie ma na imię Jonah?<sup>6</sup> Czy wasz Sajjid nigdy nie powiedział pani, co o nim myśli? „Nadęty błazen zrobiony ze świńskiego łożyska”. Dokładny cytat, przysięgam. Dopadliśmy waszego dawnego mistrza w górach Atlas za pomocą nagrania Frei. Musimy więc przynajmniej za to podziękować pani bratu. Czcigodny Sajjid błagał o litość. Usiłował ją kupić, mówiąc nam dużo więcej, niż się spodziewaliśmy. Ale okazaliśmy mu taką samą litość, jaką on okazywał swoim ofiarom przez wiele, wiele lat. Dokładnie taką. A teraz Jonah udowodnił pani, jak śmiertelnie groźnym jest dla pani obciążeniem...

Marinus urywa, bo w moim bracie w końcu się zagotowało. Telegrafuję do niego: *Nie!* – ale w głowie Jonah wszystko huczy i brat mnie nie słyszy, więc krzyczę na głos:

– Nie!

A pozostałości szpitalnej sali w tej samej chwili odpadają, ukazując długi strych Slade House. Osiemdziesiąt lat metażycia kończy się na tych rozstajach dróg: czy mam wesprzeć Jonah w napaści na tego wroga, którego mocy nie znam, a który chce nas sprowokować do ataku? Nawet jeśli zwycięstwo będzie prowadzić do voltaicznej śmierci głodowej? Czy też mam zostawić Jonah, patrzeć, jak ginie w płomieniach, ale za to podtrzymać cię nadziei na przetrwanie? I nawet w chwili, kiedy Jonah pochopnie, bardzo pochopnie zużywa ostatnie wolty w próbie spalania Marinus, ja nadal nie wiem, co robić...

---

<sup>6</sup> Biblijny Jonasz ucieka przed powierzoną mu przez Boga misją (przyp. tłum.).

...Marinus z prędkością myśli wyglifowała lustro o wklęsłym polu. Zadrzało pod siłą uderzenia, usłyszałam skwierczenie lawy, zobaczyłam, że twarz Marinus wykrzywia ból, i przez chwilę ośmieliłam się mieć nadzieję, że ta kobieta, która tu wtargnęła, nie doceniła naszej siły. Ale pole lustra wytrzymało napór, wypłaszczyło powierzchnię, odbiło z powrotem skupione na nowo czarne światło prosto w jego źródło. Nie było czasu, żeby glifować, żeby ostrzec brata, czy przyłączyć się do walki, Jonah Grayer żył przez ponad czterdzieści dwa tysiące dni, ale umarł w ułamku sekundy, zabity prostą sztuczką, jednak z ręki mistrzyni. Kątem oka zobaczyłam, jak Jonah ze zwęgloną skórą, ze spalonymi ustami i policzkami, usiłuje ochronić oczy. Zobaczyłam, jak kruszy się na brykiety i rozpada na sękate szczapki. I patrzyłam, jak chwilę potem obłoczek sadzy traci swoją ludzką postać i opada na deski podłogi, niemal dławiąc płomień nigdy niegasnącej świecy.

Moja decyzja podjęła się sama.

\* \* \*

Widzę światło świecy przez moje własne przyrodzone powieki. Słyszę najśłabszy nawet szmer płomienia i pryskanie wosku, który gotuje się w swoim stawiku wokół knota. Do Luki wciekł zatem czas. Nasz Operandi padł. Kiedy otworzę oczy, zamiast otwierającego oczy Jonah ujrzę Rozpacz. Z Rozpaczą odbyłam już kiedyś rozmowę, wiele lat temu, po śmierci mamy w Ely. Mama, biedaczka, wykasłała płuca. Kazała mi się opiekować Jonah, chronić go, bo to ja byłam tą rozsądną... I przez ponad sto lat dotrzymywałam danego słowa i chroniłam brata gorliwiej, niż biedna Nellie Grayer mogłaby sobie wymarzyć. I podczas tych lat Rozpacz była tylko jedną z twarzy w tłumie. Teraz jednak Rozpacz zamierza odbić sobie za stracony czas. Nie mam co do tego złudzeń. Dusza Jonah powędrowała do Zmierzchu. Jego

przyrodzone ciało jest teraz niziutkim kopczykiem sadzy u moich stóp i u podstawy niniwijskiej Świecy. Ból, jaki Rozpacz zamierza zadać, będzie bezbrzeżny. A jednak, co ciekawe, na razie – tylko na razie – siedzę w martwym wraku Operandi, z prochami Jonah u stóp, i potrafię rozważać swoje położenie spokojnym, jasnym umysłem. Być może ten spokój jest pełną mułu ciszą między gwałtownie cofającym się morzem a natarciem ryczącego tsunami, szerokiego na horyzont, wysokiego jak góra, ale póki trwa, wykorzystam tę ciszę. Pozwoliłam, by Jonah samotnie umarł swoją daremną śmiercią, udowadniając chyba tym samym, że moja miłość przetrwania jest silniejsza niż miłość do Jonah. Pragnienie przetrwania jest także sojusznikiem w walce przeciw Rozpaczy – jeśli teraz ulegnę, nie przetrwam. Zabójczyni jest tutaj, na naszym strychu. Gdzież indziej miałaby być? Słyszałam ją chwilę temu. Podniosła się, sycząc z bólu – to dobrze – i zawlokła się po trzeszczących dębowych deskach podłogi ku płomieniowi świecy, jak olbrzymia kulejąca ćma. Czeką, aż zacznę drugą rundę. Niech jeszcze trochę poczeka.

\* \* \*

Widzę jej ciemną skórę w ciemnym pomieszczeniu. Ona obserwuje, jak ja obserwuję ją, łowczyni obserwuje zwierzynę, nasze nerwy optyczne łączą nasze dusze. Morderczyni Jonah, Horolożka Marinus, która sprowadziła śmierć do naszej twierdzy. Tak, nienawidzę jej, ale ten banalny bezpłciowy czasownik to dramatycznie za mało. Nienawiść to coś, co się nosi w sobie. A odczuwana przeze mnie żądza zadania cierpienia, okaleczenia ciała, rozszarpania, zabicia tej kobiety nie jest emocją, którą noszę w sobie – jest tym, czym się stałam.

– Czekałam, aż włączy się pani do walki – mówi teraz prawie szeptem, jakbyśmy były na pogrzebie. – Dlaczego pani nie

atakowała?

Zaczyna się koniec.

– Strategia mojego brata była beznadziejna. – Moje gardło jest jak zwykle suche, kiedy wracam, by znowu zamieszkać we własnym ciele. – Jeśli byśmy przegrali – patrzę na kopczyk sadzy u moich stóp – skończylibyśmy właśnie tak. – Wstaję, stawy mam sztywne, i cofam się kilka kroków, tak żeby świeca była dokładnie pomiędzy Marinus i mną. – Natomiast gdybyśmy wygrali, umarlibyśmy, kiedy Luka w końcu się zapadnie, a nasze ciała dopadnie czas tego świata. Cały Jonah. On coś robił, a potem zostawiał mnie na zgliszczach, z którymi miałam robić porządek.

Marinus zastanawia się nad tym, co powiedziałam.

– Wyrazy współczucia.

– Twoje kondolencje budzą we mnie odrazę – mówię dość łagodnym tonem.

– Rozpacz boli, owszem. Każdy człowiek, którym się karmiliście, zostawiał bliskich, którzy cierpią tak jak pani teraz. I nie mogą nawet wskazać winnego, nie mają kogo nienawidzić. Ale jak mówi przysłowie, panno Grayer, kto mieczem wojuje...

– Nie cytuj mi przysłów. Dlaczego mnie nie zabijasz?

Marinus robi minę mającą oznaczać „to skomplikowane”.

– Po pierwsze, wyznawcy Głębokiego Strumienia nie mordują z zimną krwią.

– Nie, nie, wolicie prowokować wrogów do ataku, żebyście potem mogli zasłaniać się samoobroną.

Ta hipokrytka nawet nie zaprzecza.

– Po drugie, chciałabym panią poprosić, żeby zechciała pani otworzyć tę wewnętrzną Szczelinę – wskazuje wysokie lustro – i mnie wypuścić.

Czyli ani nie jest wszechpotężna, ani wszechwiedząca. Nie mówię jej, że nie mogę już otworzyć Szczeliny, kiedy ostatecznie

padł Operandi. Nie potwierdzam nawet, że Szczeliną jest lustro, bo może ona tylko zgaduje. Myślę wyłącznie o tym, że Marinus umrze, kiedy na strychu zabraknie powietrza.

– Pozwolisz, że zastanowię się chwilę nad twoją prośbą... Hm. Nie.

Marinus kiwa głową.

– Szanse były niewielkie, ale to byłoby bardziej eleganckie wyjście niż Plan B, który zresztą też ma niewielkie szanse powodzenia. – Powoli podchodzi do świecy i sięga do kieszeni kurtki.

Zbieram woltaż do obrony. Ale zamiast broni ona wyciąga z kieszeni smartfona.

– Do najbliższej sieci jest stąd sześćdziesiąt lat w przyszłość – mówię – a Szczelina nie przekazuje sygnałów telefonicznych do realnego świata. Przykro mi.

Jej ciemną twarz oświetla zimny blask ekranu smartfona.

– Jak powiedziałam, szanse są niewielkie. – Wycelowuje smartfona w Szczelinę. Patrzy. Czeka. Sprawdza ekran. Marszczy brwi. Czeka. Czeka. Obchodzi świecę i kopczyk sadzy i kuca przy Szczelinie, żeby ją zbadać. Czeka. Przykłada ucho do Szczeliny. Czeka. Aż w końcu wzdycha i się poddaje. – Tak, szanse są zbyt niewielkie, by się udało. – Odkłada smartfona. – Ukryłam kilogram wybuchowego plastiku w krzakach przy zewnętrznej Szczelinie, kiedy ty-jako-Bombadil odwróciłeś wzrok. W mojej płócienniej torbie. Zdaje się, że czułaś, że czegoś brakuje, kiedy przechodziłyśmy pod glicynią, więc odwróciłam twoją uwagę. Miałam nadzieję, że wybuch rozerwie i otworzy Szczelinę, jednak albo sygnał z telefonu nie dotarł do detonatora, albo wasz Operandi ma zbyt solidną konstrukcję.

– Jest mi naprawdę niezmiernie przykro. Czy jest może jakiś Plan C, czy też doktor Iris Marinus-Levy dzisiaj umrze?

– Zgodnie z obyczajem powinniśmy teraz stoczyć decydującą

bitwę między dobrem i złem. Nigdy nie doszłybyśmy do zgody, która z nas stoi po której stronie. A jedyną nagrodą dla tej, która wyszłaby z tego zwycięsko, byłaby śmierć przez uduszenie z braku tlenu.

Ta wymuszona beztroska jest odrażająca.

– Dla ciebie, jak rozumiem, śmierć jest tylko krótką przerwą.

Ona cofa się kilka kroków, obchodząc świecę, i siada tam, gdzie zwykle usadzamy – usadzaliśmy – naszych gości, na wprost Szczeliny.

– Trochę więcej z tym kłopotów, niż myślisz, ale owszem, powracamy. Kto był waszym głównym informatorem w sprawach Głębokiego Strumienia: Enomoto czy Sajjid?

– Oboje. A dlaczego pytasz?

– Poznałam dziadka Enomoto w jednym z moich poprzednich wcieleń. Żądny krwi demon, nie człowiek. Spodobałby ci się.

– Odmawiasz nam przywilejów, którymi sama się cieszysz. – Mój głos brzmi sucho i chrapliwie. Pewnie przez to pragnienie.

– Wy mordujecie dla nieśmiertelności – stwierdza Marinus. – My jesteśmy na nią skazani.

– „Skazani”? Hipokryzja! Już widzę, jak zamienilibyście swoje metażycie na kilkadziesiąt żalonych, wyszarpanych, zmarnowanych lat życia zwykłego czasomierza. – Czuję niewytłumaczalne zmęczenie. Pewnie zmęczył mnie ciężki oddech Rozpaczy, który czuję na karku. Bo cóż innego? Siadam, mniej więcej stopę od mojego zwykłego miejsca. – Dlaczego wy, Horolożki i Horologowie, przeprowadzacie ten... ten... – brakuje mi słowa, jest po arabsku, ale częste w angielskim – ten... dżihad przeciw nam?

– Służymy świętości życia. Nie naszego, tylko innych. Świadomość, że będą żyły przyszłe siostry Timms, że będą żyli kolejni Gordonowie Edmondsowie, Bishopowie i ci wszyscy

niewinni ludzie, których zabilibyście w przyszłości, by karmić wasze uzależnienie od życia – to nasz wyższy cel. Czym jest metażycie bez misji? Jest zwykłym... żerowaniem.

Jacy Bishopowie?

– My tylko – głos jakoś za bardzo mi drży – chcieliśmy przetrwać. Jak każde zdrowe na ciełe i umyśle zwierzę...

– Nie. – Marinus się krzywi. – Proszę, nie. Zbyt często już to słyszałam. „Ludzkość jest zaprogramowana do przetrwania”, „Siła zapewnia przetrwanie, takie jest prawo natury”, „Zabiliśmy tylko kilka osób”. I tak dalej, i tak dalej, przez te wszystkie lata te same usprawiedliwienia...

W moich biodrach i kolanach narasta ból, jakiego do tej pory nie znałam. Zastanawiam się, czy to Marinus jest za to odpowiedzialna. Dokąd trafił Jonah?

– ...od tyłu przeróżnych hien – ciągnie ta kobieta, ale gdyby tylko mówiła głośniej... – od feudalnych suwerenów, po handlarzy niewolników, oligarchów, neokonserwatystów i drapieżników takich jak pani. Nie można dyskutować o etyce z ludźmi, którzy z własnej woli amputowali sobie sumienie.

Ból rozlał się teraz po lewym nadgarstku. Przyglądam się mojej ręce i gdybym tylko mogła, odrzuciłabym ją w przerażeniu. Skóra mi wisi. Moja dłoń, moje palce są... stare. To z pewnością tylko makabryczne złudzenie, za które odpowiedzialna jest Marinus. Pochyliłam się – z żenującym wysiłkiem – żeby zajrzeć w Szczelinę. Patrzy z niej na mnie przerażona białowłosa wiedźma.

– Wybuch nie rozsadził Szczeliny – mówi czarnoskóra kobieta – ale zrobił w niej pęknięcie. Przez cały środek, tutaj. Widzi pani? – Marinus kuca obok mnie i przesuwa palcem wzdłuż grubej linii. – Właśnie tędy wpływa tu teraz świat, panno Grayer. Przykro mi. Starzeje się pani, być może w tempie dziesięciu lat co każde piętnaście sekund.

Ona mówi po angielsku, ale w ogóle nie rozumiem o czym.

– A kim ty jesteś?

Kobieta na mnie patrzy. Co jest bardzo niegrzeczne. Czy Murzyni nie uczą swoich dzieci kultury?

– Jestem miłośnikiem, panno Grayer.

Nie dosłyszałam, mówi za cicho.

– Przeprowadź mi... Przeprowadź mi... – Znam jego imię, znam jego imię, znam je, ale jego imię nie zna mnie. – Przeprowadź mi tu mojego brata. Natychmiast. On się tym wszystkim zajmie.

– Przykro mi – mówi Murzynka. – Pani mózg niszczy się. – Wstaje z podłogi i podnosi nasz... jak to się nazywa? To coś, w czym stoi świeca? Chce to ukraść!

– Postaw to z powrotem! – Usiłuję ją powstrzymać, ale moje stopy tylko drgają bezwładnie na kopczyku ziemi. Ależ tu brudno! Gdzie gospodyni? Dlaczego ta Murzynka podnosi nasz lichtarz? O, tego słowa szukałam: lichtarz! Mieliśmy go w naszej rodzinie od pokoleń. Ma trzy tysiące lat. Jest starszy niż Jezus. Jest z Niniwy. Krzyczę: – Sprowadź tu Jonah!

Murzynka podnosi lichtarz jak... jak... jak to takie coś... i z zamachem wali ciężką podstawą w lustro.

\* \* \*

Przez roztrzaskaną powierzchnię Szczeliny wlewa się światło i wpadają kłęby płatków śniegu, pokrywając deski podłogi i śpiesząc w najciemniejsze zakątki strychu, jak chmara ciekawskich uczniaków. Moje ciało obwędło wokół mnie jak przekłuty balon. Moja dusza, odwiązana, odczepiona, odpięta od swojego otępiełego, zniedołężniałego mózgu, unosi się wolna. Marinus, nie oglądając się za siebie, przechodzi przez Szczelinę, kiedy tymczasem strych gaśnie i roztapia się w zimowym niebie. To już koniec. Dusza Nory Grayer, bez przyrodzonego ciała, które



kotwiczyłyby ją w świecie, teraz się rozpuszcza. Unosi się przez moment w przestrzeni niegdyś zajmowanej przez strych Slade House. Czy to było całe moje życie? Czy to już wszystko? Miało być więcej. Wiele, wiele lat więcej. A w dole widzę dachy, samochody, życie innych, kobietę, która wkłada zielony beret i odchodzi uliczką, nadal trzymając lichtarz w dłoni. W powietrzu pełnym ruchu nie ma pożegnania, nie ma hymnów, nie ma żadnej wiadomości. Tylko śnieg, śnieg, śnieg i nieubłagane przyciąganie Zmierzchu.

Jeszcze nie. Jeszcze NIE. Zmierzch mnie ciągnie, ale do diabła ze Zmierzchem, do diabła z Marinus, ja ciągnę mocniej. Ona zabiła mojego brata, a teraz bezkarnie odchodzi. Niech Rozpacz ciągnie razem ze mną, niech nienawiść doda nam mocy. Mój zapas sekund może być skromny, ale jeśli można będzie jeszcze pomóc porywczemu Jonah, mojemu ukochanemu brata bliźniaka, moją najprawdziwszą drugą połówkę, znajdę sposób, choćby nie wiem jak zacierał ślady. Ceglane kominy, spadziste dachy, cienkie, wąskie ogródki z szopami, psimi budami i kopami kompostu. Gdzie też żadna zemsty dusza mogłaby znaleźć schronienie? W jakim nowym ciele przyrodzonym? Kogo tam widać? Jakieś rodzeństwo, brat i siostra, bawią się w śniegu... Są już za starzy, za bardzo spleceni z własnymi duszami. Jakiś inny chłopiec skacze na trampolinie... jest jeszcze starszy, nie nada się. Sroka ląduje na ogrodowej szopie, skrzecząc i tupiąc w blachę na dachu. W kolejnym ogrodzie otwiera się tylna furka i wychodzi przez nią kobieta w wełnianej czapce, trzymając miskę obierek.

– Nie rzucaj śnieżkami w siostrę, Adib! Ulepcie bałwana! Bawcie się grzecznie!

Kobieta jest w ciąży – brzuch jest już widoczny, widzę go nawet z odległości trzydziestu stóp. Dostrzegam piękno w tym wzorcu. Kobieta nie zjawiała się tu przypadkowo – jej obecność przewidywał

Skrypt. Zmierzch ciągnie mnie do siebie, ale teraz mam już jak się bronić, opieram się. Moja misja daje mi siłę, a moją misją jest co następuje: pewnego dnia, choćby w bardzo odległej przyszłości, wyszepczę w ucho Marinus: „Zabiłaś mojego brata Jonah Grayera – a teraz ja zabijam ciebie”. Trawersuję w dół z dostojnym śniegiem, z żywym śniegiem, z wiecznym śniegiem. Niezauważona przechodzę przez palto matki, przez jej bieliznę, jej skórę, przez ścianę jej macicy. I teraz jestem już w domu, w moim nowym, ciepłym domu, w mojej kotwicy. Odporna na Zmierzch i bezpieczna w mózgu płodu chłopca, tego maleńkiego, zwiniętego w kłębek, śpiącego, śniącego, ssącego kciuk astronauty.

